WOLNOŚĆ A WALKA Z COVID-19

Cejrowski o maseczkach: Wywalić rząd trudno, ale opór głupocie trzeba stawić

Kino polskie czy antypolskie – polemika z Ziemkiewiczem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 9/414 1–7 MARCA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM „CZYŚCIEC" – O TAJEMNICY ZAŚWIATÓW

Nawalny za kratami – jak działa rosyjska kolonia karna

Agonia starej Europy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 62 tys. egzemplarzy

KATASTROFA DEMOGRAFICZNA – KTO ZASIEDLI NASZ KONTYNENT?

eprasa.pl/2c0a773a0

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

Postaw na własną instalację słoneczną z Energą, produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki. Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie instalacji w wybranym wariancie.

Zadzwoń pod **555 555 505** lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

eprasa.pl 2c0af773a0

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Naturalny sojusz

Kiedy kilka tygodni temu Krzysztof Śmiszek, aktywista ruchu LGBT i innych literek oraz lewicowy poseł, wyszydził billboardy hospicjów perinatalnych, wielu się oburzyło. Słusznie. Drwiny z cierpienia rodziców i dzieci w takiej sytuacji, nazywanie plakatów z dzieckiem w sercu „paskudnymi" i tanie dowcipy są czymś ohydnym.

Niektórzy bardziej przenikliwi internauci wskazali, że takich przykładów otwartej wrogości tęczowych działaczy i działaczek wobec obrońców życia było znacznie więcej. To prawda – wystarczy przecież przypomnieć atak na furgonetkę pro-life dokonaną przez osobnika o wdzięcznej nazwie „Margot" – swoją drogą jakoś zniknął chwilowo z mediów. Może czeka, aż uzna go za czowieka roku „Financial Times", „Time" lub choćby „El País"?

Jednak cała sprawa – sojusz aborcjonistów i aktywistów LGBT – zmusza do zadania pytań. Czy chodzi tu jedynie o taktyczne, chwilowe porozumienie obu ruchów, czy też w samej istocie obu ideologii znajduje się coś wspólnego? Niedawno na to pytanie, tak ważne dla zrozumienia dynamiki rewolucji, próbował odpowiedzieć na łamach „Do Rzeczy" Marek Jurek. Zauważył on trafnie: „Wydawałoby się, że nie ma większego absurdu jak emocjonalne zaangażowanie działaczy homoseksualnych w wystąpienia aborcyjne. A jednak liderzy politycznego ruchu homoseksualnego odgrywają wybitną rolę w działaniach przeciw prawu do życia, zarówno w Polsce, jak i w Europie. Co ich do tego pobudza?". I odpowiedział: „Najwyraźniej chodzi więc o totalną deregulację etyczną, zniesienie wszelkich moralnych powinności i oczekiwań, począwszy od rodzicielstwa. Dzięki temu miałoby powstać kulturowe otoczenie, w którym wolno wszystko, a niczego nie trzeba". Zdaniem publicysty aborcjoniści są zatem, można by powiedzieć, taktycznymi sprzymierzeńcami aktywistów homoseksualnych: razem niszczą zastany ład, dzięki czemu rośnie grupa ludzi, która utraciła kontakt z własną religią, tradycją i wychowaniem. To ważne spostrzeżenie. Mniemam jednak, że można je uzupełnić. Ten sojusz ma bowiem, uważam, głębszy, istotowy charakter. Nie tylko, chociaż także, spełnia się w atakowaniu wspólnego wroga – odziedziczonego ładu społecznego i prawa natury – lecz także opiera się na wspólnym, negatywnym stosunku do życia, do jego transcendentnej i obiektywnej wartości.

W jednej z najważniejszych książek na temat zarazy, jaką stał się transwestytyzm wśród młodych dziewcząt w USA, Wielkiej Brytanii i Kanadzie, Abigail Shrier wskazała na sekciarski mechanizm pozyskiwania nowych pacjentów/pacjentek przez ruch LGBTQI+. Wiele nastolatek, co naturalne, przeżywa problemy wynikające z dojrzewania. Jednak dzięki dostępowi do mediów społecznościowych stają się idealnymi wręcz ofiarami aktywistów, którzy każdą trudność tłumaczą niedostosowaniem płci biologicznej i płci kulturowej. Dziewczynki, bez wiedzy i świadomości rodziców, szybko dostają się pod kontrolę tęczowych radykałów, często zresztą za pomocą szkoły. Wśród wielu wstrząsających historii mnie uderzyła jedna: opowieść o matce, która jak tysiące innych z dnia na dzień dowiedziała się, że jej córka uważa się za chłopca. Podobnie jak większość rodziców i ona była postępową liberałką, więc, tłumiąc przerażenie i strach, postanowiła wspierać dziecko w wolnym wyborze. Aż do chwili, kiedy niepełnoletnia córka powiedziała, że domaga się operacji – ta zaś musiała pociągać za sobą stałą bezpłodność. Dopiero wtedy matka się zbuntowała i, przynajmniej na pewien czas, przekonała córkę, by ta nie przeprowadzała zabiegu.

Ta historia pokazuje, oprócz wielu innych rzeczy, faktyczny, ideologiczny cel tęczowych aktywistów: wyrugowanie ze świadomości człowieka wartości życia jako podstawowej, pozytywnej miary i kategorii. Ze związków homoseksualnych, lesbijskich czy z relacji między transwestytami, którzy dokonali całkowitej zmiany płci, nie mogą się rodzić dzieci. Przekaz życia został w tej grupie całkowicie zablokowany. Dziecko może pojawić się wyłącznie wskutek decyzji o adopcji lub zamówienia u surogatek. Człowiek nie jest już powołany do tego, by przekazywać życie – z zasady staje się bezpłodny i żyje w relacjach, w tym sensie, z zasady jałowych. Życie ludzkie, dziecko nie ma zatem już w oczach ideologów i aktywistów bezwarunkowej wartości – jest wyłącznie kwestią wolnego wyboru i przyjemności. W tym sensie współcześni ideologowie gender do złudzenia przypominają starożytnych gnostyków, którzy w bezpłodności, w odrzuceniu życia widzieli formę najgłębszego buntu przeciw Bogu. Potępiając płodzenie, przekazywanie życia, okazywali pogardę dla dobroci Stwórcy.

Prawdziwym źródłem sojuszu aborcjonistów i aktywistów LGBT jest właśnie ten wspólny resentyment, ta wspólna, najgłębsza i pierwotna wrogość wobec życia jako obiektywnie pozytywnej zasady. Cała reszta – opowieści o godności kobiety, szacunek dla inności, dążenie do uznania – to zasłona dymna. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2c0af773a0

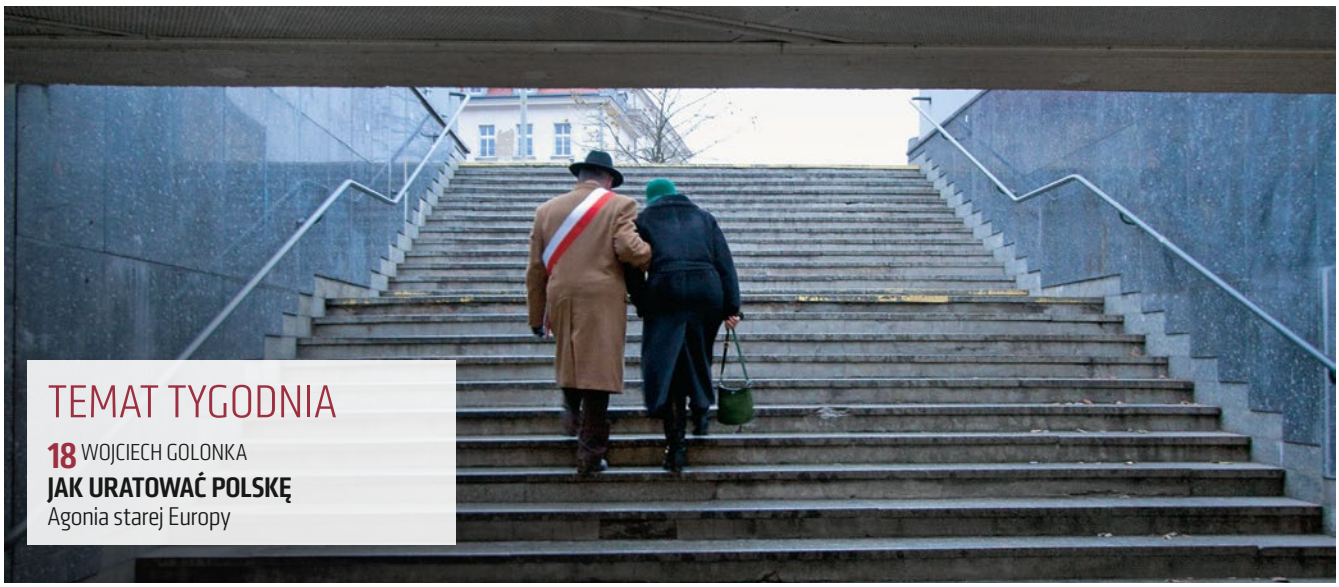

TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH GOLONKA
JAK URATOWAĆ POLSKĘ
Agonia starej Europy

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZJEDNOCZENIE BEZ JEDNOMYŚLNOŚCI
Spór na prawicy

24 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
TAK, TO JEST WOJNA

26 KAMILA BARANOWSKA
W LEWO ZWROT!

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
DROGA NACJONALISTY

30 ROZMOWA Z ADAMEM NIEDZIELSKIM
NIE CHCEMY ZAMYKAĆ KRAJU

32 PIOTR SEMKA
JAN LITYŃSKI 1946–2021

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
NIEDOUCZONE POKOLENIE

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NASZ CZŁOWIEK W NIGERII

KULTURA

38 JERZY MIZIOŁEK
ODZYSKANIE NARODOWYCH SKARBÓW KULTURY
Co nam oddali po 1920 r.

42 PIOTR GOCIEK
WOJE MIRMIŁA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

49 GRZEGORZ KONDRASIUK
Z KAMERĄ WŚRÓD ZWIERZĄT

OPINIE

50 ŁUKASZ WARZECHA
COVIDOWI CELEBRYCI
Chwila sławy w dobie pandemii

52 POLEMIKA Z TEKSTEM „PRZEMYSŁ POGARDY" RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA
SPÓR O POLSKIE KINO

HISTORIA

56 JERZY DĄBROWSKI
CICHA POMOC
Aleksander Ładoś i jego grupa

60 TOMASZ Z. ZAPERT
NIEZNANA HISTORIA KAZIMIERZA GÓRSKIEGO

ŚWIAT

64 ROZMOWA Z OLGĄ ROMANOWĄ
KRAJ KULTURY WIĘZIENNEJ
Rosja za kratą i drutem kolczastym

68 WITOLD REPETOWICZ
PAPIEŻ W IRAKU

70 ROZMOWA Z JOHNEM-HENRYM WESTENEM
POLACY, SZYKUJCIE SIĘ NA KŁOPOTY

72 TOMASZ ROWIŃSKI
ODEJŚCIE KARDYNAŁA

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
ZUCKERBERG NICZYM KIM DZONG UN?
Rządy na wojnie z imperiami z branży Big Tech

STYL

84 JOANNA BOJAŃCZYK
EMMA I INNE
Jakie imiona są w modzie

O ZDROWIU

86
CZAS NA ZMIANY
Raport: Choroby rzadkie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (74), GABRYEL, WARZECHA (80), KOMUDA (94), ŻALEWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 2c0af773a0

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy na łamy! Adres redakcji znajdziecie w stopce, korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

O szczepieniach

Szanowni Państwo,
pragnę poruszyć temat szczepień osób z grupy wiekowej 60–70 lat. Jestem emerytowaną lekarką, lat 87, czyli z grupy uprzywilejowanej. Większość osób lat 80+ ma nadzieję na jeszcze długie i szczęśliwe życie – ja należę do mniejszości. Natomiast ludzie 60-letni, najczęściej jeszcze aktywni i sprawni zawodowo, właśnie w tym wieku często zapadają na choroby wymagające pilnego leczenia szpitalnego, bardzo często operacyjnego. Ze względu na ogólny stan zdrowia (schorzenia kardiologiczne, astma, cukrzyca, choroby nerek) słusznie

obawiają się zakażenia koronawirusem, które w ich przypadku z dużym prawdopodobieństwem może skończyć się tragicznie.

Znam wiele osób w takiej sytuacji, należy do nich również bliska mi osoba z najbliższej rodziny. Mój 61-letni zięć wymaga pilnie serii zabiegów operacyjnych, miał być im poddany na początku jesiennej pandemii. Ze względu na współistnienie licznych chorób kwalifikujących go do najbardziej zagrożonej grupy w przypadku „złapania koronawirusa" tkwi od tego czasu w kompletnej izolacji, w ustawicznym bólu, ze zbliżającą się szybkimi krokami perspektywą konieczności dializ, a i – nie daj, Boże – przeszczepu nerki. Ma wyjątkowo skomplikowany splot schorzeń i wymaga stałej pomocy. Bezskutecznie czeka na szczepienie. Jako osoba naiwna zwróciłam się najpierw do informacji, która odpowiedziała nie na temat, a po moim sprostowaniu stwierdziła (pewnie słusznie), że sprawa nie leży w ich kompetencji. Po niedługim okresie optymizmu, kiedy wydawało się, że szczepienia grupy 60+ ruszą z miejsca, przyszło całkowite załamanie i utrata nadziei. Napisałam dwa e-maile na skrzynkę Ministerstwa Zdrowia – wpadły w czarną dziurę, zero odpowiedzi. Proszę, bardzo proszę, poruszcie ten temat. Wierzę w potęgę mojej ulubionej prasy.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Krótka lista SB", Sławomir Siwek, „DRz" 7/2021

Pod dużych rozmiarów zdjęciem („DRz" nr 7, s. 66–67), opatrzonym adnotacją: „Fot. Archiwum IPN", sprostowania wymaga błędny podpis. Nie jest to bowiem „Rejestracja NSZZ Rolników Indywidualnych »Solidarność«, Warszawa, 12 maja 1981 r.", jak podano, lecz scena z ostatniego dnia strajku okupacyjnego rolników w gmachu ZSL 17 kwietnia 1981 r. w Bydgoszczy, kiedy odbywały się negocjacje z komisją rządową w sprawie zawarcia porozumienia kończącego tę akcję protestacyjną. Na zdjęciu widoczni są (od lewej): Lech Ścibor-Rylski, dziennikarz „Chłopskiej Drogi" (stoi), oraz analizujący tekst działacze NSZZ RI „Solidarność" (siedzą) Tadeusz Szymańczak, Witold Hatka i Roman Bartoszcze, nad którymi pochyla się mec. Jerzy Ostafil, jeden z doradców związkowych. W porozumieniu bydgoskim władze PRL ostatecznie zgodziły się na stworzenie podstaw prawnych do zarejestrowania NSZZ RI „Solidarność". Jako reporter „Słowa Powszechnego" byłem świadkiem i uczestnikiem zarówno zakończenia strajku w Bydgoszczy, jak i rozprawy rejestracyjnej w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie oraz autorem relacji z tych wydarzeń.

Andrzej W. Kaczorowski

Od redakcji

Dziękujemy za informację. Przygotowując opis, opieraliśmy się na informacji załączonej do zdjęcia na stronie internetowej Instytutu Pamięci Narodowej.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Ilona Weiss, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 62 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 2c0af773a0

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Odwracanie wzroku

Zwykli księża i zwykłe siostry" opublikowali kolejny list otwarty. Tym razem zajęli się wejściem w życie werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie rozszerzenia ochrony życia nienarodzonych na dzieci chore i niepełnosprawne, na zasadzie równości z dziećmi zdrowymi.

To, co budzi największe zdumienie, to trwożne i skonsternowane milczenie szefów Episkopatu i zwierzchników zakonnych sygnatariuszy listu

Sygnatariusze listu piszą: „Próbujemy rozważyć kwestię zasadniczą: czy i jak da się pogodzić prawo do życia przysługujące każdemu człowiekowi od chwili jego poczęcia z prawem do dokonania przerwania ciąży przez kobiety, które doświadczają ogromnego lęku, nosząc w swoim łonie dziecko dotknięte ciężkim i trwałym upośledzeniem".

Autorzy dokumentu wskazują: „Z jednej bowiem strony trudno zaprzeczyć, że każdy człowiek ma prawo do życia – i do jego prawnej ochrony (por. art. 38 Konstytucji RP). Ta ochrona prawna należna jest każdemu człowiekowi, niezależnie od stanu jego zdrowia i wieku".

Te słowa „zwykli księża i zwykłe siostry" równoważą jednak pytaniem: „Czy można w tej sytuacji nakazać kobiecie urodzić dziecko, skazane na bezmierny ból, a matkę, bo niestety często kobiety zostają w tej sytuacji same, obarczyć obowiązkiem opieki nad tym dzieckiem, co ją może do głębi unieszczęśliwić? Czy prawo może wymagać od kobiety takiego heroizmu? Czy troska o poczęte dziecko, nawet ciężko chore, nie przesłania tu troski o jego matkę, której odbiera się elementarne prawo do własnego planowania godnego życia?".

Trudno nie uznać tego listu za pierwsze tak znaczące wśród polskich duchownych i sióstr zakonnych przyjęcie „prawa kobiet do przerywania ciąży". Zasada prymatu wartości życia zostaje w liście uznana za czynnik równoważny poglądowi, że „nie można nikogo zmuszać do heroizmu".

Takie myślenie otwiera furtkę do dalszych korekt doktryny. Być może za jakiś czas „zwykli księża i zwykłe siostry" uznają, że nie można zmuszać żadnej kobiety do heroizmu urodzenia zdrowego tym razem dziecka, bo to może skomplikpwać życie kandydatce na matkę.

To, co budzi największe zdumienie, to trwożne i skonsternowane milczenie szefów Episkopatu i zwierzchników zakonnych sygnatariuszy listu. Milczą biskupi i zwierzchnicy zakonni, którym podlegają podpisani kapłani.

Nikt nie chce zauważyć, jak ta inicjatywa zazębia się z inicjatywą Kongresu Katoliczek i Katolików, która wygląda na wersję ruchu Wir sind Kirche w polskim opakowaniu. Za Odrą aktywność tego ruchu doprowadziła do przyjęcia przez niemiecki Kościół tzw. drogi synodalnej, która oddala niemiecki Kościół od Kościoła powszechnego.

Wszyscy odwracają wzrok, nikt nie chce mówić o zagrożeniu. Ta taktyka strusia nie skończy się dobrze. ©℗

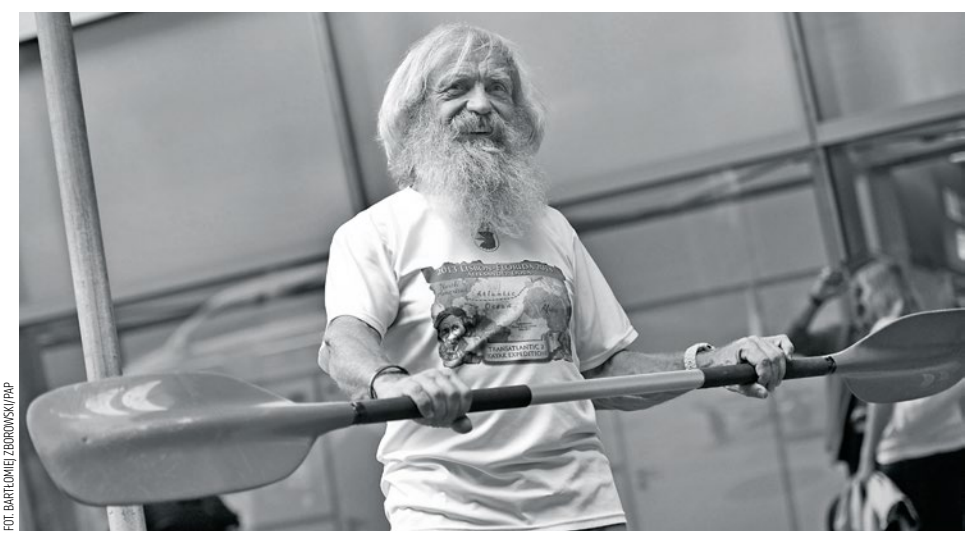

FOT. BARTŁOMIEJ ZBORDWSKI/PAP

ALEKSANDER DOBA (1946–2021)

Nie żyje słynny polski podróżnik, który stał się sławny, gdy samotnie przepłynął kajakiem Ocean Atlantycki. Mimo wielu nagród oraz ogromnej popularności podkreślał w mediach, że wcale nie czuje się celebrytą. Uwielbiał za to podróżować i zdobywać nowe cele. 74-letni Aleksander Doba zmarł 22 lutego, gdy zdobył Kilimandżaro, swój wymarzony szczyt Afryki. Według relacji organizatora wyprawy po wejściu na Dach Afryki słynny podróżnik nagle stracił przytomność. Nie udało się go uratować. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Orlen odpowiada na publikację „Wyborczej”

„Artykuł »Taśmy Obajtka« zawiera nieprawdziwe informacje, które wprowadzają w błąd opinię publiczną” – czytamy w oświadczeniu PKN Orlen ws. publikacji „Gazety Wyborczej”

„Daniel Obajtek jako wójt Pcimia chciał wykończyć firmę swojego wuja, u którego wcześniej pracował. Kierował z tylnego siedzenia konkurencyjną spółką, choć jako samorządowiec nie mógł tego robić, a potem skłamał w tej sprawie przed sądem. Dowodzą tego nagrania rozmów Obajtka” – czytamy w artykule na portalu wyborcza.pl.
Po publikacji „Wyborczej” PKN Orlen opublikował specjalny komunikat w tej sprawie.
„Informujemy, że artykuł pt. »Taśmy Obajtka«, który ukazał się na łamach »Gazety Wyborczej« oraz na portalu wyborcza.pl, zawiera nieprawdziwe informacje, szereg bezpodstawnych sugestii i manipulacji, które wprowadzają w błąd opinię publiczną. Stawiane w artykule tezy, niemające potwierdzenia w faktach, a oparte na nagraniach, których pochodzenia, integralności, czasu i okoliczności utrwalenia nie sposób stwierdzić, uderzają w wizerunek PKN ORLEN, jak również naruszają dobre imię Prezesa Daniela Obajtka. Publikacja ma na celu zdyskredytowanie Prezesa Zarządu Spółki w momencie, gdy prowadzone są kluczowe inwestycje rozwojowe i procesy akwizycyjne” – czytamy w oświadczeniu podpisanym przez rzecznik spółki Joannę Zakrzewską.
Jak podkreślono w oświadczeniu, „wobec Daniela Obajtka żaden sąd nie wydał wyroku stwierdzającego popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa”, a także że „zgodnie z przepisami oświadczenia majątkowe Prezesa Zarządu Daniela Obajtka były jawne do 2016 roku” i nie wykazano w nich jakichkolwiek uchybień.
„W związku z tym, że w artykule wykorzystano fragmenty nagrań rozmów z bliżej nieokreśloną osobą, które dodatkowo powstały bez zgody oraz wiedzy Prezesa PKN ORLEN, poddamy je analizom prawnym” – czytamy w dalszej części oświadczenia.
„Szanujemy niezależność mediów i obiektywne dziennikarstwo. Sprzeciwiamy się natomiast uprawianiu dziennikarstwa, które w swoich materiałach wydaje wyroki, nie podejmując wcześniej rzetelnej próby potwierdzenia faktów i zdarzeń. Protestujemy przeciwko tendencyjnemu uprawianiu dziennikarstwa” – napisano. ©℗

(DoRzeczy.pl)

PIS PRZEGRYWA GŁOSOWANIE W SEJMIE

Solidarna Polska poparła wniosek opozycji o rozszerzenie czwartkowego porządku obrad Sejmu o wysłuchanie informacji wicepremiera, ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu Piotra Glińskiego odnośnie do przyznawania rekompensat w ramach Funduszu Wsparcia Kultury. Za rozszerzeniem porządku obrad głosowało 232 posłów (17 z klubu PiS), przeciw było 217. Poparcie wniosku tak SP wyjaśniała na Twitterze: „Wydatkowanie środków z Funduszu Wsparcia Artystów wzbudziło wiele głosów oburzenia wśród wyborców Zjednoczonej Prawicy. Mają oni prawo do informacji. Dlatego głosowaliśmy za jawnością”. SP zwraca uwagę, że ich wątpliwości wzbudziły także informacje z artykułu „Przemysł pogardy” („DRz” 8/2021), w którym Rafał A. Ziemkiewicz podjął temat filmów dofinansowywanych przez PISF (polemika w tej sprawie na str. 52). ***(raw)*** ©℗

POLSKA SZYKUJE SIĘ NA POWÓDŹ

Po fali mrozów nagle przyszło ocieplenie, a za nim gwałtowna odwilż. Tak dramatycznej sytuacji w Polsce nie było od lat. Na Wisłę i Odrę ruszyły więc lodołamacze, które kruszą lód, zapobiegając tzw. powodziom zatorowym. Aby zapobiec tragedii, część z 8,6 tys. km wałów przeciwpowodziowych patrolują drony. Bezzałogowce pomagają również w monitorowaniu poziomu wody w rzekach.

Tradycyjnie największe ryzyko powodzi w naszym kraju występuje na terenach dorzecza Odry oraz Wisły na odcinku od Warszawy do Włocławka, a także Bugu na wschód od Wyszkowa. W Internecie dostępne są bezpłatnie mapy zagrożenia powodziowego, na których można sprawdzić, czy dany dom jest zagrożony zalaniem. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 2c0af773a0

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wciąż za mordercami

Dziesięć lat mija od śmierci Jolanty Brzeskiej, działaczki społecznej, zamordowanej przez zbirów mafii reprywatyzacyjnej. Wszyscy wiedzą, dlaczego zginęła i kto mniej więcej jej zamordowanie zlecił, ale śledztwo nie przyniosło do dziś żadnych konkretnych wyników, było już zresztą umorzone, a wznowiono je bardziej dla zaznaczenia wagi tej śmierci niż z powodu odkrycia jakichkolwiek poszlak.

Posłanka Lewicy zaproponowała, by Sejm upamiętnił Brzeską rocznicową uchwałą. Gdyby, jak to jest sejmową rutyną, uchwałę taką przyjęto tak, jak chciał tego wnioskodawca, przez aklamację, zapewne rzecz umknęłaby uwadze mediów. Przeciwko upamiętnieniu Brzeskiej zaprotestowała jednak Platforma Obywatelska, domagając się, by uchwałę odesłać do sejmowej komisji.

Żaden przedstawiciel PO nie był w stanie sensownie uzasadnić tego sprzeciwu. Najczęściej cytowany „anonimowy poseł" zdobył się tylko na stwierdzenie, że „nie ma po co robić sensacji". Jedyny komentujący pod nazwiskiem, Bartłomiej Sienkiewicz, rozbrajająco przyznał w TOK FM, że jego partia nie chce być ciągle kojarzona z reprywatyzacją (bo oczywiście to wina Lecha Kaczyńskiego, a nie Hanny Gronkiewicz-Waltz). To, że PO to nie stan rozumu, tylko jego brak, chyba nie wymaga już kolejnych dowodów, ale jeśliby ich było trzeba, to trudno naprawdę o lepszy. Nic mocniej niż sprzeciwienie się tej symbolicznej uchwale nie mogło przypomnieć o nierozerwalnym związku PO z mafią i upartym trzymaniu w sprawie warszawskiego złodziejstwa jej strony – przez zaskarżanie wszystkich decyzji Komisji Weryfikacyjnej, nawet tej o przyznaniu odszkodowania córce zamordowanej.

Czy takie przypomnienie jest w stanie PO zaszkodzić? To ciekawe pytanie. Warszawa to dziwne miejsce, PO może tu pół miasta ukraść, drugie pół zalać nieczystościami, wyłączyć prąd i podnieść opłaty nie pięcio-, ale bodaj stukrotnie, a dla większości jej wyborców liczyć się będzie tylko to, żeby nie dano ulicy Lechowi Kaczyńskiemu i odebrano rondo Dmowskiemu. Jednak to akurat bodaj jedyna obietnica, jaka w przypadku Lewicy będzie wiarygodna. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

PO w stanie terminalnym

Siedemnaście lat temu ówcześni posłowie – Donald Tusk, Ewa Kopacz, Grzegorz Schetyna, Elżbieta Łukacijewska, Krystyna Skowrońska i Paweł Graś – chwalili się, że należą do pierwszej partii na świecie, która odbywa pielgrzymkę ad limina apostolorum, do Ojca Świętego. W tym czasie ich koleżanka, Elżbieta Radziszewska, żarliwie zabiegała, by Matkę Boską Trybunalską Rzym ogłosił Opiekunką Polskich Parlamentarzystów. Dziś ich partia zadaje kłam zarówno nauczaniu „Evangelium Vitae", jak i całej europejskiej tradycji prawnej, bo „czasy się zmieniły", czego jedna z posłanek dowiedziała się „od swojej nastoletniej córki". Problem w tym, czy ludzie, którzy we własnym domu nie potrafią (albo nie chcą) przekazać najbardziej podstawowej społecznej prawdy Dekalogu (uznawanego ciągle w programie PO za fundament naszej cywilizacji), są zdolni wypełnić konstytucyjny obowiązek „przekazania przyszłym pokoleniom" „kultury zakorzenionej w chrześcijańskim dziedzictwie narodu"? Pytanie chyba zasadne – bo któż od nich namiętniej deklaruje miłość do konstytucji?

Wyborcza władza narodu jest władzą polityczną, więc nie przysługuje jej atrybut nieomylności. Ma jednak swoją racjonalność i swoją logikę. Wyborcy mogą powołać złą reprezentację, ale najczęściej potrafią odróżnić szczerość od natrętnego oportunizmu. Środowisko kierujące partią deklarującą się jako Platforma Obywatelska to dziś już tylko ludzie zbędni w służbie swoich karier. Deklamują – jak sama marszałek Kidawa-Błońska – o „determinacji ciąż" z taką determinacją, że nawet nowomowy używają szybciej, niż są w stanie się jej nauczyć.

Pozostającym więc na Platformie konserwatystom-inercjonistom warto gorąco życzyć, by choć raz wyszli ze swej inercji i rozstali się ostatecznie z tą partią, zanim nastąpi kompletna terminacja jej politycznej i umysłowej aktywności. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dyktaturze ciemniaków

Nazywa się toto „Woke Teachers" („Nauczyciele Przebudzeni"). Pleni się w Stanach. Chodzi o wykładowców, którzy za cel postawili sobie wychów dzieci i młodzieży w duchu egalitaryzmu, internacjonalizmu i wszelkiej tolerancji. Trudnią się, że sięgnę po język Hellera, „znikaniem" z kanonu lektur autorów i dzieł, które tej misji szkodzą, zatruwając młode umysły wstecznictwem.

Aktualnie znikają Szekspira. Dlaczego? Przebudzona,

świadoma i nawiedzona niewiasta Amanda McGregor tłumaczy w „School Library Journal": „Dzieła Szekspira pełne są problematycznych i przestarzałych idei: mnóstwo w nich mizoginizmu, rasizmu, homofobii, antysemityzmu i dyskryminacji klasowej". Wtóruje jej Lorena German. Przedstawia się jako „nauczycielka antyrasistowska", oskarżając Barda z Avonu o wspieranie białej supremacji i kolonializmu. Choroba szerzy się jak koronawirus.

Problem musi być poważny, skoro zajmują się nim takie dzienniki jak „The New York Times" czy „The Washington Times". Zirytowała się młoda pisarka Jessica Cluess i ćwierknęła na własną zgubę: „Ta antyintelektualna bzdura jest trucizną i czystym złem". Rzuciła się na nią w sieci armia zideologizowanych amerykańskich idiotów, oskarżając o... rasizm i przemoc. Zażądali, by jej wydawca wyciągnął jedynie słuszne wnioski. Kobieta zorientowała się, że to nie przelewki, uderzyła się w piersi i odćwierknęła: „Moje słowa były nieprzemyślane. Popełniłam błąd. Szczerze przepraszam. Zrobię wszystko, żeby to naprawić". Nie pomogło. Opuścili ją sterroryzowani przez szaleńców wydawcy i agent literacki. Jak więc widać, „Nauczyciele Przebudzeni" są w stanie zaszczuć i zniszczyć każdego. Robią to naturalnie w ramach walki o nowy, wspaniały świat.

Nauczanie literatury angielskiej z pominięciem Szekspira jest przedsięwzięciem kretyńskim i karkołomnym. Tyle że „Woke Teachers" nie chcą uczyć. Chcą ideologizować i reedukować, niszczyć przeszłość jak Pol Pot i talibowie, palić książki na stosie jak Hitler.

Brak słów. Reszta jest milczeniem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Biznes i wartości

Doktor Tomasz Greniuch miał być szefem wrocławskiego IPN, ale nie będzie, bo w młodości hajlował. Z tegoż powodu na Twitterze odbyły się ciekawe rozmowy. Nikt rozsądny hajlowania nie bronił i z doświadczeniami Polaków nikt nie uzna tej niebezpiecznej głupoty za jakiś tam salut rzymski, ale na TT pojawiły się ważne pytania. Jedno z nich zadał były PiS-owiec, a obecnie nawrócony antypisowiec Marek Migalski: „Jeśli akceptujemy nawrócenia byłych stalinistów/komunistów, to dlaczego nie dajemy wiary nawróceniom nazistów/faszystów? Piszę to trochę wbrew sobie i dla draki/prowokacji, ale pytanie wydaje się zasadne. A przynajmniej wkurzające, prawda? Jak na nie odpowiecie?".

Odpowiedziała Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej": „Ano tak, że nie chodzi tylko o hajlowanie z młodości, ale i książkę sprzed kilku lat, Degrelle'a, Myślenice, akcję pod SLD itd. I pan Greniuch wcale się z tego nie wycofywał. PS Ja tam żadnego stalinowca na stanowisko państwowe bym nie mianowała".

Tu pojawia się pewien problem, bo szef pani Wielowieyskiej, Adam Michnik, w młodości należał do walterowców, obrzydliwego komunistycznego harcerstwa, utworzonego na wzorcach zaczerpniętych z książki radzieckiego pedagoga Antona S. Makarenki „Poemat pedagogiczny". Walterowcy uwielbiali komunizm, powtarzam, uwielbiali, czcili niczym bożka najbardziej zbrodniczy ustrój na świecie. Potem Michnikowi i Kuroniowi się zmieniło, ale... Pytania zostają, zresztą jest ich więcej. Bo na przykład czemu zbrodniarza Jaruzelskiego wolna Polska pochowała na swoim najlepszym cmentarzu jak bohatera? Albo jeśli przynależność do PZPR nie eliminuje z życia politycznego i społecznego, to czemu haniebne (nie ma dwóch zdań) młodzieńcze hajlowanie ma eliminować?

Nieformalny przywódca opozycji (być może trochę samozwańczy) Roman Giertych założył przecież Młodzież Wszechpolską, której członkowie nagminnie lubili „zamawiać pięć piw", choć nie zawsze byli wtedy w knajpkach. Poza tym Jan Śpiewak publicznie nazwał Romana Giertycha faszystą. Teraz sąd będzie musiał zdecydować, czy Giertych był faszystą, czy nie, i czy Śpiewak miał prawo go tak nazwać. Dodam, że Śpiewakowi mogą pomóc stare publikacje ludzi, którzy kiedyś Giertycha nie cierpieli, a teraz mają go za swojaka. Czemu tak jest? To proste i brutalne: bo biznes jest zawsze przed wartościami, choć nieoficjalnie. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Autobusy gazowe odpowiedzią na problemy smogowe polskich miast

Smog, szczególnie w okresie grzewczym, to bardzo duży problem dla mieszkańców większości polskich miast. Jednym z jego głównych składników są pyły zawieszone PM, których źródłem są nie tylko domowe piece, lecz także transport miejski oparty w Polsce głównie na oleju napędowym. Miejscy przewoźnicy, dostosowując się do nowych norm i wytycznych stawianych przez Unię Europejską, inwestują coraz częściej we flotę autobusów gazowych, które nie tylko są tańsze w eksploatacji, lecz także są ekologiczne i spełniają wyśrubowane europejskie normy

E JAK EKOLOGIA

Dlaczego autobusy gazowe są obecnie jednym z filarów transportu niskoemisyjnego w Polsce? Odpowiedź jest prosta – gaz to alternatywne dla oleju napędowego, tanie i niskoemisyjne rozwiązanie, które gwarantuje natychmiastowe korzyści ekologiczne, wynikające przede wszystkim z eliminacji emisji bardzo szkodliwych pyłów PM2,5 oraz PM10. Ponadto według ekspertów Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych autobus na CNG wytwarza nawet o 80–90 proc. mniej szkodliwych dla naszego zdrowia substancji niż powszechnie wykorzystywane w Polsce autobusy na olej napędowy.

– Różnice są bardzo widoczne. Autobusy napędzane gazem CNG nie tylko emitują o ok. 15–20 proc. mniej dwutlenku węgla względem napędów diesla, ale przede wszystkim o 80 proc. mniej tlenków azotu i aż do 99 proc. mniej substancji najbardziej szkodliwych dla ludzi – w tym rakotwórczych pyłów PM10, kluczowego składnika smogu – mówi Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny. – Oferujemy nie tylko paliwo korzystne cenowo, lecz także ekologiczne. Aspekty te są kluczowe dla przedsiębiorstw komunikacyjnych oraz komunalnych, które z jednej strony muszą spełniać coraz wyższe europejskie normy ograniczania zanieczyszczeń, zaś z drugiej dbać o efektywność kosztową prowadzonej działalności – wylicza prezes spółki.

Te twarde wyliczenia nie pozostawiają wątpliwości – obecnie optymalnym wyborem dla polskich przewoźników są ekologiczne paliwa, takie jak gaz CNG i LNG. Dlatego w ustawie o elektromobilności i paliwach alternatywnych paliwa gazowe traktowane są jako niskoemisyjne rozwiązanie, mogące przyczynić się do zrównoważonej ewolucji polskiego transportu publicznego w kierunku zeroemisyjności. Znajduje to również potwierdzenie na poziomie unijnym, gdyż obowiązująca Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2019/1161 z dnia 20 czerwca 2019 r. uznaje autobusy gazowe za ekologicznie i energooszczędne pojazdy.

E JAK EKONOMIA

Obecnie na rynku dostępne są trzy rodzaje autobusów umożliwiających zdecydowaną eliminację szkodliwych emisji: gazowe, elektryczne i wodorowe. Autobusy gazowe i elektryczne w zasadzie zdominowały obecnie rynek nowo kupowanych autobusów, jednak biorąc pod uwagę względy ekonomiczne, zdecydowanym zwycięzcą są autobusy gazowe – mimo, że dotychczasowe rządowe programy dofinansowań premiowały pojazdy elektryczne. Powód tej przewagi gazowców jest prosty – koszt takiego pojazdu waha się w przedziale od 1 do 1,2 mln zł. Autobus elektryczny już na wstępie jest droższy nawet dwukrotnie – ich ceny oscylują w przedziale od 2 do nawet 2,5 mln zł.

Dla każdego samorządowca, który intensywnie kalkuluje coroczny budżet, tego typu wydatki odgrywają olbrzymią rolę. Zwłaszcza, że zakup autobusu miejskiego w Polsce to, w zależności od wielkości miasta i natężenia ruchu, perspektywa jego średniego użytkowania od 10 do 20 lat. W przypadku autobusów elektrycznych taka perspektywa jest kluczowa, ponieważ obecnie stosowane technologie zakładają wymianę baterii po kilku latach. Koszt takiej operacji, w zależności od typu i pojemności baterii, oscyluje wokół kilkuset tysięcy złotych, co wyraźnie obniża ich konkurencyjność cenową. Ponadto średni dystans przejeżdżany dziennie przez autobus komunikacji miejskiej w Polsce wynosi ok. 300–350 km, podczas gdy realne zasięgi pojazdów elektrycznych, w zależności od producenta, wahają się od 120 do 230 km. To około dwa razy mniej niż w przypadku autobusów gazowych, które są w stanie przejechać do 400 km na jednym tankowaniu. Oznacza to również, że aby obsłużyć tę samą liczbę tras, samorząd musiałby zakupić ok. 50 proc. autobusów więcej.

– W naszej firmie na 33 autobusach CNG aktualnie uzyskujemy 25 proc.

MATERIAŁ PARTNERSKI

eprasa.pl 2c0af773a0

oszczędności w stosunku do diesli, co rocznie przekłada się na ok. 900 tys. zł oszczędności na paliwie. To znacząca kwota dla naszego budżetu. W przypadku autobusów elektrycznych nie wolno zapominać o konieczności wymiany baterii po 5-7 latach intensywnego wykorzystania pojazdu. Doświadczenia rynkowe pokazują, że ten koszt może wynosić nawet 950 tys. zł, czyli tyle, ile kosztuje nowy pojazd diesla, i niewiele mniej od autobusu zasilanego CNG (1,1 mln zł) – podkreśla Jerzy Wiatr, prezes MPK Tarnów. – Ten dodatkowy koszt wraz z wysoką ceną zakupu pojazdu oraz kosztami utrzymania infrastruktury do ładowania kompletnie rujnują jakiekolwiek marzenia o opłacalności autobusu elektrycznego względem innych napędów. Z mojej perspektywy pojazdy CNG to idealne rozwiązanie dla mniejszych ośrodków, które dbają zarówno o swój budżet, jak i o środowisko naturalne – dodaje.

Według danych przewoźników koszt przejechania 1 km – przy założeniu, że w całym okresie użytkowania autobus pokona dystans 800 tys. km – w przypadku autobusu gazowego wynosi 4,92 zł/km, a w przypadku autobusu elektrycznego 8,31 zł/km. To niemal 69 proc. więcej! Analizy wskazują również, że łączny koszt eksploatacji autobusu elektrycznego, obejmujący między innymi koszty serwisu i paliwa, jest blisko dwukrotnie wyższy niż w przypadku pojazdu na gaz ziemny.

Względy ekonomiczne i ekologiczne przyczyniają się do rosnącej popularności paliwa gazowego w polskim transporcie publicznym w ostatnich latach. W segmencie autobusów ekologicznych prawie co drugi sprzedawany w Polsce w 2020 r. egzemplarz był zasilany paliwem CNG. Tylko w ubiegłym roku na ulice polskich miast wyjechało 165 autobusów gazowych, co oznacza, że ich łączna liczba wynosi ponad 800 w skali całego kraju. W ostatnich latach na wykorzystanie ekologicznego gazu ziemnego w transporcie publicznym postawiły m.in. Warszawa, Rzeszów, Tarnów, Tychy czy Bielsko-Biała. Zwłaszcza te dwa ostatnie miasta potwierdzają tezę, że walka ze smogiem, z którym boryka się Śląsk, przejawia się w dużej mierze przez inwestycje we flotę autobusów gazowych.

EUROPA TEŻ INWESTUJE W GAZOMOBILNOŚĆ

W obecnych warunkach w Polsce energia wykorzystywana do ładowania autobusów elektrycznych pochodzi przede wszystkim ze spalania węgla. Zanim Polska zacznie na szeroką skalę pozyskiwać energię elektryczną z zielonych źródeł i z czystym sumieniem będzie można powiedzieć, że pojazdy elektryczne są naprawdę zeroemisyjne, optymalnym wyborem na ten okres przejściowy są niskoemisyjne paliwa, takie jak gaz CNG i LNG. Do podobnych wniosków doszły także inne kraje.

– Oparcie komunalnej floty na paliwie CNG to nie tylko kierunek Polski, lecz także trend międzynarodowy, europejski. W Madrycie autobusy na CNG stanowią obecnie 50 proc. całej floty. W Brukseli od 2015 r. w miejsce autobusów z silnikami Diesla zamawiane są pojazdy z napędem CNG – podkreśla Marcin Szczudło, wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny, odpowiedzialny za obszar CNG/LNG. – W tym aspekcie należy podkreślić także pozytywną rolę polskich samorządów, które dzięki inwestycjom we flotę napędzaną paliwem CNG stawiają nas w europejskiej czołówce. W 2019 r. autobusy na CNG stanowiły duży odsetek wszystkich kupowanych pojazdów: w Szwecji było to ponad 45 proc., w Hiszpanii – ok. 40 proc., we Francji – 30 proc., a we Włoszech – ponad 20 proc. Polska z wynikiem niemal 20 proc. była pod tym względem na piątym miejscu w Europie – dodaje.

Idąc za ciosem, Bruksela stawia na śmieciarki napędzane gazem ziemnym, które emitują nawet trzykrotnie niższy hałas niż diesel. Tego typu pojazdy mogą jeździć nocą, co ogranicza ruch w szczycie komunikacyjnym w ciągu dnia. W Oslo autobusy na biogaz są jednym z kluczowych elementów modernizacji taboru w drodze do transportu bezemisyjnego. W szwedzkim Malmö dominują autobusy CNG (w tym na sprężony biometan CBG). Podobnie jest w Czechach, gdzie autobusy CNG jeżdżą po ulicach Brna (100 pojazdów, czyli jedna trzecia całej floty) i Ostrawy (zakup 105 pojazdów). Z kolei poczta czeska całkowicie przestawia się na pojazdy napędzane gazem ziemnym – flota liczy tam 1 tys. takich pojazdów.

Duża popularność pojazdów gazowych w Europie związana jest z konsekwentnie rozbudowywaną infrastrukturą tankowania. Obecnie na Starym Kontynencie działa ponad 3,9 tys. stacji CNG i 360 LNG. Polska ma w tym obszarze sporo do nadrobienia, gdyż w naszym kraju działa obecnie niewiele ponad 20 stacji tankowania, jednak ze względu na wymogi ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych do końca tego roku zostaną zbudowane 23 kolejne. Najwięcej stacji CNG i LNG znajduje się we Włoszech – 1392, w Niemczech – 841 oraz Czechach – 209. Co ważne, ich liczba będzie stale rosnąć, ponieważ paliwa gazowe są uwzględnione w Europejskim Zielonym Ładzie, powszechnie znanym jako European Green Deal.

Eksperci są zgodni, że przyszłość transportu będzie należała do napędów zeroemisyjnych – elektrycznych, opartych na energii z OZE oraz wodorowych. Skala wyzwania jest jednak ogromna. Dość powiedzieć, że moc jednej ładowarki dla autobusu elektrycznego wystarczyłaby do zasilenia 75 gospodarstw domowych. To oznacza, że flota zaledwie 100 autobusów miejskich wymaga dostarczenia energii elektrycznej równej zapotrzebowaniu aż 7,5 tys. gospodarstw domowych! Dla porównania po samej Warszawie jeździ ok. 1,4 tys. autobusów. Szybki wzrost liczby autobusów elektrycznych oznaczałby gigantyczne obciążenie dla całego systemu przesyłowego, który już teraz notuje rekordowe użycie energii elektrycznej. Nie bez znaczenia jest również miks paliwowy wykorzystywany w produkcji energii – korzyści ekologiczne z wykorzystania autobusów elektrycznych są tym większe, im więcej czystej energii, np. z OZE, jest produkowanej w danym kraju.

WALKA O POLSKĄ GOSPODARKĘ

Zakup flot autobusów gazowych przez polskie samorządy ma także inny wymiar – dbałość o rozwój polskich przedsiębiorstw. Jednym z nich jest Autosan, który dzięki pomocy polskiego rządu otrzymał niepowtarzalną szansę odbudowy upadających zakładów. Firma z Sanoka tylko w 2020 r. sprzedała 60 nowych autobusów gazowych, które stanowiły ponad 80 proc. całkowitej sprzedaży! W roku 2020 Autosan wygrał też prestiżowy przetarg na dostawę 90 autobusów napędzanych gazem LNG dla Warszawy.

Polscy przewoźnicy nie bez przyczyny w ostatnich latach coraz częściej decydują się na zakup autobusów gazowych zamiast pojazdów na olej napędowy. Wpływają na to zarówno czynniki ekonomiczne, ekologiczne, jak i regulacyjne – między innymi dzięki odważnym decyzjom polskiego rządu, takim jak uwzględnienie pojazdów gazowych w ustawie o elektromobilności i paliwach alternatywnych czy ustanowienie zerowej stawki akcyzowej na sprężony gaz ziemny CNG i skroplony gaz ziemny LNG służący do celów napędowych.

eprasa.pl 2c0af773a0

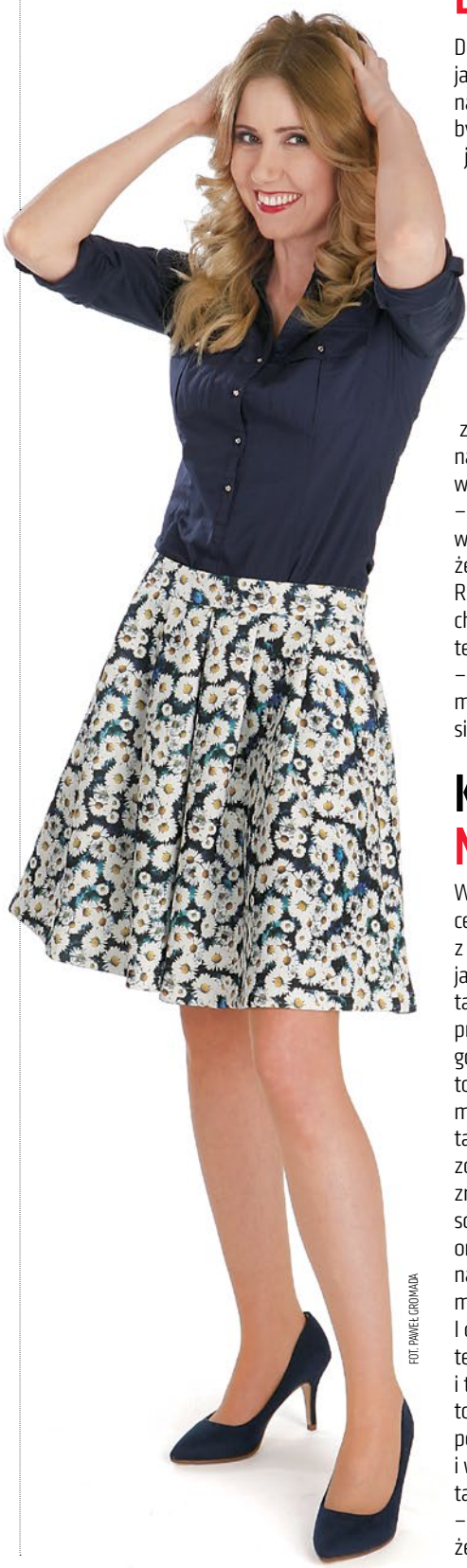

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIANIE DO PRZEDSZKOLA!

Dorota Zawadzka, psycholog, znana bardziej jako „Superniania" z programu telewizyjnego, napisała na Twitterze, że duchowni nie powinni być obecni w debacie publicznej, bo ich miejsce jest w kościołach. „Kompletnie nie rozumiem obecności księży w mediach. Powinni być jedynie w kościołach" – stwierdziła. My też kompletnie nie rozumiemy obecności pani „Superniani" w mediach. Jej miejsce jest w przedszkolu. Zwłaszcza mentalnie.

CO ZA SZOK!

Superniania po fali negatywnych komentarzy z powodu jej wpisu odniosła się do tego, co napisała. Oburzyła się, że jakoś inne jej wpisy nie wzbudzają aż takiego zainteresowania.
– Niesamowite. Zawadzka nie chce księży w mediach. Dlaczego nikt się tak nie przejmuje, że Zawadzka chce odwołania Pawlaka z funkcji RPD, że chce psychologa w każdej szkole, że chce, by dorośli nie bili dzieci i uznali, że klaps to też przemoc, że chce dla dzieci życia bez smogu? – pytała retorycznie. Nie ma to jak palnąć megagłupotę, a potem dziwić się, że ktoś puka się w czoło.

KTO TU JEST NORMALNY?

Wokalistka Katarzyna Nosowska w radiu Newonce wyznała, że bardzo chciałaby porozmawiać z Jarosławem Kaczyńskim, i lubi myśleć sobie, jakby to było. – Ja lubię sobie wyobrażać, że tak se myślę, że gdyby mi ktoś go na chatę przytargał, gdyby ktoś mi go dowiózł [...]. No, ale gdybym tak może mu coś ugotowała, dajmy na to. Tak bym na przykład... Nie wiem. Może bym mu trochę gliny dała, teraz trochę w glinie robię, taką kulkę gliny i tak powiedziała: „A proszę zobaczyć, z wałeczków taki byśmy kubeczek zrobili". Może on by zrobił ten kubeczek. Ja lubię sobie wyobrażać takie nierealne scenariusze, że on nagle siedzi i ja mu daję tę glinę, on jest taki naburmuszony i mówi: „Co pani pie.doli?", ale ja mówię: „Tylko jeden kubeczek. Tu taki wałeczek". I on tak bierze w te swoje rączki takie i tak bierze ten wałeczek i tak nagle robi ten kubeczek i tak mu rośnie ta glina, a ja mówię: „A teraz to poszkliwimy" i on: „Jak to poszkliwimy, jak poszkliwimy?", a ja mówię: „Tak poszkliwimy" i właśnie on to szkliwi i wychodzi mu z piecyka taki jego własny kubeczek. I on nagle wymięknie – rozmarzyła się Nosowska. I ci ludzie twierdzą, że to z prezesem PiS jest coś nie tak?! Aha.

ABSTRAKCYJNE SCENARIUSZE

To jeszcze nie koniec wywodów wokalistki Nosowskiej. Okazuje się, że fantazji na temat spotkań z prezesem PiS ma więcej. – Albo ja sobie wyobrażałam na przykład, że, że nie wiem, że na przykład on czyta moją książkę. Chociaż wiem, że to niemożliwe, ale czyta. Bo tam jest ten rozdział o kocie sąsiada, gdzie ja mówię, że ja nie za bardzo z kotami jestem, a on przecież kocha koty. I gdyby na przykład okazało się, że on czyta tę książkę i, tak sobie myślałam, i nagle mówi tak: „Wydzwońcie mi tę Nosowską". I on dzwoni i mówi tak: „To jest o mnie". I mamy to. I on nagle występuje w telewizji i mówi tak: „Słuchajcie, ja już wszystko teraz wiem, przepraszam. Słuchajcie, co byście chcieli?". I my mówimy: „A my to, a my tamto...". Ja lubię sobie wyobrażać takie, no wiecie, takie abstrakcyjne scenariusze, że takie coś się dzieje, strasznie mnie to jara. Dużo czasu nad tym spędzam – wyznała. Może powinna jednak zmienić hobby. Dla własnego dobra. Psychicznego.

ANALITYCZNY UMYSŁ

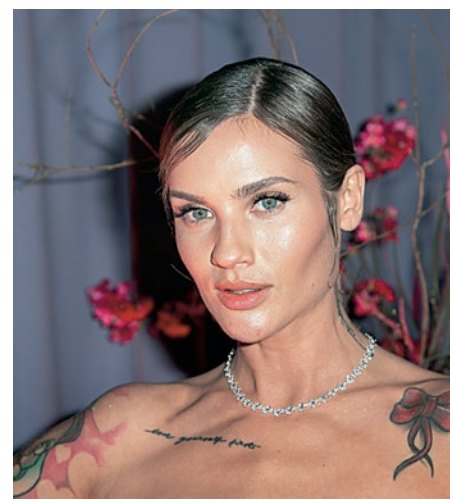

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Karolina Gilon, nowa, początkująca jeszcze gwiazda Polsatu, wyznała, że za nic w świecie nie zgodziłaby się na pracę w mediach publicznych.
– Nie ma takiej opcji. Musiałabym być twarzą i podpisać się po tym, co tam się dzieje, a wszyscy wiemy, kto tą stacją rządzi – stwierdziła.
– Dla mnie to jest dramat. Masakra – dodała dramatycznym tonem, nie precyzując, na czym polegają dramat i masakra. – Dajcie nam być wolnymi ludźmi, nie róbmy z tego kraju komuny. Cały czas musimy walczyć o wolność. Przykre, że śmieją się z nas na świecie – zaapelowała na koniec. Z was może i tak. Słuchając politycznej analizy pani Gilon, trudno o powagę. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w tym kraju jest już południowoafrykański wariant koronawirusoosoby i trochę mu się dziwimy, że się nie bał tu przyjść. W dodatku odkryto go po raz pierwszy na Podlasiu, mamy nadzieję, że miejscowi go nie zjedzą :/

W każdym razie, refugees welcome! (pamiętacie te problemy? xD)

Sami nie wiemy, czy to wiadomość pozytywna czy negatywna, ale na polski rynek weszła nowa sieciowa kawiarnia, która oferuje kawę za 6 zeta. Z jednej strony spoko, bo na więcej będziemy mogli sobie pozwolić, a z drugiej nie spoko, bo kawą za 6 zeta nie zrobimy na nikim wrażenia na Instagramie.

W dodatku, nie zrozumcie nas źle, taka sieciówkowa kawa na wynos nie powinna być przesadnie egalitarna, iż spoko, kiedy pije ją absolwent kulturoznawstwa z korpo, ale gorzej, jeśli sięga po nią majster Janusz z pobliskiej budowy.

Tylko prosimy, pamiętajcie, że to nie jest klasizm (w końcu mamy poglądy tolerancyjne, lewicowe, progresywne), to jest po prostu kwestia spójności wizerunku.

A poza tym zawsze możemy tańszą kawę przelać do naszego przechodniego kubka po droższej kawie, który kolektywnie posiadamy w ramach naszego teamu sprzedażowego.

W ramach dzielenia kraju na lepsze i gorsze regiony właśnie zamknięte zostało województwo warmińsko-mazurskie. Oficjalnie z powodu przyrostu osób zakażonych koronawirusoosobą.

My jednak pragniemy zauważyć, iż w wyborach prezydenckich Trzaskowski pokonał tam Dudę. Teraz to zamknięcie. Przypadek?

Śledźcie, kochani, uważnie kolejne restrykcje, przyglądajcie się dokładnie, które województwa będą zamykane i jak tam głosowano. Analizujcie i miejcie otwarte umysły.

Nowy z Tarnowa jako zapalony kibic piłki nożnej i skoków narciarskich ekscytuje się właśnie trwającymi mistrzostwami świata w narciarstwie klasycznym.

To w jego przypadku jest właśnie spójność wizerunku :(Wyobrażacie sobie nowego, który interesowałby się narciarstwem progresywnym? No właśnie.

W ogóle to ciekawe, jak to narciarstwo progresywne mogłoby wyglądać. Może bez użycia śniegu albo bez użycia nart, a zamiast nich – na łyżwach?

Albo w ogóle pozostałoby w sferze konceptualnej, a zawodnicy rywalizowaliby wyłącznie w świecie idei? Supersprawa, my się nie możemy doczekać. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pan Władek

Pokaż no tę listę, Błażej. A co to ma być?! Na pozycji 125. „doradca do spraw likwidacji kretowisk"?! Mamy szczęście, że nam tego nie wyciągnęli. No nie, trzeba tych doradców koniecznie zweryfikować!

Ale Andrzej, przecież sam go przyjmowałeś. Nawet mała uroczystość była.

Bez żartów. Niby kiedy?

Mnie tu jeszcze nie było, ale trafiłem na archiwalny film. Jakiś 2016 r. W ogrodzie.

Ale po co?!

Żeby pomógł likwidować kretowiska. Pani Agata się skarżyła.

Nie wiem, może i tak, nie pamiętam, ale musimy go skreślić. Albo to: 116 – „doradca ds. sprzętu". To niby co ma być? Jakiego znowu sprzętu?

Pan Władek.

Jaki pan Władek?

Ten, co ci doradza w kwestii kijków, kasków, wiązań...

A, pan Władek. To zostawiamy, rzecz jasna. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pamiętajcie: nie tankujemy na Orlenie!"

ADAM SZŁAPKA, *poseł Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze*

eprasa.pl 2c0af773a0

Ach, życie trendsetterów… Miesiąc temu pisaliśmy, że szykuje się obcięcie list wyborczych Zjednoczonej Prawicy z przystawek, tfuj, znaczy – z koalicjantów. A tu teraz głośno powiedział to marszałek Ryszard Pies Terlecki. No więc tak, szykuje się w ramach kary za koalicyjne nieposłuszeństwo. Znaczy Nowogrodzka puszcza takie sygnały.

A teraz objaśnienie. Jak nam opowiadają wiewiórki z Nowogrodzkiej, te sygnały kierowane są do tzw. szeregowych posłów koalicyjnych przystawek. Żeby się zastanowili nad swoją przyszłą karierą: Czy chcą za dzisiejsze brewerie zapłacić w przyszłości kandydowaniem z list ugrupowań, które może i dostaną po 1–2 proc. w wyborach, ale za to 0 proc. miejsc w Sejmie? Szeregowi posłowie przystawek mają dzięki tej refleksji sabotować utrudniające życie PiS działania swych szefów oraz śnić o niebie, tzn. miejscach na listach PiS.

Jakby było mało, kolejna zgryzota dla Zjednoczonej Prawicy. Ujawnialiśmy tydzień temu, że sprawa hajlującego doktora Greniucha przesądziła o przyszłości szefa IPN i Jarosław Szarek nim nie będzie w kolejnej kadencji. Wściekł się m.in. prezydent Andrzej Sebastian. Z następcą jednak będzie kłopot. Widzicie bowiem, musi go klepnąć także Senat – tak jak kandydata na RPO. A w Senacie jak jest, każdy widzi.

Tymczasem w PiS. O dziwo, z mniejszym niepokojem patrzy się teraz na słupki sondażowe niż na słupki pomiaru stanu wód. Wszyscy bowiem pamiętają, ile kosztowała Cimoszewicza i resztę komuszków wielka powódź stulecia w 1997 r. Z obawy przed powtórką PiS porzucił nawet swój germanosceptycyzm i polskie lodołamcze na Odrze pracują burta w burtę z niemieckimi.

Swoją drogą… wracamy do sytuacji w koalicji. Jak się okaże, że rząd PiS, który wygra (wiele na to wskazuje) z pandemią, powodzią, Unią Europejską, kryzysem ekonomicznym, luką VAT, gigantami cyfrowymi, gradobiciem oraz ze wszystkimi innym wyobrażalnymi klęskami oprócz inwazji z kosmosu, upadnie ostatecznie z powodu brykania Gowina i Ziobry, to nie będzie chichot historii. To będzie jej rechot.

W TVN trwają dożynki. Nie ma tygodnia, żeby nie ogłoszono, że jakaś gwiazda opuszcza pokład. Z naszych informacji wynika, że to nie koniec takiej, no… nazwijmy to, „restrukturyzacji". Podobnie jest w „GazWybie". Z gwiazdą śmierci z Czerskiej po latach poniewierki pożegnał się niejaki Wojciech Orliński. Ten sam, który przed laty pożenił komunistycznego bandytę o nazwisku Sasin z obecnym wicepremierem, utrzymując, że są krewnymi. Ale nie za to wyleciał. Od lat był na Czerskiej cierniem w oku tych, którym nie jest wszystko jedno. Powód był prozaiczny – ośmielił się założyć związek zawodowy. Lewicowość lewicowością, ale związek zawodowy w firmie? Co to, to nie.

Apropos TVN. Rok już mija od chwili, kiedy stacja złożyła wniosek o przedłużenie koncesji na nadawanie. Bieżąca koncesja wygasa we wrześniu. Przy Wiertniczej niektórzy się pocieszają, że zgodnie z prawem można nadawać, posiadając koncesję w jakimkolwiek kraju Unii Europejskiej. To prawda. Ale jednak koncesja na nadawanie to jedno, a koncesja na nadawanie naziemne i przez multipleks to coś zupełnie innego. Nasze wiewiórki mówią, że nerwowość jeszcze trochę potrwa.

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Z dyplomacji. Po tym, jak padła kandydatura Piotra Jeglińskiego na ambasadora w Paryżu, na orbicie pojawił się nowy kandydat. Musimy przyznać, że jesteśmy pełni podziwu dla jego skuteczności. Jest nim bowiem Eryk „wszystko, co najważniejsze" Mistewicz. Przyjaciele Jeglińskiego szaleją tymczasem na mieście i szukają winnych uwalenia kandydatury sławnego wydawcy. Podpowiadamy: szukajcie na Nowogrodzkiej. Z tego, co słyszeliśmy, to niezbyt przychylnie wypowiedział się na ten temat szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński.

Objawił się nowy kandydat na premiera rządu Zjednoczonej Prawicy. A właściwie kandydatka. To europosłanka Jadwiga Wiśniewska, która w zaufaniu różnym ludziom opowiada, że jest bardzo blisko tego stanowiska. Podajemy tę wiadomość, aby zagościł w dzisiejszym wydaniu rubryki jakiś element czysto humorystyczny, gdyż takich przecież zabraknąć nie może.

Nasi czytelnicy to wiedzą – lubimy czytać. A nawet czytać i pisać. Niestety, ekipa portalu Lubimyczytac.pl nie lubi czytać, zwłaszcza książek Ziemkiewicza. W związku z tym wywaliła „Chama niezbuntowanego" z plebiscytu na książkę roku. Znaczy: „nie podjęła decyzji o nominowaniu". Nic nowego pod słońcem – od czasu, gdy w kategorii „literatura faktu" zaczęli wygrywać prawicowi autorzy, taki Empik na przykład po prostu skasował w swoich nagrodach tę kategorię. Stłucz pan termometr, gorączka zniknie – jak mawiał Lech Bolek Wałęsa.

Żeby było śmieszniej (a w III RP to oznacza „smutniej"), wedle danych ScanBook Nielsena książka Ziemkiewicza była w roku 2020 jedną z 10 najchętniej kupowanych w Polsce, a liczono także pornosy, poradniki i inne takie. Jednak nie można na nią głosować. Za to oddać głos można na dziełko Klementyny Suchanow o złych mężczyznach i złym Kościele oraz na wynurzenia pana Tryczyka, w stylu Grossa, o tym, jak Polacy zabijali Żydów. Mimo że kupował je mało kto. Czy kogoś jeszcze dziwi, że patronat nad tym wielkim świętem wolności i literatury mają Allegro oraz Onet? ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
NAGRODY

WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

eprasa.pl 2c0af773a0

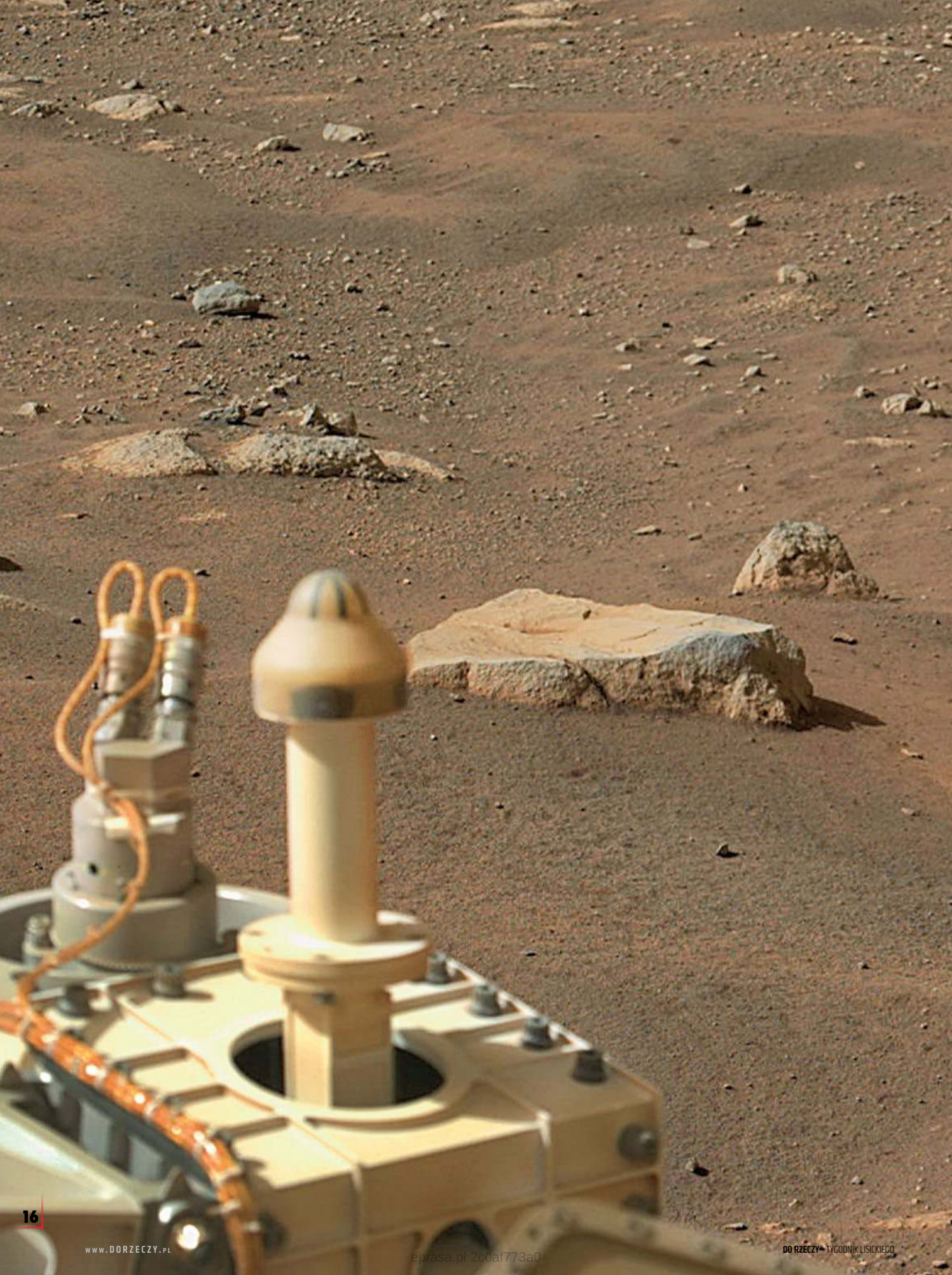

eprasa.pl 2c0af773a0

HISTORYCZNA MISJA NA MARSIE

NASA opublikowała film, ukazujący lądowanie na Marsie łazika planetarnego Perseverance. Łazik wziął się już do pracy i zdążył przesłać na Ziemię nie tylko pokaźny zasób zdjęć, przedstawiających Czerwoną Planetę, lecz także pierwsze w historii nagrania dźwięków z Marsa. Kosmiczny pojazd zajmuje się również zbieraniem próbek skał, poszukiwaniem śladów życia oraz identyfikowaniem dawnych środowisk zdolnych do podtrzymywania życia mikrobiologicznego.

Z kolei sonda Mars Reconnaissance Orbiter – która na orbicie Czerwonej Planety krąży od marca 2006 r. – odkryła krater, którego kształt przypomina granice Polski. Niewykluczone, że obiekt mierzący od 100 do 180 metrów to wulkaniczna jaskinia, ich istnienie znacząco ułatwiłoby zaś przyszłą kolonizację Marsa. ***(jap)*** ©℗

FOT. NASA/UPI/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 2c0af773a0

Jak uratować Polskę

Wojciech Golonka

Jako społeczeństwo utraciliśmy instynkty, nastawienie i optykę, które były oczywiste dla naszych przodków i pozwalały na przyrost naturalny. Musimy zneutralizować czynniki, które paraliżują naturalne dla społeczeństwa potrzeby

Tak złych danych nie było od drugiej wojny światowej" – to w ostatnim czasie częsty nagłówek, gdy chodzi o statystyki śmiertelności wśród populacji, ale także negatywny przyrost naturalny. Dane podane przez Główny Urząd Statystyczny za 2020 r. są rzeczywiście zatrważające: w zeszłym roku zarejestrowano w Polsce 355 tys. żywych urodzeń, a odnotowano ok. 470 tys. zgonów, zatem ubyło w naszym kraju aż 115 tys. obywateli. To tak, jakby z mapy Polski w ciągu roku znikało miasto wielkości Dąbrowy Górniczej, Elbląga czy Włocławka. Słychać wprawdzie głosy minimalizujące rozmiar problemu, wskazujące, że jest to wynik nadzwyczajnej sytuacji związanej z COVID, a „zaplanowane" przez pary dzieci ostatecznie kiedyś się w końcu poczną i urodzą. Oby! Nie zmieni to jednak ogólnej sytuacji, gdyż identyczne alarmujące wieści słychać było jeszcze przed COVID-ową zawieruchą, przy podsumowaniu statystyk za 2019 r. Wówczas ludność Polski skurczyła się o 35 tys. mieszkańców, tyle mniej więcej zamieszkuje Sopot, a rok 2018 także zakończył się zmniejszeniem liczby Polaków o ok. 26 tys., co odpowiada populacji Zakopanego. W rzeczywistości mamy do czynienia ze stałym zjawiskiem od 2012 r., od kiedy to ubyło łącznie ponad ćwierć miliona rodaków – to tak, jakby zniknęło miasto pokroju Częstochowy, Gdyni czy Katowic.

Dodać trzeba, że już prognozy GUS z 2014 r. zapowiadały nasilenie się tej katastrofy depopulacyjnej (rzecz trzeba nazywać po imieniu), szacując, że w 2050 r. będzie w Polsce mniej niż 35 mln mieszkańców, i to przy uwzględnieniu „liczby długookresowych migracji rejestrowanych", a więc także całej zagranicznej siły roboczej, którą sprowadzamy do kraju.

eprasa.pl 2c0af773a0

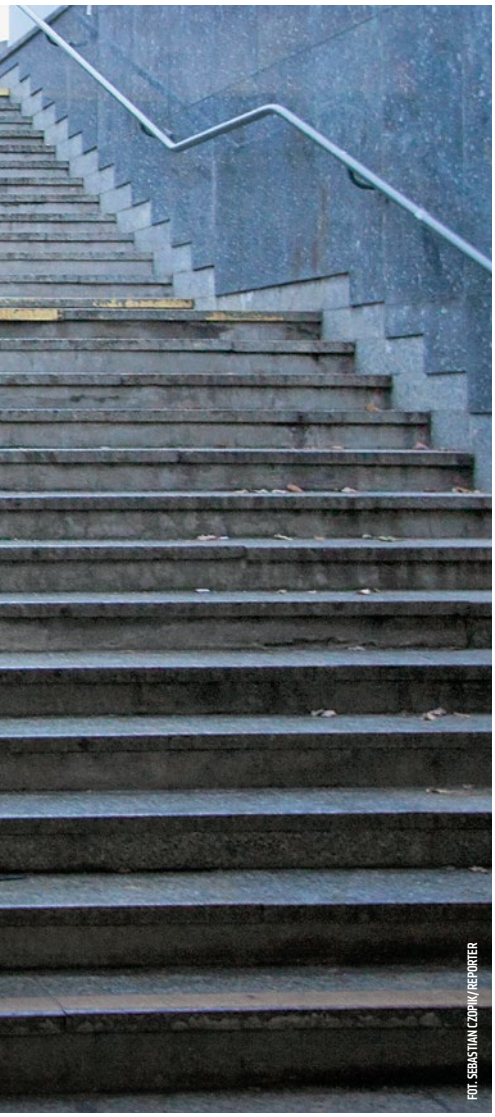
FOT. SEBASTIAN CZOPIK/REPORTER

GUS szacował również, że przeszło jedną trzecią ówczesnej populacji będą stanowić seniorzy w wieku powyżej 65 lat. Dla kontrastu przypomnijmy, że obecna „najstarsza" populacja na świecie w Japonii liczy ok. 28 proc. seniorów i bynajmniej nie jest wolna od społecznych komplikacji wynikających z tego stanu rzeczy. A sama prognoza wydaje się wiarygodna: wprawdzie rok po wprowadzeniu programu „500+", w 2017 r., saldo demograficzne zgonów i narodzin chwilowo się zbilansowało, ale było to wydarzenie jednorazowe, jakby rodzice zdecydowali się nieco szybciej na potomstwo, które i tak wcześniej planowali. Zasiłek dziecięcy nie tyle więc odwrócił trend depopulacyjny, ile po prostu poprawił położenie ekonomiczne uboższych rodzin. Jednak wbrew pierwotnym założeniom nikt już nie traktuje „500+" jako narzędzia polityki demograficznej.

Przykra prawda jest taka, że Polska, podobnie jak i inne nacje Zachodu, nie tylko się postarzała, lecz także zaczęła obumierać na naszych oczach. Schemat ten w zasadzie jest wszędzie podobny, a doskonale ujął go zespół Mes Aïeux z Quebecu w jednej ze zwrotek swej głośnej piosenki „Degeneracja" z 2004 r.: „Twa praprababka miała czternaścioro dzieci, prawie tyle samo miała ich twa prababka, a twa babka trójkę miała – starczyło; z kolei twa matka nie chciała żadnego – ty zaś jesteś tylko wpadką. I ty, córciu, wciąż zmieniasz sobie partnerów, a gdy porobisz głupstwa, ratujesz się aborcją. Są jednak poranki, gdy budzisz się, płacząc, po tym, gdy śniłaś nocą o dużym stole otoczonym dziećmi".

Nawiasem mówiąc, tę kultową (sic!) we francuskojęzycznej Kanadzie piosenkę na koncertach zespołu śpiewała także gościnnie Céline Dion, będąca w swej rodzinie ostatnią z 14 potomstwa, a zarazem matką trzech chłopców. Trudno więc mówić o jakimś wyolbrzymionym stereotypie „Degeneracji", która opisując szeroko rozumiany proces exodusu ze wsi do miast, po prostu tchnie realizmem.

KSIĄŻĘ HARRY DBA O EKOLOGIĘ

Różnorakich wątków składających się na to, że Zachód w swym ogóle dzieci mieć po prostu nie chce, niestety nie brakuje. Jedne są świadome, inne nieświadomie zakodowane. Duża część wynika z wolnego wyboru, choć nie bez naporu promowanych w kulturze wzorców. Bywają też takie, które są mniej lub bardziej wprost wymuszone przez zewnętrzne warunki. Wymieniając je w dużym skrócie: eufemistycznie rozumiana polityka „zdrowia rozrodczego" czy „praw reprodukcyjnych", czytaj: wszelkiej maści maltuzjanizmy (doktryny głoszące przeludnienie Ziemi) i ich pochodne; nowoczesny styl życia, czyli nieumiarkowane hedonizm i konsumpcjonizm, niekompatybilne z obowiązkami i trudami rodzicielskimi; społeczne wzorce antynatalistyczne, a nawet antyrodzinne, napędzane dodatkowo niedoborem męskiej odpowiedzialności i feministyczną emancypacją; wolne, czyli ulotne i nietrwałe związki; pozornie wiecznie beztroski, ale zazwyczaj bezpłodny stan zabezpieczonego finansowo singla tudzież, bardziej prozaiczne, ale niestety nierzadkie: właśnie brak bezpieczeństwa finansowego, wiary w swoje możliwości rodzicielskie, a nawet lęk przed kruchością związku w dobie pandemii rozwodów, nakazujący ograniczyć się z potomstwem, którego nikt nie chce wychowywać potem w samotności.

Odkładając na bok dramat par borykających się z bezpłodnością, powyżej wymienione trendy można, bez złośliwości, odmieniać przez wszystkie co bardziej jaskrawe przypadki. Nierzadko komiczne, gdy przesłanką antynatalistyczną jest troska o ekologię, inne gatunki, emisję dwutlenku węgla do atmosfery i to, co podpowie moda danej chwili. To właśnie z powodu „zagrożenia klimatycznego" książę Harry i Meghan ogłosili w lipcu 2019 r., że nie będę mieli więcej niż dwojga dzieci, zachęcając wszystkich do narzucenia sobie podobnych ograniczeń.

Są też trendy stanowiące diametralne zaprzeczenie naturalnego porządku rzeczy i choć statystycznie sporadyczne, są obecnie nakręcane i nagłaśniane, a przez to jeszcze groźniejsze społecznie: oto, o ironio, adepci związków jednopłciowych, z natury bezpłodnych, a zarazem zwolennicy sztucznej prokreacji z pomocą dawców gamet czy matek surogatek walczą jak o największą świętość o prawo do aborcji bez ograniczeń, czytaj: uśmiercania naturalnie poczętych dzieci. Ekologiczne dbanie o to, co naturalne, jest niemile widziane, gdy chodzi o ludzką prokreację.

Tymczasem rodzaj ludzki ma w sobie niesamowity potencjał odbudowy populacji po poważnych zaburzeniach na skutek katastrof, wojen, plag itp., czego najlepszym przykładem są dane liczebności mieszkańców Polski w XX w. Jeśli szacuje się, że tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej populacja nieistniejącej wówczas Polski liczyła 30 mln mieszkańców, to w 1920 r. było ich już tylko 26,5 mln. Jednak końcówka międzywojnia skończyła się na poziomie aż 35 mln dusz, co daje ponad 30 proc. przyrostu populacji w niecałe 20 lat! Jeszcze większa dynamika – i to mimo ujemnego salda migracji, trudnych czasów i rozpowszechnionej w PRL aborcji – miała miejsce tuż po hekatombie drugiej wojny światowej: w 1946 r. było nieco ponad 23,5 mln mieszkańców, a w 1966 r. już prawie 32 mln. Podobne odrodzenie populacyjne byłoby, teoretycznie, jak najbardziej możliwe i w naszych czasach. Sęk w tym, że naturalna zdolność rozrodcza jest w nas społecznie stłumiona i wciąż zagłuszana przez szeroko pojmowaną nowoczesność czy nawet ponowoczesność. Ta paraliżuje nasze naturalne potrzeby reprodukcyjne, takie jak instynkt macierzyński u kobiet

eprasa.pl 2c0af773a0

czy instynkt budowania czegoś trwałego u mężczyzn, choćby rozkwit swego potomstwa czy przekazanie dalej nazwiska rodu. Co więcej, nawet naturalne zróżnicowanie płci jest obecnie sztucznie zacierane, a kolejni producenci, w tym polskie marki, wprowadzają serie ubrań „unisex".

Rodzina, podstawowa i naturalna komórka społeczna, ma ustąpić miejsca jednostkom wyobcowanym z ich biologicznego i psychologicznego dziedzictwa. Nie sposób nie dostrzec podobieństw z eksperymentem mysiej utopii Johna Calhouna z lat 1968–1972, podczas którego zamknięcie ośmiu gryzoni w optymalnych warunkach dobrobytu doprowadziło najpierw do prężnego wzrostu populacji, a następnie do degeneracji naturalnych dla każdej płci instynktów, porzucania młodych osobników (co skutkowało ich swoistym „autyzmem"), dewiacji seksualnych (jak to określano), zaniku prokreacji, a ostatecznie do wymarcia całej populacji po 1588 dniach eksperymentu.

ZMIANY WEWNĄTRZ KOŚCIOŁA

Paraliż demograficzny nie omieszkał też dotknąć z natury pronatalistycznego katolicyzmu, który onegdaj mógł się szczycić wielodzietnymi rodzinami na całym świecie. Te czasy, poza chlubnymi wyjątkami, minęły, a sam papież Franciszek w jednej z wypowiedzi na początku pontyfikatu raczył porównać wielodzietne matki do królików. Ojciec Święty dał tym dobitnie wyraz nie tyle swej złośliwości, ile „przeprogramowania", które dotknęło katolików w okresie posoborowym. Wystarczyło lekkie, nawet niepozorne przesunięcie akcentów, ale jakże daleko idące w skutkach. Na przekór dotychczasowemu nauczaniu Kościoła na ostatnim soborze wśród nowinek ogłoszono, że pierwszym celem małżeństwa jest samospełnienie małżonków, a dopiero potem zrodzenie potomstwa. Jest to zmiana o tyle subtelna, że rzeczywiście samospełnienie jest naturalnie pierwsze w intencji zakładającego rodzinę, podobnie jak zaspokojenie apetytu jest zazwyczaj głównym powodem spożywania przez nas posiłków. Ale tak jak pierwszym celem przyjmowania pokarmów jest podtrzymanie sił, zdrowia i życia, podobnie pierwszym hierarchicznie celem naturalnej instytucji małżeństwa jest zrodzenie i wychowanie potomstwa. Gwoli sprawiedliwości – przy okazji nauki na „Anioł Pański" w niedzielę 7 lutego papież Franciszek, mocno zaniepokojony demograficzną hekatombą w Italii, gdzie od sześciu lat demografia leci na łeb na szyję przy proporcji ok. 67 urodzin na 100 zgonów, wyraził swoją osobistą, gorącą prośbę, aby we Włoszech rodziło się więcej dzieci. Nie tylko zresztą we Włoszech: problem dotyczy wszystkich rozwiniętych państw Zachodu, a jeśli gdzieś długofalowe prognozy zakładają utrzymanie, a nawet lekki przyrost populacji, to ma się to odbyć dzięki dalszemu napływowi imigrantów. Chociaż czasem i to nie wystarcza – w Hiszpanii przeszło jedna trzecia rodzących kobiet jest imigrantkami lub ma imigranckie korzenie, a populacja zmniejsza się od 2013 r.

EMERYTURA, POWIADASZ?

Do wystarczająco już skumulowanych wątków odrywających nas, postchrześcijański Zachód, od naturalnej dla społeczeństw ludzkich płodności można dodać ułudę bezpieczeństwa socjalnego w postaci emerytur konstruowanych na zasadzie solidarności pokoleniowej. System ten w przypadku zapaści demograficznej, czyli odwracającej się piramidy wieku, musi siłą rzeczy wywoływać bolączki właściwe dla każdej piramidy finansowej. Sęk w tym, że system ten rzeczywiście przyczynia się dziś do niżu demograficznego, ponieważ poczucie bezpieczeństwa emerytalnego, zupełnie oderwanego od faktu posiadania własnego potomstwa, w starciu z perspektywą rzeczywistych trudów rodzicielskich przemawia raczej na korzyść wspomnianego już ducha hedonizmu i konsumpcjonizmu, podobnie jak w mysiej utopii. Co więcej, ostatnie dekady pokazują to niestety znakomicie, niewydolność finansowa ubezpieczeń emerytalnych narzuca – w imię solidarności pokoleniowej – kolejne podwyżki kosztów pracy, co z kolei przyczyniło się także do emigracji zarobkowej naszych obywateli, w których edukację państwo zainwestowało niemałe pieniądze, zwłaszcza w przypadku zawodów wyspecjalizowanych, a którzy z punktu widzenia przydatności dla rodzimej gospodarki są bezpowrotnie straceni. Utrata wysoko wykwalifikowanej siły roboczej to w praktyce niezła dotacja przyznana z naszych podatków krajom, do których udają się nasi emigranci. Interes kiepski.

Oczywiście można z tego diabelskiego koła próbować się wydostać, łatając ubytki pracownikami z zagranicy, a w razie potrzeby podbierać kadry znacznie biedniejszym od nas krajom. Zresztą ekonomiści wypowiadający się ostatnio na temat skali zapaści demograficznej obok przesuwania granicy wieku emerytalnego (a podobne głosy płyną już z samego obozu władzy, vide: wywiad Pawła Dobrowolskiego, głównego ekonomisty Polskiego Funduszu Rozwoju, dla portalu 300gospodarka.pl) nie widzą innej możliwości jak bilansowanie niedoborów masową migracją zarobkową. Mniejsza z tym, że ekonomiści nie podkreślają potrzeby technologicznych innowacji, które docelowo mogłyby zrewolucjonizować wydajność naszej gospodarki, a przez wytwarzanie więcej i bardziej złożonych dóbr przy mniejszej liczbie rąk jednocześnie umożliwić finansowanie lepszych rozwiązań emerytalnych niż obecny system. Być może ekspertów po prostu w pełni zadowala to, że ONZ już dawno zapowiedziała, że do 2050 r., na skutek rzekomej katastrofy klimatycznej, nastąpi przesiedlenie miliarda mieszkańców Ziemi. A skoro wedle oficjalnego komunikatu rąk z krajów Trzeciego Świata do pracy w Polsce nie zabraknie, ba, będzie nawet do wyboru i do koloru, jak onegdaj na targach niewolników antycznego świata, nie ma się co martwić. Do czasu, ponieważ zasypując krótkowzrocznie i nieudolnie bezdenną dziurę Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, tworzymy kolejne problemy, tym razem natury społecznej.

UROKI MASOWEJ IMIGRACJI

Jest rzeczą oczywistą, że permanentna masowa imigracja, tym bardziej z odmiennych kręgów kulturowych, rodzi nieodzowne problemy asymilacji, separatyzmu, bezpieczeństwa oraz jedności i tożsamości społecznej. Przykład par

Nawet naturalne zróżnicowanie płci jest obecnie sztucznie zacierane, a kolejni producenci, w tym polskie marki, wprowadzają serie ubrań „unisex"

eprasa.pl 2c0af773a0

excellence – Francja. Jeśli historyczna kolonizacja jest porównywana przez prezydenta Macrona do zbrodni przeciw ludzkości, to wtórna kolonizacja Francji przez „migrantów" stanowi wyłącznie wzbogacenie społeczne i kulturowe oraz zysk ekonomiczny nie do odrzucenia.

Powszechny eksperyment imigracyjny trwa tam już dobre 50 lat, a „prawa reprodukcyjne" też kwitną w najlepsze. Bilans to ponad 200 tys. aborcji rocznie i tyle samo, a nawet więcej, imigracyjnego napływu, z prognozą wzrostu populacji do 2050 r. i utrzymania liczebności do końca wieku. Saldo demograficzne jest pozytywne i stabilne, super! Owszem, jest, ale kosztem „wielkiej podmiany" populacji (grand remplacement), jak trafnie zjawisko to nazwał pisarz Renaud Camus, choć we Francji został ogłoszony spiskowym teoretykiem dziejów, podobnie jak hasła kontroli imigracji i granic stanowią nad Sekwaną przejaw faszyzmu i prawicowej paranoi.

Gérald Darminin, minister spraw wewnętrznych, zapewnił nawet ostatnio, że imigracja nie wywołuje problemów bezpieczeństwa, bo przecież większość sprawców (ba, zapewne i terrorystów!) ma obywatelstwo francuskie. Jak widać, politycy bez skrupułów traktują mniejszości imigracyjne jako potencjalny elektorat do zagospodarowania, a we Francji ten cichy sojusz nazwano wręcz islamolewicą.

Za oceanem administracja Joe Bidena nie pozostaje w tyle i zamierzając uregulować status ponad 11 mln nielegalnych imigrantów w USA, z pewnością upudruje wybrane statystyki. Nie wspominając, że ta odpowiednio wykorzystana masa może przede wszystkim zapewnić demokratom wieloletnią przewagę wyborczą.

POZWOLIĆ NATURZE ZROBIĆ SWOJE

Podczas gdy postępująca demograficzna depopulacja rdzennych mieszkańców Zachodu jest faktem, nie jest to jednak proces nieodwracalny i beznadziejny. Owszem, można, a nawet trzeba analizować różne polityki pronatalistyczne na świecie pod kątem ich skuteczności i możliwości adaptacji w Polsce, ale trzeba pamiętać, że nasi przodkowie w o wiele trudniejszych warunkach polityczno-gospodarczych potrafili się mnożyć bez szczególnych programów socjalnych. Jak słusznie zauważył Chesterton, prokreacja potomstwa nie jest ludzkim dramatem, a normalny mężczyzna zazwyczaj odczuwa pragnienie, aby mieć potomstwo z kobietą, którą kocha. Ba, single zawierający związki odkrywają z zaskoczeniem, jak bardzo małżeństwo i potomstwo są w stanie ich uszczęśliwiać. Najwyraźniej jednak jako społeczeństwo utraciliśmy instynkty, nastawienie i optykę, które były poniekąd oczywiste dla naszych przodków. Dlatego jeszcze pilniejszym zadaniem od sensownej polityki demograficznej jest neutralizacja czynników, które paraliżują naturalne dla społeczeństwa potrzeby i zdolności. Prokreatywnej natury ludzkiej nie trzeba wymyślać na nowo, wystarczy ją odpowiednio pobudzić po degeneracji, której uległa na przestrzeni ostatnich dekad. Ograniczyć dopływ czadu, zapewnić cyrkulację zdrowych, sprawdzonych wzorców, a jako naród okażemy się nie mniej płodni niż nasi przodkowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ewolucja populacji wybranych krajów Europy

Kraj	1960	1990	2020	Łączna imigracja w latach 2007–2018
Francja	46 600 000	58 000 000	67 000 000	4 000 000
Niemcy (RFN i NRD)	72 500 000	79 100 000	83 200 000	9 200 000
Polska	**29 500 000**	**38 000 000**	**38 000 000**	**2 000 000**
Włochy	50 000 000	56 700 000	59 600 000	4 500 000

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

Prognoza ewolucji populacji krajów europejskiego obszaru gospodarczego

Kraj	2020	2050	Zmiana w proc.	2100	Zmiana w proc.
Łotwa	1 907 094	1 395 039	-27	1 081 686	-43
Litwa	2 793 592	2 137 939	-23	1 680 055	-40
Rumunia	19 281 118	15 502 837	-20	12 780 621	-34
Bułgaria	6 949 549	5 655 026	-19	4 737 768	-32
Chorwacja	4 056 285	3 392 559	-16	2 775 929	-32
Grecja	10 696 535	9 503 127	-11	8 142 699	-24
Polska	**37 941 122**	**34 102 204**	**-10**	**27 655 094**	**-27**
Portugalia	10 291 457	9 375 347	-9	7 980 639	-22
Słowacja	5 457 679	5 147 215	-6	4 346 004	-20
Estonia	1 329 916	1 256 223	-6	1 145 053	-14
Węgry	9 771 975	9 270 352	-5	8 714 260	-11
Finlandia	5 527 189	5 290 709	-4	4 715 868	-15
Włochy	60 286 529	58 125 032	-4	51 415 877	-15
Słowenia	2 095 314	2 043 751	-2	1 888 364	-10
Czechy	10 693 861	10 530 251	-2	10 207 345	-5
Niemcy	83 135 181	82 669 724	-1	83 201 514	0
Belgia	11 507 338	11 926 987	4	11 854 389	3
Francja	67 197 367	70 010 903	4	69 651 714	4
Holandia	17 404 793	18 142 292	4	17 967 454	3
Hiszpania	47 321 434	49 348 530	4	45 789 061	-3
Dania	5 811 651	6 098 190	5	6 247 128	7
Austria	8 904 262	9 345 829	5	9 236 567	4
Lichtenstein	38 640	43 513	13	49 376	28
Szwajcaria	8 580 270	9 959 383	16	12 042 334	40
Cypr	887 331	1 046 219	18	1 118 198	26
Norwegia	5 367 329	6 351 119	18	7 046 899	31
Szwecja	10 322 613	12 254 064	19	13 659 849	32
Luksemburg	626 031	769 048	23	781 193	25
Irlandia	4 966 879	6 213 191	25	6 610 753	33
Malta	506 951	668 373	32	689 359	36
Islandia	365 042	489 302	34	623 468	71

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

eprasa.pl 2c0af773a0

Rafał A. Ziemkiewicz

Spór w obozie władzy jest realny. Jego politycy dobrze jednak wiedzą, że samodzielny start w przyśpieszonych wyborach dla Ziobry byłby w tej chwili wielkim ryzykiem, a dla Gowina prawie pewną katastrofą

Zjednoczenie bez jednomyślności

Każdy spór wewnątrz Zjednoczonej Prawicy natychmiast znajduje się w centrum uwagi mediów, szczególnie tych związanych z lewicowo-liberalną opozycją – nawet wtedy, gdy niczego pewnego o nim nie wiadomo i podejmujący temat skazują się na dywagowanie. Trudno się dziwić. Upadek kolejnych nadziei opozycji na obalenie rządów PiS – ostatnią były „masowe protesty kobiet" – sprawia, że coraz trudniej jej utrzymać swój żelazny elektorat w stanie mobilizacji i podtrzymywać narrację: „Oni się boją, oni wiedzą, że to już ich koniec, zdobądźmy się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek". W szeregi antypisu wdziera się zniechęcenie i nawet najwierniejsi celebryci (ostatnio dołączył do nich aktor Andrzej Chyra) zaczynają otwarcie narzekać na nieudolność opozycji, jej brak pomysłów i wewnętrzne skłócenie.

Doniesienia i spekulacje o ewentualnej utracie przez PiS koalicjantów i przyśpieszonych wyborach byłyby z tej racji chwytliwe nawet wtedy, gdyby nie było w nich zbyt wiele prawdy – przykładem ożywienie antyrządowych mediów, kiedy prezes Kaczyński publicznie pochwalił Daniela Obajtka. Dosłownie kilka słów lidera PiS wystarczyło, by uruchomić falę podnieconych spekulacji o dymisji Mateusza Morawieckiego i zastąpieniu go prezesem Orlenu.

KUSZENIE GOWINA

A przecież konflikty w Zjednoczonej Prawicy nie są zmyślone. Do znanej od dawna antypatii i rywalizacji pomiędzy premierem Morawieckim a ministrem Ziobrą doszły przybierający groteskowe formy rozłam i dwuwładza w Porozumieniu. Chociaż Jarosław Kaczyński i jego stronnicy deklarują, że „Naczelnik" nie ma z irredentą Bielana przeciw Gowinowi nic wspólnego, nie inspirował jej i nie popiera żadnego z adwersarzy, nikt w to oczywiście nie wierzy. Opozycja powtórnie – pierwszy raz było tak w maju ubiegłego roku, po postawieniu przez Gowina weta „pocztowym" wyborom prezydenckim – upoiła się wizją przekupienia Gowina jakimś stanowiskiem (premiera? marszałka Sejmu?) i przeciągnięcia jego partii na swoją stronę. Z jednej strony zaczęto go kusić i okadzać („Jarosław, Polskę zbaw", napisał mu laurkę na okładce „Newsweeka" Tomasz Lis), z drugiej – straszyć („Kaczyński i tak panu nie wybaczy i zniszczy jak Leppera" – to Roman Giertych), z trzeciej wreszcie szantażować koniecznością moralnego wyboru „między uratowaniem Polski a poddaniem się autorytarnemu reżimowi".

Zanim Gowin zdołał na te awanse zareagować, przyszła informacja, że Solidarna Polska zablokowała przygotowania do ratyfikacji w parlamencie europejskiego planu „odbudowy" po epidemii, który premier oficjalnie ogłosił sukcesem rządu. Premier zareagował na to zaskakująco spokojnie, w duchu: mamy czas, nie pali się, porozumienie i tak wejdzie w życie dopiero po ratyfikowaniu przez wszystkie państwa członkowskie, a na razie uporało się z tym zaledwie kilka. Jednak kilka dni później zdymisjonowany został „ziobrystowski" wiceminister Janusz Kowalski. Jego partia zareagowała na to oświadczeniem, że PiS złamał umowę koalicyjną, i wzmożonym budowaniem narracji, że Kowalski zapłacił za konsekwentne realizowanie eurosceptycznej linii swej partii i przeciwstawianie

eprasa.pl 2c0af773a0

Mateusz Morawiecki, Jarosław Gowin i Zbigniew Ziobro mocno się ścierają. Wiedzą, że rozpad koalicji zagrozi wszystkim ugrupowaniom

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

się narzucanej Polsce przez unijne potęgi polityce energetycznej, którą premier i PiS akceptują, a Solidarna Polska uważa za zgubną dla państwa i wiodącą nieuchronnie do załamania poziomu życia Polaków.

Czy rzeczywiście przyczyną „złamania przez PiS umowy koalicyjnej" były wywiady byłego wiceministra, w których zwalczał on linię rządu, i jego wizyty wśród szykujących się do podniesienia buntów pracowników elektrociepłowni Bełchatów, którą premier chce pod naciskiem Unii Europejskiej zlikwidować? Być może. Nie wykluczałbym jednak, że chodziło raczej o odcięcie „ziobrystów" od wpływów w nadzorowanych przez Ministerstwo Aktywów Państwowych spółkach Skarbu Państwa – w takim razie dymisja była skutkiem toczonej od dawna, i jak na razie zwycięskiej dla „morawiecczyków", walki frakcyjnej, a eurosceptyczną aktywność Kowalskiego można uznać za maskowanie banalności sporu narracją atrakcyjną dla części wyborców.

Pytanie, co mogą zrobić Solidarna Polska i jej lider, poza głośnym protestowaniem? Wyjście z koalicji rządzącej, na które bardzo liczy opozycja, byłoby posunięciem samobójczym, bo wychodzić z niej nie ma dokąd. W przeciwieństwie do Gowina Ziobro – w propagandzie opozycji wykreowany na szwarccharakter niemal równy podłością samemu Kaczyńskiemu – nie jest kuszony żadnymi propozycjami. Oczywiście po tym, jak ludzie tak przez lewicowo-liberalny salon znienawidzeni, jak Roman Giertych czy Michał Kamiński, trafili bynajmniej nie „do wora i do jeziora", tylko właśnie do tegoż salonu, nic nie jest niemożliwe, także okładka „Newsweeka" – „Zbyszek, Polskę zbaw" – czy peany na cześć Ziobry w innych „demokratycznych" mediach. Tylko, realnie patrząc – co zyskałby Ziobro, nawet gdyby „opozycja totalna" otworzyła dla niego swe serca?

Dokładnie tyle samo co Gowin – nic. Obaj są w stanie funkcjonować tylko dzięki temu, że, mając każdy po kilkunastu posłów, mogą coś wytargować od „Naczelnika" przy poszczególnych głosowaniach. Ewentualne zerwanie z PiS oznaczałoby utratę tego jedynego politycznego narzędzia. A w zamian nie dałoby niczego.

Samodzielny start w przyśpieszonych wyborach w tej chwili dla Ziobry byłby wielkim ryzykiem, a dla Gowina prawie pewną katastrofą. Oczywiście, utrata przez PiS większości nie musiałaby wcale oznaczać skrócenia kadencji – z konstytucji wynika jasno, że nie dałoby się tego przeprowadzić bez zgody PiS. Utrata większości nie oznaczałaby nawet utraty przez PiS władzy, bo sklecenie jakiegoś „rządu technicznego" popieranego przez koalicję od Krzysztofa Śmiszka do Grzegorza Brauna jest zupełnie nieprawdopodobne – a jeszcze bardziej nieprawdopodobne jest skuteczne radzenie sobie przez taki rząd z epidemią i innymi wyzwaniami. Jakikolwiek wariant byśmy przyjęli, byli koalicjanci PiS zostaliby na lodzie, znienawidzeni przez elektorat PiS i raczej bez szansy na zdobycie nowego elektoratu.

DROGA DO PRZETRWANIA

Pozostanie w koalicji, obudowane frazesami o „odpowiedzialności za państwo", rokuje znacznie lepiej. Szczególnie Solidarnej Polsce, która konsekwentnie szturmuje eurosceptyczny elektorat Konfederacji. Nie wątpię, że zagłosuje ona przeciwko „covidowemu" porozumieniu z UE – niczego to przecież w praktyce nie zmieni, bo „za" i tak będą musiały zagłosować Morawiecki PO i Lewica. W perspektywie otworzyć to może Ziobrze drogę do startu w 2023 r. na wspólnej liście z Konfederacją bądź jakąś jej częścią albo – o co chyba będzie w większym stopniu walczył – o odebranie jej wyborców argumentem, że chce tego samego, a w przeciwieństwie do korwinistów coś z tego zdoła osiągnąć, targując się z PiS, tak jak czynił to przez ostatnie lata w tej „trudnej koalicji", jaką była Zjednoczona Prawica.

Analogicznie Gowin, jeśli przetrwa atak Bielana, na co się zanosi, będzie mógł grać na drugim skrzydle PiS, urywając co nieco ze sfrustrowanego elektoratu PO, szczególnie w sytuacji, gdy partia ta „odpuszcza" swój dawny, „zdroworozsądkowy" elektorat z czasów Tuska, przejmując postulaty kulturowej lewicy, a Hołownia zdaje się niezdolny ten fakt wykorzystać. Antypisowski dyskurs słabiej będzie się imał Gowina po tym, jak anty-PiS błagał go, by zechciał być jego premierem. Narzuca mu się wręcz użycie argumentu, że popieranie Budki i Trzaskowskiego, zdolnych tylko do jałowego gadania przez kolejne lata, to zmarnowanie głosu, natomiast głos na Gowina, tak by PiS nie był w stanie rządzić bez niego, to budowanie realnej zapory dla ewentualnych szaleństw Kaczyńskiego i Ziobry. Dla tych, którzy kiedyś kierowali się „ciepłą wodą w kranie", może to być przekonujące.

Dodajmy, że w kolejnych wyborach Jarosław Kaczyński może występować raczej jako patron, szykujący się już do odejścia na emeryturę, a może nawet w ogóle usunąć się w cień „infanta" Morawieckiego – co w dużym stopniu odebrałoby tlen „opozycji totalnej" pracującej niemal wyłącznie na związanych z jego osobą negatywnych emocjach.

Teoretycznie wydaje się to w tej chwili jedyną drogą do utrzymania władzy przez obecny obóz. Jako blok Zjednoczona Prawica, zużyta ośmioma latami rządów, nie ma raczej szans powtórnego zdobycia samodzielnej większości, musi więc „wyhodować sobie" koalicjantów, tak jak Leszek Miller swego czasu hodował sobie do współrządzenia w kolejnej kadencji Samoobronę Leppera (wtedy nie wyszło, ale wcale nie dlatego, że pomysł był zły). Wizerunkowe rozdzielenie Zjednoczonej Prawicy na trzy nurty, budowanie wizerunku trudnej, pełnej sporów, ale jednak odpowiedzialnej współpracy przy „rozwiązywaniu problemów" Polaków, z perspektywą samodzielnego startu i wysłania koalicjantów, jednego po elektorat na prawo od PiS, drugiego po osierocone centrum, naprawdę ma sens. Ale – powtarzam – teoretycznie.

W praktyce jednak polityka rzadko przypomina szachy. Zbyt wiele w niej emocji, wzajemnego odgrywania się za doznane urazy, zemsty czy zwyczajnych błędów w ocenie sytuacji. Chociaż zatem logika wskazuje, że do rozpadu Zjednoczonej Prawicy wcześniej niż bezpośrednio przed wyborami 2023 r. nie dojdzie – pewności co do tego nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Z Anną Marią Siarkowską, posłanką PiS
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Parlament Europejski debatował w minioną środę na temat „ataków na aborcję" w Polsce. Unijna komisarz ds. równości Helena Dalli przyznała, że Unia nie ma podstaw prawnych, żeby wpływać na Polskę w tej sprawie. Nie zabrakło jednak głosów domagających się wykorzystania mechanizmu praworządności, żeby wymusić na Polsce legalizację aborcji. Czy rząd Zjednoczonej Prawicy jest zdeterminowany, żeby oprzeć się tej presji?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: My musimy wytrwać mimo tego, że presja wewnętrzna i międzynarodowa jest bardzo silna. Musimy wytrwać, bo działamy w interesie kobiet i ich dzieci. Mamy dzisiaj do czynienia ze starciem cywilizacji życia i cywilizacji śmierci. W tej konfrontacji istnieje bardzo duża nierównowaga. Za promotorami cywilizacji śmierci stoi nie tylko wroga człowiekowi ideologia, lecz także olbrzymie pieniądze przemysłu aborcyjnego. Po drugiej stronie mamy zaś ludzi dobrej woli, za którymi nie stoi żaden przemysł ani wielkie pieniądze. Ich jedyną motywacją są miłość i troska o dziecko i jego matkę. Dziś polskie państwo stanęło po ich stronie. O ile przez wiele lat konfrontacja pomiędzy cywilizacją życia a cywilizacją śmierci toczyła się na pewnych pograniczach, poza głównym nurtem sporów społecznych, o tyle teraz można powiedzieć wprost, że toczy się regularna wojna. Tę wojnę rozpoczęli przeciwnicy prawa do życia, którzy podjęli działania rewolucyjne, antydemokratyczne, dążąc do realizacji swoich celów w sposób przemocowy.

Czy pomimo nierównowagi sił, potężnej presji promotorów cywilizacji śmierci wyrok polskiego TK, potwierdzający niezgodność aborcji eugenicznej z ustawą zasadniczą, może być zachętą dla prawodawców w innych państwach do przeprowadzenia zmian legislacyjnych?

Chciałabym bardzo, żeby tak było. Jeśli wytrwamy, pomimo tych ataków, a wręcz ideologicznej ofensywy, która w ostatnim czasie nabrała wyjątkowego tempa, to myślę, że możemy być takim przykładem. Kluczowe jest to, żeby nie poddać się presji, jakkolwiek mocna by ona była. Nie możemy zresztą oczekiwać, że lobby aborcyjne pogodzi się z faktem, iż prawo do życia jest w Polsce gwarantowane konstytucyjnie, że odstąpi od próby zmiany tego stanu rzeczy i że zrezygnuje ze swoich ogromnych dochodów. Oczekiwanie, że strona przeciwników prawa do życia odpuści, byłoby naiwnością. Oni nigdy nie odpuszczą. Musimy nauczyć się to znosić. Przyzwyczaić

eprasa.pl 2c0af773a0

Tak, to jest wojna

do wewnętrznej i międzynarodowej presji. To jest jednak cena, którą powinniśmy ponieść, żeby ludzie w fazie prenatalnej mogli żyć, żeby mogli się urodzić. Cywilizacyjna wojna, która wcześniej toczyła się na peryferiach, wkroczyła w decydującą fazę. Ta wojna toczy się na różnych frontach. Pierwszy to front prawny. Po orzeczeniu TK zwolennicy aborcji próbują omijać prawo, namawiając lekarzy do wystawiania niezgodnych z prawdą zaświadczeń, że ciąża zagraża życiu lub zdrowiu matki. Dążą do faktycznego i pozaprawnego poszerzenia tej przesłanki w sposób, który pozwoli na nieograniczoną aborcję. Drugi front określiłabym frontem rewolucyjnym. Środki walki, jakie są w nim stosowane, obejmują hejt i przemoc wobec osób pro-life, wobec Kościoła, policji, lekarzy, sędziów TK i polityków, opowiadających się za prawem do życia. Pani Lempart, która jest na tym froncie wyjątkowo zaangażowana, nie mówi, że prawo ma być zmienione demokratycznie. Ona każe swoim oponentom „wypier....ć". Trzeci front to front kulturowy. Agresja wobec Kościoła, niszczenie i dewastowanie świątyń, do których dochodziło w ostatnim czasie, nie wzięły się znikąd. Mają swoje źródła również w kulturze. W trakcie tzw. Strajku Kobiet można było zobaczyć silne nawiązania do popularnego serialu „Opowieść podręcznej". Jest on kwintesencją propagandy cywilizacji śmierci, mającej na celu wzbudzenie nienawiści do osób wierzących i stworzenie uzasadnienia dla agresji w nich wymierzonej, również fizycznej. Tego rodzaju proaborcyjna ofensywa trwa niestety w kulturze od dziesiątków lat.

W ostatnich dniach zarząd Platformy Obywatelskiej opowiedział się za daleko idącą liberalizacją prawa do aborcji, żeby nie powiedzieć „aborcją na życzenie". Czy na takim fundamencie można dziś budować w Polsce polityczny sukces?

Jestem przekonana, że aborcji nigdy nie można traktować jako narzędzia, które przyniesie polityczny sukces. Ci, którzy politycznie grają sprawą aborcji, będą mieli skrwawione ręce i zawsze obróci się to przeciwko nim. Dzisiaj Platforma Obywatelska przyjęła radykalnie lewicowy kurs i postulat legalizacji aborcji jest tego dowodem.

Jednocześnie jej liderzy twierdzą, że partia opiera się nadal na chrześcijańskich wartościach...

To problem utraconej tożsamości. Źródła, do których odwoływała się na początku Platforma, związane były z wartościami chrześcijańskimi i wolnościowym podejściem do gospodarki. Dzisiaj z tego nic nie zostało. Teraz, kiedy PO formułuje wprost postulaty proaborcyjne, nic już w zasadzie nie różni jej od Lewicy.

Jak pani reaguje na pojawiające się w liberalnych mediach głosy niektórych duchownych, prezentowane jako głosy „zwykłych księży", opowiadające się za dopuszczalnością aborcji? Na przykład w sytuacji potwierdzenia wad letalnych dziecka w okresie prenatalnym?

Takie głosy pochodzące od ludzi Kościoła, którzy powinni wskazywać, co jest moralne i dobre, opierając się na nauce Jezusa Chrystusa, budzą we mnie ogromny smutek. Przypomina mi się fragment Apokalipsy św. Jana dotyczący Bestii mającej rogi Baranka, która mówiła jak Smok. Taka postawa nie ma nic wspólnego z katolicyzmem. Choć te osoby noszą szaty duchownych, to absolutnie nie można ich nazwać pasterzami, bo wiodą ludzi na manowce. To przykre, bo czynią to w imieniu Kościoła.

Użyła pani perspektywy z Apokalipsy. Czy w tej samej perspektywie można mówić o szczepionkach przeciw COVID-19 wykorzystujących linie komórkowe abortowanych dzieci? Niektórzy producenci szczepionek przyznają, że ich produkty powstały w ten sposób. Znamy stanowiska Watykanu i Komisji ds. Bioetyki Episkopatu Polski, które dopuszczają moralnie przyjęcie takich szczepionek przez wiernych. Czy jednak motywowany etycznie opór niektórych katolików nie ma poważnego uzasadnienia właśnie ze względu na ten aspekt?

Jestem przekonana, że etyczny opór wielu chrześcijan w tej materii jest uzasadniony. Trzeba mieć na uwadze, że do powstania linii komórkowych, których dziś używa się do produkcji wielu szczepionek, wykorzystano materiał genetyczny pobrany od dzieci zabitych podczas aborcji. Sam numer obecny w nazwie nieetycznej linii komórkowej HEK 293, pobranej z nerki zabitego dziecka, wskazuje, że zabitych podczas procesu produkcji tej linii dzieci były setki. Żeby stworzyć tylko tę jedną linię komórkową...

... tyle dzieci trzeba było zabić.

Jeśli zagłębimy się bardziej w ten temat i posłuchamy np. relacji znanego wakcynologa, który pod przysięgą opisuje, w jaki sposób pozyskiwano materiał genetyczny potrzebny do stworzenia linii komórkowych wykorzystywanych następnie do badań i produkcji szczepionek, to takie zeznania budzą grozę. Osobiście nie mam żadnych wątpliwości, że tego rodzaju działania są absolutnie nieetyczne, nigdy nie powinno do nich dojść i powinny zostać jednoznacznie napiętnowane jako niedopuszczalne. Osobiście zaś nigdy nie podjęłabym świadomej decyzji, by chronić własne zdrowie czy zdrowie swoich dzieci w sposób, który dopuszcza czerpanie korzyści ze śmierci innego człowieka. Oczywiście każdy z nas ma w tej sprawie wolny wybór. Jako państwo powinniśmy jednak wywierać nacisk na firmy farmaceutyczne, aby badania, które prowadzą nad nowymi szczepionkami, były przeprowadzane w sposób etyczny. Możemy to robić, zwracając uwagę na tę kwestię podczas negocjowania zamówień publicznych, przy zakupie takich szczepionek. Potrzebny jest nacisk na producentów. Firmy farmaceutyczne, jeśli będą widzieć w tym zysk, z pewnością będą produkować takie preparaty, które nie budzą etycznych wątpliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Kamila Baranowska

W lewo zwrot!

Przez lata siłą Platformy była jej niedookreśloność. Teraz jej siłą ma być ideologiczny zwrot w lewo, bo tam, jak wskazują politycy PO, są dziś jej wyborcy

Od wielu lat Platforma Obywatelska, jeśli chodzi o poglądy na sprawy światopoglądowe, małymi krokami, ale jednak, zmierza w stronę lewicy. Mimo tej zauważalnej tendencji broniła się, jak mogła, przed jasnymi deklaracjami i zajmowaniem stanowiska w najbardziej drażliwych kwestiach, takich jak aborcja, związki partnerskie czy małżeństwa jednopłciowe. Taką taktykę przez lata przyjmował Donald Tusk. Podkreślał, że Platforma musi zachowywać równowagę między swoimi dwoma skrzydłami: konserwatywnym i liberalnym, bo tylko wtedy jest atrakcyjna dla wielu wyborców, w tym tych, którzy nie mają jasno sprecyzowanych poglądów.

Gdy szefową PO i premierem została namaszczona przez Tuska Ewa Kopacz, znana ze swoich raczej liberalnych poglądów, próbowała nieco zmodyfikować kurs partii. Wprowadziła refundację in vitro, ale z kontrowersyjną ustawą o uzgadnianiu płci już jej nie wyszło. Schetyna w roli szefa Platformy powrócił do idei Tuska. Nie chciał ideologicznych wojen, zwłaszcza w sytuacji, gdy po przegranych wyborach w 2015 r. miał partię w rozsypce. Wynikało to też z jego osobistych przekonań, które dobrze oddaje cytat z głośnego wywiadu dla „Do Rzeczy" z roku 2016. – Chcę powrotu do źródeł Platformy, czyli jej liberalno-konserwatywnego charakteru. Chcę też, by była w swoim przekazie chadecka – tłumaczył. Podkreślał, że jest „zwolennikiem utrzymania przez Platformę konserwatywnej kotwicy". W tym samym wywiadzie stwierdził też, że „wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie".

PLATFORMA ZA ABORCJĄ NA ŻYCZENIE

Wtedy Schetyna przestrzegał Ryszarda Petru przed tym, by w polityce nie kierować się wyłącznie oczekiwaniami wielkomiejskiego elektoratu, bo on nie wystarczy do wygrywania wyborów. Dzisiaj to samo mógłby powiedzieć Borysowi Budce, swojemu następcy na stanowisku przewodniczącego Platformy, który właśnie jednym ruchem przekształcił Platformę z partii centroprawicowej, za jaką przez lata uchodziła, w partię sytuującą się po lewej stronie sceny politycznej.

– Zarząd Platformy Obywatelskiej podjął stanowisko dotyczące kierunku, w którym będziemy dążyć po uzyskaniu w przyszłym parlamencie przez ugrupowania prodemokratyczne, proobywatelskie większości – oznajmił Borys Budka, przedstawiając nowe stanowisko PO w sprawie aborcji.

Zaproponowany przez Budkę i zarząd partii Pakiet Praw Kobiet w kwestii aborcji wprowadza de facto aborcję na życzenie. Politycy Platformy będą się co prawda zarzekać i oburzać (bo już to robią), że wcale nie na życzenie, ale jeśli mówimy o tym, że w trudnej sytuacji dajemy, po konsultacji z lekarzem i psychologiem, możliwość dokonania aborcji do 12. tygodnia ciąży, to jest to de facto aborcja na życzenie. „Trudną sytuacją" może bowiem okazać się wszystko. Do głównego postulatu zarząd Platformy dodał jeszcze kilka innych, takich jak powszechny dostęp do edukacji seksualnej, bezpłatna antykoncepcja (także awaryjna, czyli tzw. dzień po), finansowane przez państwo badania prenatalne (dziś przysługują kobietom po 35. roku życia), bezpłatne in vitro, a także „systemowe wsparcie finansowe i medyczne w przypadku urodzenia dziecka z niepełnosprawnością" (niestety bez konkretów).

Wychodząc z pomysłem aborcji na życzenie w trudnej sytuacji, kierownictwo Platformy zapomniało chyba, że już raz w 1997 r. podobna formuła została zakwestionowana przez Trybunał Konstytucyjny pod kierownictwem prof. Andrzeja Zolla. Ale to niejedyny problem z tym związany.

MŁODZIEŻ KONTRA DZIADERSI

Platforma długo się wahała, czy w ogóle podejmować ten temat, choć od początku trwania protestów przeciwko wyrokowi TK była poddawana presji w tej sprawie. Kierunek obrany przez Budkę nie wszystkim się jednak w Platformie podoba. Partyjni konserwatyści (choć pozostało ich w ugrupowaniu niewielu) w liście do władz PO proponowali powrót do kompromisu z 1993 r. oraz

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

referendum w tej sprawie (to postulat głoszony także przez PSL). Próbowali także przypominać o korzeniach Platformy i deklaracji ideowej partii z 2001 r., w której można przeczytać: „Fundamentem cywilizacji Zachodu jest Dekalog", a „prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo".

W czasie, gdy zarząd Platformy decydował o nowej partyjnej linii w kwestii aborcji, Grzegorz Schetyna w Polsat News oznajmił, że zarząd partii to zbyt niski szczebel na podejmowanie tak strategicznych decyzji i że od tego jest Rada Krajowa, czyli najwyższa władza partii, w skład której wchodzą: zarząd, wszyscy parlamentarzyści, eurodeputowani, a także wskazani przedstawiciele regionalnych struktur. – Jestem zwolennikiem zintegrowanej Platformy, w której są różni ludzie, liberałowie i chadecy, konserwatyści i centryści. Zawsze taka Platforma była – stwierdził. Później w radiowej Trójce podtrzymywał, że będzie bronił centrowego charakteru Platformy. – PO zawsze szanowała kompromis z 1993 r. Dyskusja zaczyna się na nowo. Nigdy nie będzie żadnej dyscypliny w tej kwestii. Ten temat nie jest zamknięty, wróci w kampanii, będzie rozgrywany przez Kaczyńskiego, aby skłócać opozycję. PO nie będzie partią lewicową, zawsze będzie w centrum i będziemy o to walczyć – zapowiedział, co nie wróży dobrze jedności Platformy.

Widać, że Schetyna łatwo nie odpuści i że wykorzysta to, co zrobił Budka, do podkopywania jego pozycji w partii. Czekał na taką okazję od dawna. „Gazeta Wyborcza" napisała ostatnio, że stosunek do aborcji ma być nową osią podziału w Platformie na nowoczesną młodzież i dziadersów. Przyszłość partii, wedle Budki, ma należeć do tych pierwszych, Schetyna zaliczany jest raczej do tych drugich. Kto to starcie ostatecznie wygra, trudno jednak dziś przesądzać.

Dlaczego jednak obecny przewodniczący postanowił decyzję o zmianie partyjnej linii w kwestii aborcji podjąć właśnie teraz? Nie w apogeum strajków przeciwko orzeczeniu TK, tylko kiedy temat przygasł i właściwie nikt już deklaracji od Platformy specjalnie nie oczekiwał? To poniekąd efekt zleconych przez Platformę badań opinii publicznej, z których miało wynikać – jak informował „Wprost" – że 75 proc. elektoratu PO jest za liberalizacją przepisów o przerywaniu ciąży. I choć partyjni konserwatyści przekonywali, że badania są mało wiarygodne, bo pytania zostały źle skonstruowane, to nie zmienia to faktu, że dryf wyborców Platformy w lewo jest faktem. I pokazują to także inne badania, np. CBOS. Jeśli chodzi o deklarowane poglądy polityczne, to od momentu powstania PO widać, że wśród wyborców dominowały poglądy konserwatywne. Jednak wykres rok po roku szedł w dół. Przełom nastąpił na przełomie lat 2016 i 2017 – to wtedy linie na wykresie przecięły się, co oznaczało, że wyborców PO deklarujących poglądy lewicowe jest już więcej niż tych deklarujących poglądy prawicowe. Od tamtej pory liczba tych pierwszych ciągle rośnie, a tych drugich maleje.

Do tego dochodzi jeszcze niedawne głośne badanie dotyczące najmłodszej grupy wyborców, które pokazuje, że po raz pierwszy od ponad 20 lat większy odsetek młodzieży w wieku od 18 do 24 lat deklaruje poglądy lewicowe, a nie prawicowe. Największy skok dokonał się w minionym roku, odsetek osób o lewicowych poglądach wzrósł względem 2019 r. niemal dwukrotnie. Platforma uznała, że to dobry moment, by zawalczyć o elektorat lewicowy, bo na prawicy nie ma już za bardzo czego szukać. Zwolennicy nowego kursu tłumaczą, że partia jedynie podąża za duchem czasów, za swoimi wyborcami, a także śladem innych partii chadeckich w Europie. – My po prostu proponujemy rozwiązanie, które jest normą w całej Europie, w tym w społeczeństwach katolickich. Rozwiązanie, za którym w krajach europejskich głosowały partie prawicowe, w tym chrześcijańskie – komentował Bartłomiej Sienkiewicz.

BÓJ Z LEWICĄ

Takie podejście krytykuje bardziej konserwatywna część polityków Platformy, ale także jej sympatycy, wykazując, że długofalowo dzisiejsza decyzja Budki partii zaszkodzi.

– Widzę tylko kłopotliwe konsekwencje dla ugrupowania. To jest skręt w lewo, a to oznacza, że będziemy się bili o elektorat z Lewicą. To się może skończyć opuszczeniem części centrowego elektoratu, na co PO w obecnym czasie pozwolić sobie nie może – stwierdził poseł Ireneusz Raś, zaliczany do grona platformerskich konserwatystów. Także sympatyzujący z opozycją i Platformą Roman Giertych skrytykował partię za ten ruch. „Uchwała zarządu PO o aborcji jest strasznym błędem. Podobnym błędem było forsowanie przez E. Kopacz i M.K.B. ustawy o zmianie płci czy też działania Trzaskowskiego i Rabieja na rzecz uczenia dzieci możliwości zmiany płci. Politycy PO nie wyciągnęli żadnych wniosków ze swoich klęsk" – napisał na Twitterze.

I trudno nie przyznać mu racji. Platforma, przechodząc na pozycje lewicowe, ułatwia Jarosławowi Kaczyńskiemu dalszą polaryzację i ustawienie Platformy w roli zwolenników aborcji na życzenie. Zwrócił na to uwagę na Twitterze poseł PO Paweł Zalewski. „Jeżeli utożsamimy opozycję wobec PiS z aborcją na życzenie, to PiS wygra następne wybory" – napisał.

Zasadnicze pytanie brzmi: Dla ilu wyborców nowa odsłona Platformy okaże się atrakcyjna i wiarygodna, a dla ilu stanie się dyskwalifikująca? Może się bowiem zdarzyć i tak, że postępowa młodzież, o którą chce zawalczyć Platforma, i tak ostatecznie wybierze Lewicę spod znaku Zandberga i Biedronia, a ci, dla których aborcja na życzenie jest nie do zaakceptowania, przejdą do Szymona Hołowni albo podczas wyborów zostaną w domach. A wówczas Budka z Platformą wyjdą na swojej lewicowej rewolucji jak w tym powiedzeniu o rubelku i cnocie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Droga nacjonalisty

Tomasz Greniuch przestał być pracownikiem IPN

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

Maciej Pieczyński

Działał w ONR, bronił salutu rzymskiego. Przeszłość byłego już szefa wrocławskiego IPN wywołała skandal i dała opozycji kolejną amunicję do ataku na Instytut

Tomasz Greniuch przez niespełna trzy tygodnie pełnił obowiązki dyrektora wrocławskiego oddziału IPN. Złożył rezygnację. Dwa dni później w ogóle przestał być pracownikiem Instytutu. Dymisję wymusił szum medialny wokół przeszłości młodego historyka. „Gazeta Wyborcza" nazwała go „spadkobiercą przedwojennych faszystów", który „bronił hajlowania i hasła »cała Polska tylko biała«". „Dlaczego mam odpowiadać za to, że przywłaszczył go sobie Hitler? Przecież wykonywali go już starożytni Rzymianie" – argumentował przed laty, broniąc gestu, powszechnie dziś uważanego za nazistowski. Media dotarły też jednak do zdjęć, na których widać, jak sam Greniuch wykonuje salut rzymski. „Ze zdziwieniem przyjęliśmy informację, że […] nie widzi nic złego we wznoszeniu ręki w nazistowskim pozdrowieniu. W Polsce, w kraju, który tak wiele wycierpiał pod okupacją hitlerowską, nie powinno być miejsca dla używania nazistowskich symboli" – tak nominację byłego ONR-owca skomentowała ambasada Izraela w Warszawie. Wybór Greniucha krytykowało też wielu polityków obozu Zjednoczonej Prawicy.

Oczywiście całą sprawę do ataku na rząd wykorzystali politycy opozycji, grzmiąc, że za skandal wokół Greniucha odpowiada nie tylko prezes IPN, lecz także obecna władza. Pojawiły się głosy, że „to zgniły owoc flirtu PiS ze skrajnymi nacjonalistami". Tyle że ci sami politycy opozycji akceptują radykałów w swoich szeregach. Mowa nie tylko o sojuszu parlamentarnego antypisu z ulicznymi bojówkami Strajku Kobiet. Lewicowy radykalizm nie wyczerpuje tematu. Warto bowiem przypomnieć, że skrajnie nacjonalistyczną przeszłość politycy Koalicji Obywatelskiej wybaczyli Michałowi Kamińskiemu czy Romanowi Giertychowi. Łatwo sobie również wyobrazić, że gdyby hipotetycznie Greniuch postanowił publicznie uderzyć w partię Kaczyńskiego, być może jego hajlowanie nie tylko zostałoby zinterpretowane jako niewinny salut rzymski, lecz także nawet całkiem puszczone w niepamięć.

Greniuch w IPN nie pojawił się znikąd. Wcześniej przez trzy lata pracował w delegaturze instytutu w Opolu, a od blisko półtora roku nią kierował. Doktorat z historii napisał na temat jednego ze zgrupowań Narodowych Sił Zbrojnych. Pracę „jednoznacznie pozytywnie i bardzo wysoko" ocenił recenzent – prof. Jan Żaryn.

Gdy pojawiły się kontrowersje związane z nominacją, IPN początkowo wziął w obronę swojego pracownika. Sam zainteresowany opublikował na stronie kierowanego przez siebie oddziału oświadczenie, w którym czytamy m.in.: „Nigdy nie byłem nazistą, za nieodpowiedzialny gest sprzed kilkunastu laty jeszcze raz przepraszam i uważam to za błąd. Symbole i gesty, które wznosiłem, to była młodzieńcza brawura, często głucha na zdrowy rozsądek i konsekwencje. Nigdy jednak nie miały one podłoża gloryfikowania totalitaryzmów!". W tym samym komunikacie szczegółowo opisał historię swojej rodziny i represje, których doświadczyła ze strony niemieckich nazistów i sowieckich komunistów. Z oświadczenia

eprasa.pl 2c0af773a0

zapewne miało wynikać, że losy przodków Greniucha są argumentem na jego korzyść. Pewności nie ma, ponieważ nie zareagował na próby kontaktu, uchylając się od rozmowy z „Do Rzeczy".

Greniuch odcinał się od kontrowersyjnych gestów już wcześniej, obejmując funkcję naczelnika opolskiej delegatury IPN. Jego pierwszym publicznym działaniem na tym stanowisku było złożenie hołdu ofiarom Nocy Kryształowej w miejscu, gdzie stała opolska Synagoga.

Krytycznie gesty Greniucha ocenia Tomasz Kalinowski, były działacz ONR i rzecznik tej organizacji, obecnie wiceprezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. – Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla podnoszenia ręki w tym geście po drugiej wojnie światowej. Czy polscy narodowcy przed wojną tak się pozdrawiali? Owszem, ale nie można negować rzeczywistości, w której pod tym gestem naziści eksterminowali narody, w tym Polaków, także samych narodowców – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". Na pytanie, czy w szeroko rozumianym obozie narodowym jest miejsce dla takich ludzi jak Tomasz Greniuch, Kalinowski odpowiada: – Dla osób hajlujących nie ma. Dla kogoś, kto żałuje i w sposób godny chce służyć Polsce, oczywiście jest.

DEGRELLE JAKO IDOL

Siedem lat temu Greniuch wydał swoją autobiografię pt. „Droga nacjonalisty". Już na wstępie wśród swoich idoli wymienił Léona Degrelle'a, belgijskiego nacjonalistę, który przed drugą wojną światową kierował katolickim, antykomunistycznym ruchem Christus Rex, a po wkroczeniu Niemców poszedł na współpracę z III Rzeszą, a nawet dowodził dywizją SS Wallonien. Okres fascynacji Degrelle'em przeszedł także Tomasz Kalinowski. Jeszcze będąc działaczem ONR, umieścił na swoim Facebooku zdjęcie Degrelle'a, a w rozmowie z „Do Rzeczy" przyznawał wówczas, że szanuje tego polityka za jego przedwojenną działalność antykomunistyczną, natomiast późniejszą kolaborację z III Rzeszą uważa za błąd polityczny. Kalinowski odszedł z ONR dwa lata temu m.in. wraz z Robertem Bąkiewiczem. Oficjalnie powodem były „różnice zdań w wizji rozwoju". Dzisiaj Kalinowski przyznaje: – Oprócz kwestii organizacyjnych i strategii działania narosło też wiele różnic w poglądach. Dziś np. uważam, że inspirowanie się – dajmy na to – Degrelle'em czy innymi tego typu postaciami jest szkodliwe i robi krzywdę wielu młodym ludziom. Sam zresztą byłem tego przykładem.

Przywiązanie Greniucha do takich postaci jak Léon Degrelle negatywnie ocenia prof. Bogdan Musiał, polski i niemiecki historyk. – Prawda jest taka, że polscy nacjonaliści nie splamili się kolaboracją z III Rzeszą, a wielu z nich zginęło z rąk niemieckiego okupanta w obozach koncentracyjnych czy w czasie powstania warszawskiego. Ale tym bardziej ich współcześni spadkobiercy nie powinni dziś wychwalać kolaborantów Hitlera. Niemcy byli wrogami Polski. Chcieli zniszczyć Polskę. Jeżeli zatem działacz ONR pochwala dziś kolaborację z III Rzeszą w państwach Europy Zachodniej, to ja mam z tym problem – mówi.

W „Drodze nacjonalisty" Greniuch prezentuje dość osobliwy zestaw poglądów. Zgadza się z PWN-owską definicją, w myśl której nacjonalizm wyraża się w „egoizmie narodowym, nietolerancji, wrogości i agresji wobec innych narodów". Jednocześnie stwierdza, że idea ta „stawia na pierwszym miejscu wielkie słowa: Bóg, Honor, Ojczyzna". Dalej prezentuje raczej niekanoniczną z chrześcijańskiego punktu widzenia egzegezę starotestamentowej historii: „Każda wspólnota narodowa u zarania dziejów otrzymała od Boga terytorium, na którym tworzące się narody mogły, nieniepokojone przez obcych, swobodnie rozwijać się i żyć w zgodzie z innymi narodami, chwaląc Boga. Niestety syjonistyczna idea narodu wybranego przekreśliła ów naturalny porządek ustanowiony przez Boga. Zniszczyła pokój między narodami, przeciwstawiając mu imperializm, który pociągał za sobą wojny i inne okrucieństwa. I tak w imię swojej nieuzasadnionej wyższości jedne narody niszczyły drugie, w najlepszym wypadku niewoląc je". Nasuwa się pytanie: O jakiego Boga chodzi? Bo chyba wbrew deklaracjom Greniucha nie o Boga chrześcijańskiego, który przecież najwyraźniej był syjonistą, skoro wyprowadził naród wybrany z Egiptu… Chociaż w innym miejscu książki autor zwraca się do czytelnika: „Musisz żyć według Dekalogu". Tego Dekalogu, który otrzymał Mojżesz.

Greniuch jeszcze jako działacz narodowy nosił pseudonim Tomasz Piasecki. Na cześć Bolesława Piaseckiego, przedwojennego lidera Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga", który w Polsce Ludowej poszedł na współpracę z komunistami. Pod tym pseudonimem publikował na blogu liczne teksty publicystyczne, w których propagował takie hasła jak: „Polska cała tylko biała", „Tu jest Polska, nie Izrael". Z szeroko pojmowanym ruchem narodowym związany jest od 1999 r. W ONR – od 2002 r.

W 2005 r. miał być jednym z organizatorów „Najazdu na Myślenice". Czyli marszu upamiętniającego „wyprawę myślenicką" z 1936 r., kiedy to działacze ONR napadali na żydowskie sklepy i próbowali podpalić synagogę. Był też jednym z inicjatorów pierwszego warszawskiego Marszu Niepodległości w 2006 r. W 2012 r. zorganizował marsz pod siedzibę opolskiego SLD pod hasłem: „Z komunistami się nie rozmawia, do komunistów się strzela".

PREZENT DLA FAŁSZERZY HISTORII

– Nominacja na kierownicze stanowisko człowieka, który dał się sfotografować, wykonując kompromitujące gesty, była błędem. Wiadomo przecież, że instytut jest pod ostrzałem, że jego przeciwnicy wykorzystają do ataku każdy, najmniejszy nawet błąd – mówi „Do Rzeczy" prof. Bogdan Musiał. – To był prezent dla takich fałszerzy historii jak Jan Grabowski. Teraz mogą odwracać uwagę od swoich antypolskich manipulacji i pokazywać palcem, mówiąc: „Patrzcie, mieliśmy rację, IPN promuje faszystów" – dodaje.

Profesor Musiał zaznacza przy tym, że problem byłego już szefa wrocławskiego IPN jest bardziej wizerunkowy niż merytoryczny. – Nie podejmuję się oceny dorobku naukowego pana Greniucha. Jestem jednak przekonany, że skoro jego pracę doktorską bardzo pozytywnie zrecenzował tak wybitny historyk jak prof. Jan Żaryn, to już świadczy o wysokim poziomie warsztatu młodego badacza – mówi. – Niestety IPN to instytucja o znaczeniu nie tylko naukowym, lecz także politycznym. Dlatego jej pracownicy muszą się liczyć z kwestiami wizerunkowymi. Po pierwsze, wierzę, że pan Greniuch unosił dłoń w geście salutu rzymskiego, a nie nazistowskiego pozdrowienia. Ale to nie ma znaczenia, bo liczy się obrazek, a ten ma dziś wymowę jednoznacznie kompromitującą w oczach opinii publicznej, szczególnie biorąc pod uwagę nagonkę na IPN. Po drugie, wierzę też, że pan Greniuch szczerze za ten gest przeprosił. Dla mnie osobiście to byłoby wystarczające. Ale zajmując kierownicze stanowisko w tak newralgicznej dla obrazu Polski w świecie instytucji jak IPN, trzeba być krystalicznie czystym – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Z ministrem zdrowia Adamem Niedzielskim
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Nie chcemy zamykać kraju

FOT. KRZYSZTOF KANIA

KATARZYNA PINKOSZ: Czy jest sens po roku epidemii zakazywać stosowania przyłbic, szalików?

ADAM NIEDZIELSKI: Przyłbica może być dodatkiem do maseczki, kolejnym zabezpieczeniem, ale nie samodzielną ochroną. Szalik i komin to znikoma ochrona. Zwróćmy uwagę, że personel medyczny stosuje zarówno maseczki, jak i przyłbice. Oczywiście takich wymogów nie będziemy stawiali, chcemy jednak dać wyraźny sygnał, że jakość zabezpieczenia ma kolosalne znaczenie. W gruncie rzeczy maseczki, dystans, dezynfekcja to nadal nasza jedyna broń w walce z pandemią, gdyż szczepienia nie osiągnęły jeszcze takiej skali, by realnie chronić przed rozwojem trzeciej fali.

Wycofujemy możliwość zastąpienia maseczek chustą i przyłbicą, natomiast nie będziemy decydować, jaka to musi być maseczka: bawełniana, chirurgiczna, FFP2, N95. Są jednak rekomendacje Rady Medycznej, które wyraźnie mówią, że najlepiej stosować maseczki certyfikowane. Skuteczniej chronią przed zakażeniem.

W większości krajów nie ma jednak obowiązku noszenia maseczek na zewnątrz. Ryzyko zakażenia się koronawirusem na dworze jest niewielkie, dlatego ludzie je ściągają. Nie lepiej powiedzieć, żeby nosić maseczki tylko w środkach komunikacji miejskiej, sklepach, czyli pomieszczeniach zamkniętych?

Rzeczywiście, gdy jesteśmy na otwartej przestrzeni, ryzyko zakażenia jest mniejsze. Nie można jednak powiedzieć, że nie ma sensu nosić maseczek na przystankach, przejściach dla pieszych czy w miejscach, gdzie grupuje się dość duża liczba osób. Oczywiście, najbardziej dopasowaną regulacją byłoby określenie, że nie trzeba ich zakładać, jeśli nie ma nikogo w odległości 1,5–2 m. Nie wyobrażam sobie jednak sytuacji, że ktoś na spacerze co chwilę zdejmuje i zakłada maseczkę.

Poza tym nie jest prawdą rozpowszechniana przez antymaseczkowców teza, że maseczka szkodzi. Jeśli jest użytkowana we właściwy sposób, to nie stanowi zagrożenia, a jedynie pomoc. Rozmawiamy o rozwiązaniu, które daje bezpieczeństwo, a ma niski koszt. Warto stosować maseczki, gdy nie jesteśmy w parku czy lesie. One i dystans to zabezpieczenia, które mogą spowodować, że trzecia fala nie będzie na takiej wysokości, która zagrozi systemowi opieki zdrowotnej. Chociaż muszę powiedzieć, że dziś mamy dużo większą tolerancję poziomu zakażeń, gdyż coraz więcej jest osób zaszczepionych. Liczymy na to, że mimo większej liczby zakażeń nie będziemy mieli aż takich przyrostów liczby

eprasa.pl 2c0af773a0

hospitalizacji i zgonów. Szczepimy seniorów, by odsetek hospitalizacji i zgonów był mniejszy. Dlatego mimo że widzimy, iż fala zachorowań rośnie, nie uważam, że od razu trzeba wszystko zamykać.

Czy będzie pan za tym, żeby zamykać branże, które dopiero niedawno zostały otwarte? Hotele, galerie handlowe, szkoły, stoki narciarskie?

Niestety, dynamika wzrostu zakażeń jest bardzo duża: obecnie to ok. 30 proc. w ciągu tygodnia. Jeśli jednak rozważamy interwencje, to raczej na poziomie regionalnym, tak jak to uczyniliśmy, ogłaszając powrót do obostrzeń w województwie warmińsko-mazurskim, gdzie mamy najwyższy przyrost zakażeń. Na południu Polski sytuacja wygląda lepiej. Nie byłoby uzasadnione, żeby wykonując krok wstecz, zamykać cały kraj. Myślimy raczej o ukierunkowaniu na te miejsca, gdzie sytuacja epidemiczna jest najtrudniejsza. Są też pewne priorytety: intencją moją i rządu jest to, żeby dzieci wróciły do szkół, mimo że na Warmii i Mazurach cofnęliśmy się o krok.

Tempo szczepień mamy wystarczające?

Wiele osób wskazuje, że jest zbyt wolne, jednak patrząc na Europę, nasze tempo szczepień jest jednym z najwyższych. Oczywiście są kraje, które nas wyprzedzają, ale często to kraje mniejsze lub spoza UE, mające większą elastyczność zarządzania zakupami szczepionek. W ubiegłym tygodniu wykonaliśmy ponad 580 tys. szczepień, co daje miesięczną wydolność na poziomie 2,5 mln. Gdybyśmy mieli więcej preparatów, moglibyśmy szczepić nawet dwa–trzy razy więcej i po kilku miesiącach osiągnęlibyśmy odporność populacyjną. Nie mamy jednak dostaw na takim poziomie. Sprawność systemu to ogromna zasługa ministra Michała Dworczyka. Oczywiście, zdarzają się potknięcia, głównie spowodowane obniżonymi dostawami szczepionek.

Wciąż wiele grup czeka na wcześniejsze szczepienia, np. rodzice dzieci chorych onkologicznie. Zakażenie COVID dla takiego dziecka to duże ryzyko zgonu...

Gdyby tylko były szczepionki, zaszczepilibyśmy wszystkich chętnych. Pytanie tylko, kiedy będą wystarczające dostawy, żebyśmy mogli zrealizować wszystkie priorytety. Chcielibyśmy móc przyspieszyć szczepienia rodziców dzieci chorych onkologicznie, musimy jednak bardzo skrupulatnie liczyć, ile mamy szczepionek i jak liczne są grupy wymagające pilnych szczepień. Na razie zaczynamy powoli wychodzić z dołka, który był związany ze zmniejszeniem dostaw od firmy Pfizer i kolejnymi spadkami z AstraZeneca.

W Polsce już jest trzecia fala COVID?

Tak, widzimy to wyraźnie. Przyczyną jest to, że mutacje koronawirusa rozwijają się szybciej. Drugą przyczyną jest nieprzestrzeganie zaleceń dystansu, dezynfekcji i maseczek (DDM). Widzimy, że wiele osób ma już wszystkiego dość. Jeśli porównamy sytuację z poprzedniej wiosny, to widać, że obostrzenia są mniej skuteczne. Ludzie są zmęczeni, chcieliby, żeby epidemia wreszcie się skończyła.

Jako przyczynę trzeciej fali wymienił pan m.in. nowe warianty wirusa. Jednak niektórzy eksperci mówią, że druga połowa lutego, marzec i połowa kwietnia to sezon zakażeń grypą i koronawirusami, i tak było zawsze. A drugim czynnikiem ryzyka jest smog.

Na pewno mamy do czynienia z sezonowością, chociaż sezonowość zachorowań na COVID-19 nie jest dokładnie taka sama jak grypy. Zanieczyszczenie środowiska może być elementem sprzyjającym zachorowaniom, ponieważ osłabia naszą odporność. Przyczynia się do tego również zimowe osłabienie organizmu. Spodziewamy się też szczytu zachorowań na grypę, choć w tym roku przypadków grypy jest trzy–cztery razy mniej niż przed rokiem. Widać, że nasza dyscyplina społeczna lepiej działa na tego wirusa niż na SARS-CoV-2.

Personel medyczny w dużej mierze jest zaszczepiony. Czy w związku z tym planowane są zmiany rozporządzeń dotyczących możliwości odwiedzin chorych w szpitalach?

Z tym trzeba jeszcze trochę poczekać, jednak skłonność do podejmowania tego typu decyzji będzie na pewno coraz większa. Na razie zmieniliśmy zalecenia dotyczące ograniczeń w wykonywaniu zabiegów planowych. Obecnie nie ma zaleceń, które mówiłyby o ograniczeniu działalności placówek ochrony zdrowia, zarówno gabinetów lekarzy rodzinnych, jak i opieki specjalistycznej czy szpitali. Dużo inwestujemy w system opieki zdrowotnej, płacimy więcej za środki ochrony indywidulanej, żeby zapewnić bezpieczeństwo w przychodniach i szpitalach.

Staramy się szukać rozwiązań, które dawałyby możliwości odbudowy zdrowia publicznego. Z pandemii wyjdziemy nie tylko pokiereszowani przez COVID, lecz także przez inne choroby. Dlatego trzeba przyspieszyć diagnostykę i leczenie. Na razie to trudne, ponieważ wciąż 26 tys. łóżek w szpitalach to łóżka COVID-owe, nie można tych miejsc wykorzystać do leczenia innych schorzeń. Znosimy jednak limity w dostępie do specjalistów, poprawiamy opiekę w kardiologii i onkologii (Krajowa Sieć Onkologiczna, Krajowa Sieć Kardiologiczna), a to choroby serca i nowotwory są największymi zabójcami Polaków.

Chcemy też wprowadzić rozwiązania dotyczące rehabilitacji post-COVID-owej: fizjoterapeuci w każdym ośrodku będą mogli pomagać osobom, które przeszły COVID. Zamierzamy też rozpocząć program profilaktyki dla osób 40+.

Kiedy ma ruszyć program profilaktyki 40+?

Taki bilans zdrowia chcemy zaproponować każdej osobie, która przekroczyła 40 lat. Będzie to podstawowy pakiet badań (krwi, moczu), nieco różny dla mężczyzn i kobiet. Osoby, które mają Internetowe Konto Pacjenta, oprócz bonu na badania będą mogły wypełnić ankietę, która pozwoli zindywidualizować lub nawet poszerzyć pakiet badań. Poziom zaniedbań zdrowotnych w okresie pandemii jest duży; dobrze, żeby każdy, kto przekroczył 40 lat, wykonał taki bilans zdrowia. Planowaliśmy, że program wejdzie od 1 kwietnia, zobaczymy jednak, jak będzie wyglądała sytuacja epidemiczna w pierwszych tygodniach marca.

Z powodu epidemii ucierpieli wszyscy, szczególnie osoby z chorobami współistniejącymi, zwłaszcza rzadkimi, które już wcześniej system ochrony zdrowia nieco pomijał...

W najbliższym czasie szykuje się rewolucja w leczeniu chorób rzadkich. Po pierwsze, mamy gotowy plan leczenia chorób rzadkich. Był wiele razy przygotowywany, zmieniany, przez wiele lat nie było klarownej polityki państwa w tym zakresie. Po drugie, wchodzi w życie Fundusz Medyczny, dzięki któremu będzie większa możliwość dostępu do innowacyjnych, przełomowych leków, m.in. w chorobach rzadkich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

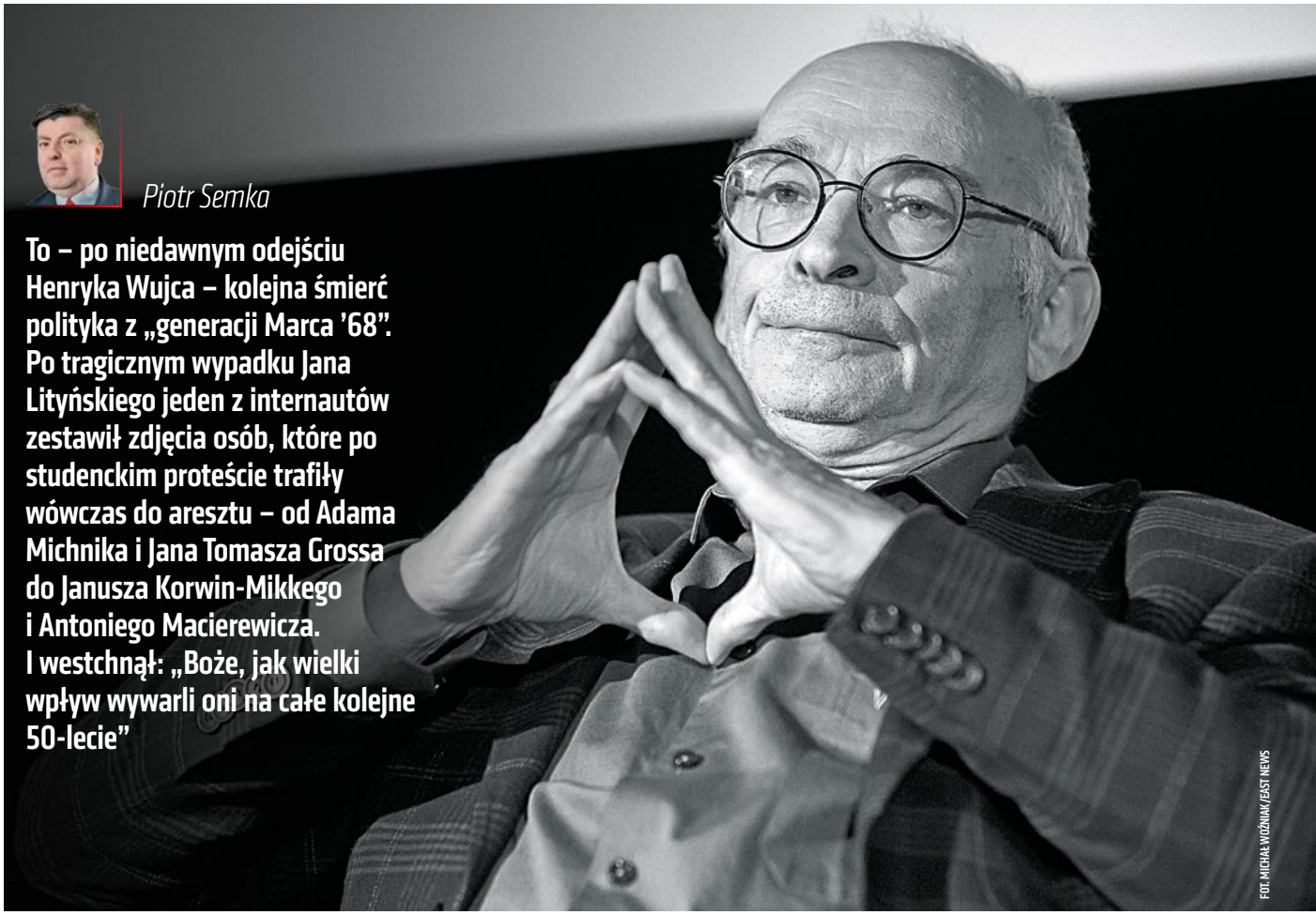

Piotr Semka

To – po niedawnym odejściu Henryka Wujca – kolejna śmierć polityka z „generacji Marca '68". Po tragicznym wypadku Jana Lityńskiego jeden z internautów zestawił zdjęcia osób, które po studenckim proteście trafiły wówczas do aresztu – od Adama Michnika i Jana Tomasza Grossa do Janusza Korwin-Mikkego i Antoniego Macierewicza. I westchnął: „Boże, jak wielki wpływ wywarli oni na całe kolejne 50-lecie"

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Ścisły umysł bratanka Feliksa Perla

Jan Lityński 1946–2021

Gdy w 1977 r. działacze KOR rozpoczęli drukowanie na nowo pisma opozycji dla pracowników dużych zakładów pracy o nazwie „Robotnik", nie sposób było uniknąć skojarzenia z pismem Polskiej Partii Socjalistycznej. Po aresztowaniu w 1900 r. Józefa Piłsudskiego redagowanie „Robotnika" przejął stryj Lityńskiego, Feliks Perl.

Jacek Kuroń wspominał po latach: „Kiedy więc po latach Janek (Lityński) wchodził do stopki »Robotnika«, zaczęliśmy go serdecznie namawiać, żeby, odkłamując historię, przywrócił sobie dawne nazwisko – Perl – albo chociaż dołączył je do tego, które nosił". Nazwisko „Lityński" było pseudonimem ojca, Ryszarda Perla, działacza Komunistycznej Partii Polski.

Ostatecznie Lityński odrzucił pomysł. Wskazywał zapatrzonym w lewicowe tradycje kolegom: „To jest tradycja, z którą można odwoływać się do inteligencji, ale nie do robotników. Ludziom, których znaliśmy, może słowo »Piłsudski« coś mówiło, ale na pewno nie wszystkim. A my po prostu chcieliśmy, żeby rozumieli nas ci, dla których będziemy pisać".

Ten rys trzeźwego patrzenia na rzeczywistość w przyszłości też będzie czasami odróżniać go in plus od reszty środowiska lewicy laickiej.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że tamten akces do redakcji KOR-owskiego „Robotnika" był nawiązaniem do pamięci swojego stryja, który w odróżnieniu od ojca pozostał wierny tradycji PPS aż do swojej śmierci w 1927 r. Musiał jednak dojść do tej tradycji długą i krętą drogą.

JEDEN Z „KOMANDOSÓW"

Należał do pokolenia, które zwykło się nazywać generacją „komandosów" – wpadali na zebrania partyjne i zadawali kłopotliwe dla PZPR-owców pytania. Większość tego środowiska (choć nie całe) wywodziła się z kręgu dzieci członków PPR, a potem PZPR. Ludzi zaangażowanych w budowę nowego ładu po wojnie. Jako dziecko wytypowano go do wręczenia Bierutowi kwiatów na trybunie pochodu pierwszomajowego. Ojcowie wiecznie siedzący w minister-

eprasa.pl 2c0af773a0

stwach i matki, które też zazwyczaj zajmowały jakieś stanowiska, siłą rzeczy nie miały zbyt wiele czasu dla swych dzieci. Większość synów i córek urodziła się tuż po wojnie w latach 1945–1948. Wobec absencji rodziców o wiele ważniejszą rolę wychowawczą odegrały w ich życiu drużyny walterowskie, w których młody Michnik, młody Lityński czy młody Blumstein odnaleźli poczucie braterstwa i bezpieczeństwa. To nie przypadek, że właśnie z walterowców wywodziła się spora część inicjatorów Marca '68, a potem lewej części KOR.

W warunkach komunizmu, który dbał, by atomizować jak najwięcej środowisk, bezcenne były więzy środowiskowe lub rodzinne pozwalające na tworzenie grup konspiracyjnych, w których ludzie mogli sobie ufać. Nieprzypadkowo z tego powodu dominowały albo konspiracje rodzinne (rodzina Czumów czy bracia Kowalczykowie), albo grupy zbudowane na więzach przyjaźni zadzierzgniętych w harcerstwie. Czy to te silnie lewicowe, takie jak drużyny walterowskie (to przypadek Lityńskiego), czy te nawiązujące do przedwojennych wzorów ZHP, takie jak „Czarna Jedynka", z której wywodziło się środowisko Antoniego Macierewicza. W przypadku Lityńskiego młodzi walterowcy okazali się pokoleniem, które rozpoczęło rewizję wiary w marksizm, wcielany w życie przez pokolenie ich rodziców. Nieprzypadkowo grupa ta trzymała się razem w czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim, a potem pozytywnie przeszła próbę Marca '68 i represji, które potem następowały.

CHŁODNE SPOJRZENIE

Jan Lityński był umysłem ścisłym. Studiował na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Za udział w Marcu '68 został skazany na 2,5 roku więzienia. Przedterminowo zwolniony w 1969 r., najpierw pracował jako robotnik, ale potem, gdy ekipa Gierka złagodziła zakazy pracy dla byłych marcowców, został programistą. Nigdy nie utracił kontaktu ze środowiskiem i dlatego gdy w 1976 r. powstał KOR, w naturalny sposób doszlusował do tej grupy opozycji. Potem, w równie naturalny sposób, włączył się w ruch Solidarności. Internowany po 13 grudnia 1981 r., został potem aresztowany w związku z przygotowaniem procesu przywódców KOR. W latach 1983–1984 ukrywał się i był członkiem regionalnej komisji wykonawczej regionu Mazowsze. Co charakterystyczne, w okresie karnawału Solidarności ciągnęło go między robotników, którym chciał doradzać, jak negocjować z władzą. Z tego powodu w czasie karnawału lat 1980–1981 jeździł do Wałbrzycha, gdzie pomagał miejscowej Solidarności. Kadrze młodego związku, który w warunkach Wałbrzycha składał się z robotników pełnych najlepszych chęci, ale niemających żadnych doświadczeń w negocjowaniu z władzą. Podobnie było w sierpniu 1988 r., kiedy Lityński pojechał do strajkujących kopalń na Górnym Śląsku, aby doradzać w negocjacjach z władzą. W czasie Okrągłego Stołu też bardziej był aktywny w komisjach przygotowujących reformy gospodarcze niż we wprowadzaniu polityki na najwyższym poziomie, czym zajmowali się Adam Michnik i Jacek Kuroń.

Na tle większości ugrupowań, które jego środowisko tworzyło po 1989 r. (ROAD, Unia Demokratyczna i wreszcie Unia Wolności), charakteryzował się stosunkowo chłodnym spojrzeniem i przestrzegał kolegów przed zadufaniem, które było najgorszą cechą w środowisku unitów. Nigdy też nie jawił się jako specjalny miłośnik bratania się z komunistami, co było pasją np. Adama Michnika. Sam bardzo często prezentował styl bycia, który wówczas, w latach pracy w dzienniku „Życie", nazywaliśmy umownie: „Z nim daje się jeszcze pogadać". Szczególnie Piotr Zaremba, Igor Zalewski czy Robert Mazurek uwielbiali długie rozmowy z Lityńskim. Niedawno na Facebooku Piotr Zaremba wspominał: „Gdy przyszedł sejm lat 1993–1997, gdzie dla takich ludzi jak my nie było bliższego środowiska jak UD, a potem UW – prawicy nie było, dominowali ludzie PRL. I wtedy się z Jankiem zakumplowaliśmy. Bywaliśmy u niego w domu, on u Igora, zdaje się, że nawet wymienialiśmy się płytami, jedliśmy jego potrawy. [...] Nie był nudziarzem. Wiedział, co chce powiedzieć, chciał rozmawiać z każdym. No, ale też czasy były inne. Jeśli wspomnę o pewnej biesiadzie z Jankiem i Pawłem Śpiewakiem u Bronka Wildsteina, to dziś takie sytuacje byłyby niemożliwe. Wtedy byliśmy siebie ciekawi".

Z tych rozmów wyniósł Lityński pewne zrozumienie potrzeby lustracji (w odróżnieniu od większości dawnych „komandosów") i rozliczenia przynajmniej w dziedzinie badania zbrodni komunizmu w PRL. Był współtwórcą kompromisu w sprawie lustracji i powstania IPN w 1999 r. Bronił lustracji w polemicznych tekstach, jedynych, które w tej kwestii tolerował jeszcze Adam Michnik na swych łamach. Z czasem dopiero się okazało, jak bardzo ta lustracja była kulawa. Nie zmienia to faktu, że konsensus w sprawie powstania IPN dobrze przysłużył się badaniu historii systemu.

POWRÓT DO KORZENI

Po zmierzchu Unii Wolności Jan Lityński znalazł się w politycznej pustce. Do Platformy go nie ciągnęło. Już nigdy nie został posłem.

W 2005 r., gdy spotkałem go na „election party" w redakcji „Rzeczpospolitej", zwierzył mi się, że w drugiej turze wyborów prezydenckich poparł Lecha Kaczyńskiego. W 2010 r. został doradcą prezydenta Bronisława Komorowskiego, ale – jak się zdaje – nie wpłynął zbytnio na linię swego szefa. Komorowski zaproponował wówczas etaty doradców starym kolegom z opozycji raczej wskutek sentymentu i życzliwości niż z powodu jakiegoś planu politycznego. Po 2015 r. Lityński wrócił do korzeni z epoki „komandosów". Atakował zawzięcie dobrą zmianę. Skupił się na udowadnianiu, że Kaczyński nie ma prawa do uważania się za współpracownika KOR, choć sam powinien wiedzieć, jak nieostre były wtedy podziały na członków Komitetu i osoby współpracujące z nim. Liczone notabene na dziesiątki, a nie na jakieś setki czy tysiące. Jeszcze w październiku zeszłego roku przyrównywał akcje policji wymierzone w Strajk Kobiet do miażdżenia opozycji na Białorusi. Wspomniany już Piotr Zaremba skomentował ten zwrot Lityńskiego do języka politycznej wojny w swoim wspomnieniu tak: „A gdzieś od 2015 trochę powrót do korzeni, okopanie się. Powiadam, wszyscyśmy się pookopywali".

Dzisiaj z prawego okopu wspomnieć można i wypada rozmaite niuanse, które w latach 80. i 90. tworzyły obraz polskiej polityki.

Tym bardziej że z powikłanych losów takich ludzi jak Lityński nie chcą czerpać żadnych nauk młodzi lewicowcy, którzy dziś na nowo uznają, że mają monopol na rację i tylko im sprzyja wiatr historii. Lityński kiedyś też w to wierzył i na szczęście potrafił z tego wiele razy w swoim czasie wyciągać wnioski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Niedouczone pokolenie

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Wysyłając dzieci na zdalną naukę, odebraliśmy całemu pokoleniu szansę na dobre wykształcenie. Za kilka lat ten problem zobaczą pracodawcy. Możemy tylko zmniejszyć skutki tej katastrofy

To, że pandemia uderzyła w gospodarkę, już widać. Branże, którym rząd nie pozwolił działać nawet w reżimie sanitarnym, wpadły w spiralę problemów. Niektóre z nich przekroczyły już próg wytrzymałości, inne zaraz go przekroczą. Restauratorzy trzymają się ostatkiem sił – część się poddała. Można już kupować ich lokale i wyposażenie. Kluby fitness znalazły wytrych i udają, że prowadzą zawody lub trenują „kadrę narodową w przeciąganiu liny". Też jednak długo już nie pociągną. Cierpi również branża ślubna. Zakaz organizowania imprez przez rok to prawdziwa katastrofa, która dotyka też innych branż, powiązanych z organizacją ślubów – zawodowi muzycy, którzy często zarabiali m.in. na weselach, wyprzedają sprzęt. W sieci można dziś kupić niedrogo wspaniałe instrumenty i wzmacniacze.

Przeżywamy jednak także inną katastrofę. Jej skutki nie są widoczne teraz i nie będą widoczne jeszcze przez jakiś czas. Będą za to dużo bardziej trwałe niż załamanie gospodarcze pewnych branż. Chodzi bowiem o całe pokolenie młodych ludzi, którym odebrano szansę na właściwą edukację. Trzeba to powiedzieć brutalnie – i nie ma w tym, niestety, przesady: w Polsce rośnie pokolenie, które będzie niedouczone.

ZDALNA PORAŻKA

Żeby dokładniej zarysować problem, należy wspomnieć, że jeszcze przed pandemią w polskiej edukacji – na temat której debata publiczna właściwie zamarła i sprowadza się do pobocznej dyskusji o tym, które wątki zamieścić w podręczniku historii, czy do możliwości zdawania egzaminu maturalnego z religii – notowaliśmy tąpnięcie osiągnięć uczniów. Sama

eprasa.pl 2c0af773a0

zmiana struktury, bo tym w istocie była likwidacja gimnazjów, nie wniosła nowej jakości do nauczania. I eksperci przed tym ostrzegali, ale nikt ich nie słuchał.

W 2020 r. opublikowano wyniki Międzynarodowego Badania Wyników Nauczania Matematyki i Nauk Przyrodniczych (TIMSS), przeprowadzanego co cztery lata. Kompetencje uczniów klas IV szkoły podstawowej mierzono w 2019 r.

Okazało się, że w umiejętnościach matematycznych polscy uczniowie zanotowali spadek. W pomiarach osiągali rezultaty o 15 pkt niższe niż w 2015 r. Za gorszy wynik odpowiedzialni byli uczniowie najsłabsi i średni. To w ich umiejętnościach nastąpiło największe tąpnięcie. Średni poziom wiedzy osiągnęło już nie ok. 80 proc. badanych, lecz 73 proc.

Podobny spadek zanotowali uczniowie klas IV pod względem umiejętności przyrodniczych. Też notowali o 16 pkt gorsze wyniki w teście TIMSS.

Ówczesny wiceminister edukacji Maciej Kopeć wskazywał, że na takie wyniki mogło wpłynąć wiele czynników, m.in. strajk nauczycieli czy wprowadzenie nowej podstawy programowej. Jego zdaniem mógł być to też efekt reformy rządów PO-PSL, czyli posłania do I klas szkół podstawowych sześciolatków.

I właśnie te dzieci – bo w ubiegłym, pandemicznym roku byli to już uczniowie klas V szkół podstawowych – trafiły w najgorszy dla edukacji okres w najnowszej historii. Zostały wyrzucone z zamkniętych szkół do domów na nauczanie zdalne.

Oczywiście chodzi nie tylko o tę grupę. Po całkowitym zamknięciu szkół decyzją rządu zdalnie uczyły się wszystkie polskie dzieci. Do dziś zresztą tak jest. Na miejscu, w placówkach, z nauczycielami są jedynie przedszkolaki oraz uczniowie najmłodszych klas I–III. Cała reszta boryka się z ograniczeniami w przyswajaniu wiedzy. Wiadomo bowiem – to wyszło na jaw bardzo szybko – że zdalne nauczanie i nowoczesne technologie w edukacji, o których debatowano dekadami na specjalistycznych konferencjach, nie są w stanie zastąpić bezpośredniego nauczania w szkole i skompensować wszystkich niedostatków braku osobistego kontaktu.

Na to nałożyły się dodatkowe problemy. Część uczniów w ogóle wypadła z systemu edukacji. I dotyczy to głównie tych, którym szkoła w życiu najwięcej pomagała – dzieci z mniej zamożnych rodzin, których rodzice często nie są im w stanie, mimo chęci, zapewnić takiego wsparcia, jakie otrzymują dzieci z zamożnych domów. Do dziś są dzieci, które mają problem z urządzeniami, dostępem do Internetu, co nie pozwala im uczestniczyć w zajęciach szkolnych nawet w tak okrojonej wersji on-line.

Jak wskazano m.in. w raporcie Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Cyfrowe wyzwanie stojące przed polską edukacją", pandemia brutalnie zweryfikowała umiejętności nauczycieli i uczniów związane z korzystaniem z edukacyjnych narzędzi cyfrowych. „Wyniki badań pokazują, że rzeczywistość znacznie odbiega od deklaracji dyrektorów szkół sprzed pandemii na temat wykorzystywania platform edukacyjnych" – zaznaczają autorzy raportu. Te ograniczenia spowodowały, że nauczyciele postrzegali zdalną edukację jako prowadzenie wykładów i zadawanie zadań. Gorzej dla uczniów wybrać nie mogli.

Inne bariery to sposoby oceny wiedzy uczniów. Z jednej strony dzieci zasypywane są elektronicznymi sprawdzianami na czas (co potęguje sytuacje stresowe i nie pozwala czasem naprawdę udowodnić wiedzy), a z drugiej zdalne sprawdziany pozwalają na bezpardonowe ściąganie i przepisywanie odpowiedzi z Internetu.

Słabość tego systemu dostrzegają też zresztą sami uczniowie. Aż 62 proc. z nich ocenia edukację zdalną jako nieefektywną. A połowa – mimo że to pokolenie, które nie wyobraża sobie życia bez dostępu do Internetu – za nic nie chciałaby w przyszłości uczyć się zdalnie (M. Plebańska, M. Sieńczewska, A. Szyller, „Edukacja zdalna w czasach COVID-19. Raport z badania", Wydział Pedagogiczny Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2020).

70 PROC. WIEDZY MNIEJ

Jak bardzo to, że polski rząd trzyma uczniów w domach, jest groźne dla ich przyszłości i całego kraju? To już wstępnie oszacowano. Bank Światowy spróbował ocenić „stratę edukacyjną" na świecie. Okazało się, że uczniowie zamknięci w domach i skazani na gorszą naukę stracili nawet o 60–70 proc. wiedzy, którą na tym etapie już powinni mieć. Jest to więc strata gigantyczna.

„Analiza dokonana przez Northwest Evaluation Association, porównująca wzrost wyników edukacyjnych między szkołami zamkniętymi 31 marca i kontynuującymi nauczanie stacjonarne, pokazała, że w sytuacji powrotu uczniów do szkół jesienią tego roku ich roczne postępy w czytaniu wyniosłyby około 70 proc. standardowego rocznego wzrostu wiedzy w zakresie czytania i poniżej 50 proc. standardowego rocznego wzrostu wiedzy matematycznej" – czytamy w raporcie Polskiego Instytutu Ekonomicznego. To też znaczne straty. A przecież oszacowano je przy założeniu, że uczniowie powrócą do nauczania stacjonarnego! Tymczasem polityka polskiego Ministerstwa Edukacji Narodowej jest tak samo chaotyczna jak działania całego rządu i – jak można zakładać – polskie dzieci prawdopodobnie nie wrócą do szkoły do końca tego roku. Nie wiadomo nawet, czy wrócą do szkół na jesieni.

Czy możemy tę stratę minimalizować? Owszem. Przede wszystkim – jak wskazują badacze fundacji Evidence Institute – należy zbadać, jaką stratę edukacyjną poniosły polskie dzieci. I to jak najszybciej. Bez określenia tego, co zabrała im polityka zdalnego nauczania, nie uda się wykonać planów mogących pomóc im odbudować utraconą wiedzę. A potem trzeba działać, np. otworzyć szkoły dla wybranych grup uczniów (tu należy skupić się na tych, którzy najwięcej tracą w pandemii, a więc na uczniach najsłabszych), zrewidować metody. I oczywiście zdobyć pieniądze.

Czy to jest możliwe? Wystarczy spojrzeć na stronę internetową MEN. Takich zagadnień tam nie ma. Wśród najnowszych aktualności jest wiadomość o… projekcie edukacyjnym dla nauczycieli związanym ze „150. rocznicą urodzin Eugeniusza Romera, wybitnego polskiego geografa i kartografa".

Dlatego wydaje się, że najważniejszym krokiem w Polsce byłoby uruchomienie nauczania stacjonarnego, choćby w wersji hybrydowej. Jeśli tego nie zrobimy, to z pewnością powiększymy stratę edukacyjną polskich dzieci. Istnieje niewielka szansa, że ją potem nadrobią (zwłaszcza że nie wiemy, jak długo potrwa stan pandemii). To oznacza w efekcie słabiej wykształcone pokolenie, które trafi potem na rynek pracy z niższymi kompetencjami. Będzie więc skazane na gorzej płatne zajęcia, gorszą przyszłość. Pracodawcy z jednej strony zyskają – będą mogli płacić niższe pensje. Z drugiej też zostaną skazani albo na douczanie przyszłych pracowników, albo sięganie po bardziej kompetentnych, być może spoza granic naszego kraju.

Katastrofa edukacyjna już nastąpiła. Pytanie tylko, czy rząd jest w stanie zareagować i spowodować, że jej skutki będą mniej tragiczne?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Agnieszka Niewińska

Pastor, wykładowca, polityk, farmer. Były poseł John Godson dał się poznać w Polsce jako człowiek wielu talentów. Teraz chce zostać prezydentem Nigerii

FOT. JOHN ABRAHAM GODSON/TWITTER

Nasz człowiek w Nigerii

Właśnie poinformowałem, że będę kandydować na urząd Prezydenta Nigerii w powszechnych wyborach 2023" – ogłosił w mediach społecznościowych były polski poseł John Godson. Do informacji dołączył wyborczy plakat, na którym pozuje z krzyżem na piersi w przykuwającym wzrok zielonym stroju uszytym z tradycyjnej afrykańskiej tkaniny. I choć główne nigeryjskie dzienniki nie zdążyły jeszcze wydrukować wywiadu z kandydującym na urząd głowy państwa Afropolakiem, jak niekiedy mówi o sobie John Godson, to nad Wisłą był on już gościem mediów. – Afryka bardziej mnie potrzebuje niż Polska – mówił w RMF FM, łącząc się z radiem ze stolicy Nigerii, Abudży.

POSEŁ NAMAWIA DO POSIADANIA DZIECI

Urodził się w Umuahii w południowo-wschodniej Nigerii. Do Polski przyjechał w 1993 r. za pośrednictwem jednej z organizacji chrześcijańskich. Modlił się za kraje Europy Wschodniej, w której komunizm chylił się ku upadkowi, i – jak mówił w jednym z wywiadów – wiedział, że kiedyś do któregoś z tych krajów przyjedzie. Padło na Polskę i zaczęło się od nieprzyjemnej przygody, bo przyszły poseł został oszukany przez taksówkarza już w drodze z lotniska na Dworzec Centralny. Za kurs zapłacił ponad 100 dol. Do Polski się jednak nie zraził i zamieszkał u nas na stałe. Ożenił się, w 2001 r. otrzymał polskie obywatelstwo, ma czworo dzieci, a dzisiaj może się już nawet pochwalić wnukiem.

Zanim w 2004 r. wstąpił do Platformy Obywatelskiej, prowadził szkołę językową, wykładał na Politechnice Szczecińskiej, Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i w Łodzi w Wyższej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej. Sam też kończył kolejne kierunki, zdobył tytuł doktora. Działał także jako duchowny protestanckiego Kościoła Bożego w Chrystusie.

W Sejmie po raz pierwszy pojawił się w 2010 r. Kandydował z list PO w Łodzi, gdzie ostatecznie zamieszkał. Objął mandat poselski po Hannie Zdanowskiej, którą wybrano na prezydenta Łodzi. Jako pierwszy czarnoskóry poseł szybko zdobył popularność i rok po swoim debiucie sejmowym uzyskał reelekcję ze świetnym wynikiem niemal 30 tys. głosów. Przeskoczył urzędującego ministra Cezarego Grabarczyka. Sympatię opinii publicznej

eprasa.pl 2c0af773a0

zaskarbił sobie nie tylko poselską aktywnością, lecz także m.in. poczuciem humoru, dystansem do siebie. Dwukrotnie był nominowany w plebiscycie Polskiego Radia, w którym wyróżniane są zaskakujące i zabawne wypowiedzi uczestników życia politycznego. „Apeluję do Polaków, abyśmy się nie bali mieć więcej dzieci. Mam czworo wspaniałych dzieci. Jeżeli możesz mieć jedno dziecko, to możesz też mieć dwójkę. A jeżeli możesz mieć dwójkę, to możesz też mieć trójkę. Ja zrobiłem swoje" – nawoływał Godson z trybuny sejmowej w 2012 r. i za tę wypowiedź otrzymał Srebrne Usta.

Rok później w tym samym plebiscycie został nominowany za anegdotkę o tym, jak został zaproszony do telewizji. „Gdzieś dwa lata temu byłem w TVP zaproszony na program poranny. Wchodzę do charakteryzatora i ona przerażona. A więc pytam jej: »Czy już zrobiła to z Murzynem?«, a ona powiedziała: »Nie, tylko z mężem«".

NAJLEPSZY HODOWCA ZWIERZĄT

W Platformie Obywatelskiej Godson długo miejsca nie zagrzał, odszedł w 2013 r. – Głównie ze względu na dysonans, jeśli chodzi o sprawy światopoglądowe i różne naciski – tłumaczył wówczas swoje motywy.

Był posłem, którzy otwarcie mówił o tym, że jest chrześcijaninem. Nieraz w studiach telewizyjnych ku zakłopotaniu dziennikarzy opowiadał o tym, że się modli albo że jego przyszłość jest w rękach Boga. Ewangelizuje nawet na Facebooku. Umieszcza cytaty z Biblii. Błogosławi użytkownikom, opisuje sytuacje z telewizyjnych debat, w których to Bóg podpowiadał mu, jakich słów użyć. – To jest bardzo fajny facet – mówi o Godsonie były poseł PSL Eugeniusz Kłopotek. Przez chwilę byli razem w klubie parlamentarnym PSL. – Przede wszystkim jest dobrze ułożony wewnętrznie. Ma swoje zasady i nie boi się bronić własnych poglądów – dodaje Kłopotek.

Poseł Godson nie krył krytycznego stanowiska wobec aborcji czy związków jednopłciowych. „Kiedy mężczyzna i mężczyzna pałają do siebie namiętnością, to jest wypaczeniem od normy" – stwierdził, czym ściągnął na siebie gniew m.in. prof. Magdaleny Środy, która jego wypowiedzi poświęciła felieton w tygodniku „Wprost". „Godsonowi radzę udać się na stadion, gdzie używanie epitetów: czarnuch, pedał i Żyd jest jak najbardziej w normie" – doradzała prof. Środa.

Gdyby nie głosowanie z 2014 r., kiedy to Godson wbrew partii (wówczas należał do Partii Razem Jarosława Gowina, był nawet jej wiceprezesem) zagłosował za udzieleniem wotum zaufania rządowi Donalda Tuska, być może dzisiaj byłby posłem Zjednoczonej Prawicy. Partia Razem po tamtym głosowaniu Godsona wyrzuciła.

Po zakończeniu kadencji Sejmu w 2015 r. Godson wyjechał do Nigerii. Założył fundację John Godson Foundation. Zaczął też prowadzić wielohektarowe ranczo Pilgrim Ranch. Hoduje kozy, świnie, kury. W mediach społecznościowych relacjonuje swoje farmerskie aktywności. Z kamerą wchodzi do kurnika, prezentuje dorodnego koguta i na oko jest w stanie ocenić jego wagę.

Na farmie uprawia pomidory, paprykę, bataty, orzeszki nerkowca. Zajmuje się cateringiem. Sprzedaje naturalną pastę pomidorowo-paprykową Pilgrim Ranch i pieczonego kurczaka. W grudniu ubiegłego roku został nagrodzony przez rząd stanu Abia tytułem Najlepszego Hodowcy Zwierząt. – Chciałem tylko inwestować, stworzyć miejsca pracy, pomagać ludziom, ale doszedłem do wniosku, że nie da się bez zmiany sposobu zarządzania kraju – tłumaczył swoje prezydenckie ambicje w wywiadzie radiowym.

Godson organizuje rolnicze kursy i wydaje książki: o uprawie papryki, ogórków, komercjalizacji hodowli kurcząt, a nawet ślimaków. Wierzy, że kluczem do poprawy sytuacji w Nigerii jest edukacja. – Większość społeczeństwa jest zacofana. Najważniejsze to jest teraz doprowadzić do oświecenia, powszechnej edukacji pomóc w rozwoju zasobów ludzkich, tak aby ludzie byli bardziej produktywni. Jak ludzie będą produktywni, to nasze krajowe PKB będzie rosło – tłumaczył swoje plany Godson. Dodawał, że kontrkandydatów będzie miał wielu, ale to wciąż te same twarze. – Wydaje mi się, że to mój atut – moje doświadczenie zdobyte w Polsce, bycie uczestnikiem transformacji.

– Prezydentura w Nigerii to bardzo duże wyzwanie – nie ma wątpliwości ks. prof. Jarosław Różański, kierownik Katedry Misjologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – To kraj trzy razy większy od Polski z ludnością, której liczba sięga 220 mln mieszkańców zróżnicowanych etnicznie, mówiących ponad 250 językami. Nigeria to jedna z największych gospodarek Afryki, w tej dziedzinie skutecznie rywalizuje od lat o pierwszeństwo z RPA. Kraj ma bardzo duże możliwości. Rolnictwo wciąż jest zacofane, ale dość dobrze są rozwinięte sektory przemysłowy i wydobywczy, zwłaszcza wydobycie ropy naftowej. Jako ciekawostkę można dodać, że prężnie działa też przemysł filmowy, czyli Nollywood. Nigeria to druga, po Indiach, filmowa potęga świata – wylicza ks. prof. Różański.

Zwraca uwagę, że poważnym wyzwaniem jest m.in. walka z korupcją, rosnącą przestępczością, przezwyciężenie regionalizmów, zwłaszcza na północy kraju. – Dostęp do edukacji to też poważne wyzwanie. Społeczeństwo Nigerii jest bardzo młode, blisko połowę stanowią dzieci do 15. roku życia. Dostęp do szkół trzeba zapewnić ogromnej liczbie osób. Nigeria ma wiele prężnych ośrodków uniwersyteckich, ale absolwentów często dopada frustracja, bo po ukończeniu studiów nie są w stanie znaleźć pracy adekwatnej do wykształcenia. Frustracja społeczna jest zresztą podłożem wielu konfliktów, także tych religijnych. W tym kraju bardzo często spraw religijnych nie oddziela się od kultury ani polityki, zwłaszcza w północnej części kraju.

SZKOLENIE DLA ROLNIKA

Gdyby wyrazy sympatii z Polski miały znaczenie w wyborach prezydenckich w Nigerii, John Godson mógłby się wysunąć na prowadzenie. Po jego deklaracji o kandydowaniu zewsząd posypały się gratulacje, wyrazy wsparcia, a nawet deklaracje wpłat na rzecz jego kampanii wyborczej. Godson zaznaczył, że takie finansowanie nie jest dozwolone przez nigeryjskie prawo, ale tych, którzy z nim sympatyzują, zachęcił do wspierania jego inicjatyw dobroczynnych w Nigerii.

Uruchomił zrzutkę na budowę centrum szkolenia zawodowego, na stypendia dla zdolnej młodzieży z biednych rodzin w Afryce (przyznał już ok. 200 stypendiów), a także na program mentoringu dla młodych afrykańskich rolników (Godson każdego roku wybiera aż 100, których szkoli i którym pomaga założyć gospodarstwa).

– Szczerze życzę mu powodzenia w wyborach – mówi Eugeniusz Kłopotek. I dodaje: – Jeśli zostanie prezydentem, to zaplanuję podróż do Nigerii, żeby go tam odwiedzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Sala Rycerska w Zamku Królewskim w Warszawie w 1915 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jerzy Miziołek

Traktat ryski, podpisany sto lat temu, 18 marca 1921 r., choć niekiedy surowo oceniany, spowodował powrót do Polski dziesiątków tysięcy archiwaliów, dzieł sztuki i symboli państwowych. Bez nich Polska byłaby krajem pozbawionym najcenniejszych artystycznych kolekcji i pamiątek

Odzyskanie narodowych skarbów kultury

W starożytności istotnym elementem celebrowania zwycięstwa była prezentacja łupów wojennych (trofeów). Podobnie było w czasach nowożytnych, kiedy ideę triumfów – zgodnie z duchem renesansu – wskrzeszono. Pochody z trofeami – były nimi przede wszystkim sztandary i broń – odbywały się również w Polsce w wiekach XVI i XVII, o czym mówią teksty z epoki i dzieła sztuki. Trofeami po wielkim polskim zwycięstwie w 1920 r. stały się przede wszystkim dobra kultury i symbole narodowe zrabowane z terenów Rzeczypospolitej przez carską Rosję w okresie od pierwszego rozbioru do 1915 r. Rabunki te wpisywały się w ustalenia tajnej konwencji petersburskiej, rosyjsko-pruskiej z 1797 r., która zobowiązywała obydwie strony do „likwidowania wszystkiego, co mogłoby przywołać pamięć Królestwa Polskiego". W szale tego likwidowania, po insurekcji kościuszkowskiej, Prusacy obrabowali skarbiec wawelski i z czasem te ukradzione regalia przetopili. Akcja unicestwiania polskich pamiątek i symboli narodowych odbywała się również w Rosji, ale większość z nich przetrwała, podzielona między innymi pomiędzy Ermitaż i Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu oraz Orużejnają Pałatę (Zbrojownię) i inne gmachy moskiewskiego Kremla.

Podczas gdy pałace Petersburga i Moskwy wypełniały się coraz bardziej, gmachy Rzeczypospolitej, choćby obydwa zamki królewskie, ziały wielką pustką. Wspomnienia Wojciecha Kossaka z jesieni 1918 r. dają dobre wyobrażenie o ogromnej dewastacji Zamku Królewskiego w Warszawie i przerażającej pustce jego wnętrz po rabunkach trwających do 1915 r.: „Zanim doszliśmy do wielkiej Sali, gdzie jest plafon Bacciarellego, przeszliśmy dziesiątki większych i mniejszych sal, pustych, odrapanych, w wielu nie było nawet podłóg. Ci wszyscy, co dziś Zamek warszawski w całej swojej wspaniałości oglądają, nigdy nie będą w stanie w przybliżeniu sobie wyobrazić, jak wyglądał po odejściu okupantów Zamek Królewski w Warszawie".

Podobna sytuacja była w zamku na Wawelu, gdyż większość jego skarbów znajdowała się w Rosji. Niektóre spośród 156 słynnych arrasów wawelskich, zabranych – na osobisty rozkaz Katarzyny II – z Warszawy do Rosji w końcu XVIII w., stały się obiciami kanap. Bezcenne szpalery króla Zygmunta Augusta, jak dawniej nazywano w Polsce arrasy, posłużyły zatem za ozdobę podrzędnych niekiedy mebli. Bardzo wiele cennych obiektów, choć zwykle mniejszej klasy artystycznej, trafiło też – hojnie rozdawanych przez carów – na dalszą i bliższą

eprasa.pl 2c0af773a0

prowincję. Jednak Polacy mieszkający w Rosji, jakby w przeczuciu odrodzenia Polski, monitorowali losy zagrabionych dóbr kultury. W bez mała 40 miejscowościach na terenie państwa carów funkcjonowały oddziały polskiego Towarzystwa Ochrony nad Zabytkami Przeszłości. Towarzystwo to odegrało ogromną rolę w wieloletnim procesie rewindykacji polskiego dziedzictwa kulturowego.

ARTYKUŁ XI TRAKTATU RYSKIEGO

Już w umowie preliminaryjnej dotyczącej pokoju i rozejmu, podpisanej 12 października 1920 r., zapisano: „Będzie ustalone zobowiązanie zwrotu Polsce archiwów, bibliotek, dzieł sztuki, historycznych trofeów wojennych, zabytków i tym podobnych przedmiotów dorobku kulturalnego, wywiezionych z Polski do Rosji od czasu rozbiorów Rzeczypospolitej Polskiej". W traktacie podpisanym 18 marca następnego roku kwestie te zostały ujęte w rozdziale XI. W tym czasie obrady kilka razy ogarniał impas, niekiedy były bliskie zerwania, ale strona polska konsekwentnie i z determinacją odwoływała się do umowy preliminaryjnej. „W odpowiedzi – pisze Władysław Semkowicz – strona rosyjsko-ukraińska oświadczyła, że nie poczuwa się do obowiązku odpowiadać za czyny rządu carskiego, nie uznaje też żadnej własności, tym bardziej prywatnej, gdyż w Rosji sowieckiej wszystkie np. dzieła sztuki zostały znacjonalizowane i należą faktycznie do całej ludzkości. Uznając wszakże zasadę stanowienia narodów oraz ich prawa do korzystania bezpośrednio z mienia kulturalnego, które dany naród stworzył, Rosja gotowa jest wydać Polsce z tego, co zostało wywiezione, tylko to, co stanowi produkt twórczości duchowej narodu polskiego, wydaniu nie może natomiast podlegać to, co stanowi produkt kultury ogólnoludzkiej i przechowywane jest w skarbnicach, mających ogólnoludzkie znaczenie kulturalne".

Podobnych, absurdalnych argumentów użyła strona rosyjska wiele razy; dotyczyły one nie tylko dzieł sztuki ze zbiorów polskich, wykonanych przez niepolskich malarzy czy rzeźbiarzy, lecz także całego, niezwykle ważnego dla polskiej kultury zbioru Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warszawskiego i bezcennych archiwów.

Wreszcie traktat podpisano. Jego XI rozdział zawiera następujące postanowienia: „Rosja i Ukraina zwracają Polsce następujące przedmioty, wywiezione do Rosji lub na Ukrainę od 1 stycznia 1772 r. z terytorium Rzeczypospolitej Polskiej: a/ wszelkie trofea wojenne (na przykład chorągwie, sztandary, wszelkie znaki wojskowe, działa, broń, regalia pułkowe itp.), jak również trofea zabrane od roku 1792 Narodowi Polskiemu w jego walce o niepodległość przeciw carskiej Rosji; b/ biblioteki, księgozbiory, archeologiczne i archiwalne zbiory, dzieła sztuki, zabytki oraz wszelkiego rodzaju zbiory i przedmioty o wartości historycznej, narodowej, artystycznej, archeologicznej i naukowej lub w ogóle kulturalnej".

Po podpisaniu traktatu powstała Polska Komisja Reewakuacyjna i Specjalna kierowana przez ministra Antoniego Olszewskiego. Ta jej część, która zajmowała się realizacją postanowień zawartych w rozdziale XI traktatu, składała się z wybitnych specjalistów z zakresu archiwistyki, muzeologii, historii, historii sztuki i bibliotekarstwa. Czekało ich niezwykle trudne zadanie, gdyż niemal każdy obiekt restytucji należało odszukać i przeprowadzić dowód własności. „Polacy – napisał w swoim raporcie Piotr Wojkow, prezes delegacji rosyjsko-ukraińskiej – żądają dosłownie wszystkiego, co tylko przypomni się komuś z ich uczonych lub laików aż po karetę króla Stanisława Augusta".

RESTYTUCJA NARODOWYCH SKARBÓW KULTURY

Pomimo wielu działań utrudniających ze strony Rosjan sprawy, dzięki kompetencji i uporowi polskich ekspertów, szły do przodu. Do 16 maja 1922 r. do Warszawy wysłane zostały akta gubernialnych urzędów do spraw własności w 85 pakach i dokumenty Zarządu Wzajemnych Ubezpieczeń Królestwa Polskiego w 55 pakach. W tym samym czasie powróciły do Polski między innymi: 24 głowy z Sali Poselskiej na Wawelu, 41 arrasów wawelskich, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem", wyposażenie pałacu Na Wodzie w Łazienkach i Zamku Królewskiego (375 skrzyń) między innymi z regaliami Stanisława Augusta, ze sztandarami, z obrazami Bernarda Bellotta w liczbie 21 z widokami Warszawy, brązowymi popiersiami z Sali Rycerskiej, sześcioma obrazami Marcella Bacciarellego z tejże Sali (ze scenami z historii Polski, ukazującymi m.in. „Hołd pruski", „Unię Polski z Litwą", „Bitwę pod Wiedniem"). Wygląd wielu z tych obiektów w tamtym czasie, podobnie jak sztandarów przechowywanych przez dziesiątki lat na Kremlu, świetnie dokumentują znakomite, dobrze opisane po rosyjsku zdjęcia zebrane w tzw. Albumie Morelowskiego, przechowywanym w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Album ten, podobnie jak inne zbiory fotografii, posłużył zapewne do negocjacji w sprawie odzyskania wszystkich zreprodukowanych w nim obiektów.

Rosyjska kanapa obita jednym z arrasów wawelskich FOT. DOMENA PUBLICZNA

Odzyskane chorągwie i proporce wojsk polskich FOT. DOMENA PUBLICZNA

Po powrocie z Rosji wyposażenia Zamku Królewskiego w Warszawie przyszedł czas na odtworzenie jego reprezentacyjnych sal – Marmurowej, Rycerskiej, Balowej, Tronowej, Gabinetu Monarchów Europejskich, by wiernie przywrócić ich wygląd z czasów Stanisława Augusta. Ogromnie w tym pomogły projekty dekoracji tychże sal wykonane przez artystów nadwornych, m.in. Jana Chrystiana Kamsetzera. Te znajdowały

eprasa.pl 2c0af773a0

się w uniwersyteckim Gabinecie Rycin, który również został odzyskany.

Z Zamku Królewskiego w Warszawie przenieść się wypada na wzgórze wawelskie. Tamtejszy zamek, odzyskany z rąk austriackich w 1905 r. (cesarz Franciszek Józef wyraził zgodę na opuszczenie przez wojska austriackie Wawelu), został ograbiony w tym samym stopniu co rezydencja królewska w Warszawie. Jak powszechnie wiadomo, wawelskie arrasy wykonane na zamówienie króla Zygmunta Augusta we Flandrii, i przez niego w testamencie zapisane całemu narodowi, nadają salom Zamku Królewskiego na Wawelu szczególnego znaczenia. Ich losy były niezwykle dramatyczne i tylko wielkiej determinacji polskiej komisji rewindykacyjnej, a szczególnie Marianowi Morelowskiemu, możemy zawdzięczać odzyskanie większości tych wywiezionych do Rosji zabytków. Zachowane dokumenty pokazują z jednej strony wspomnianą determinację strony polskiej – świadczą o niej liczne listy prezesa Olszewskiego i liczący kilkanaście stron erudycyjny memoriał Morelowskiego, a z drugiej niezwykłe rozproszenie i fatalne traktowanie bezcennej kolekcji przez Rosjan. W swoim cytowanym już raporcie Wojkow pisał następująco: „Uznaliśmy prawo Polaków do 156 wspaniałych gobelinów i przekazaliśmy im już 101 spośród tych, które były wywiezione w 1606 roku z zamku krakowskiego zwanego Wawelem najpierw do Warszawy, a w 1794 roku po stłumieniu powstania Kościuszki do Piotrogrodu do stóp Katarzyny. Następnie rozdano je i rozesłano w różne miejsca, w tym do pałaców w Gatczynie i do Zimowego, do Akademii Sztuk Pięknych, do Koniuszego Muzeum itd. Te bezcenne gobeliny ozdabiały ściany rezydencji Arakczejewa, a ponieważ w jego domu trzeba było palić w piecu i wbijać haczyki na wieszaki, nie krępując więc się, polecił on powycinać w gobelinach te miejsca, w które wbijano haczyki lub wybijano dymniki. Znaleźliśmy wycięte kawałki wyrzucone gdzieś do magazynów i zwróciliśmy je Polakom razem z gobelinami".

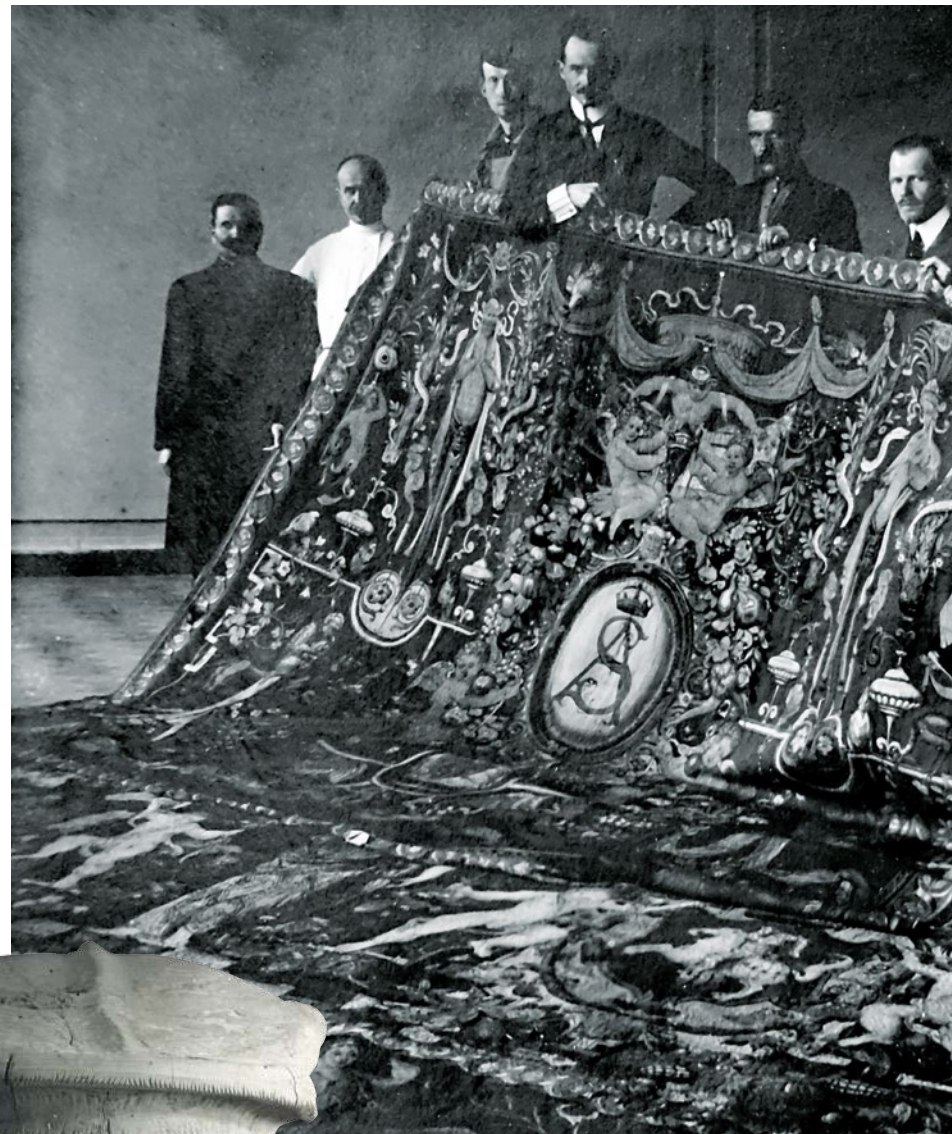

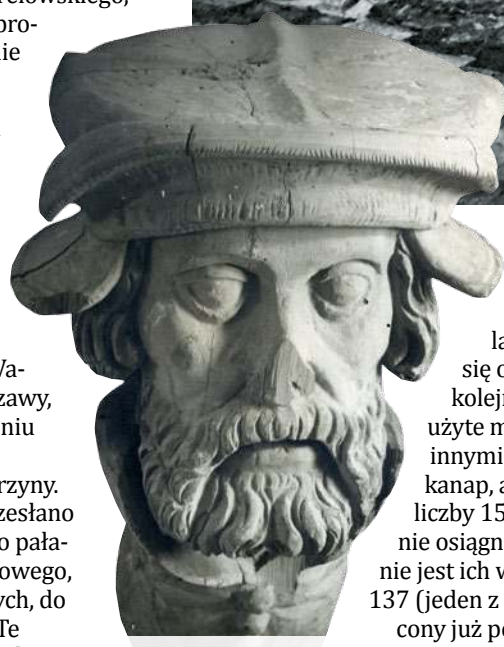

Jedna z głów wawelskich odzyskanych z Rosji

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W następnych latach udało się odzyskać kolejne arrasy użyte między innymi do obicia kanap, ale niestety liczby 156 do dziś nie osiągnięto. Obecnie jest ich w sumie 137 (jeden z nich, zwrócony już po drugiej wojnie światowej, znajduje się w zbiorach Zamku Królewskiego w Warszawie). Ich zwrot, realizowany partiami, trwający do 1928 r., był jednym z największych osiągnięć w dziele rewindykacji polskich dóbr kultury. Wobec zniszczenia królewskich insygniów i zagłady Skarbca Koronnego, unicestwionego przez Prusaków w roku 1795, arrasy zygmuntowskie i Szczerbiec – miecz koronacyjny królów polskich – zyskały rolę ważnych symboli polskiej państwowości.

Historia Szczerbca, jednego z najpiękniejszych, ale jednocześnie najbardziej tajemniczych mieczy epoki średniowiecza, jest niezwykle złożona. Rosjanie początkowo nie zgadzali się na przesłanie go do Polski, gdyż nie został zagrabiony, a zakupiony do Ermitażu po serii zawiłych zwrotów w historii zabytku. „W końcu – pisze Zdzisław Żygulski – doszło do osobliwej zamiany: Polacy otrzymali upragniony Szczerbiec, rezygnując z restytucji znakomitego obrazu z kolekcji króla Stanisława Augusta – »Skradzionego pocałunku« Jean-Honoré Fragonard". Taka zamiana była możliwa zapewne tylko dlatego, że – z jednej strony – w Rosji przeważało przekonanie, iż miecz nie jest autentyczny, z drugiej strony wiadomo, jak bardzo niektórym wpływowym Rosjanom zależało na pełnym uroku obrazie francuskiego malarza.

eprasa.pl 2c0af773a0

Fotografia z albumu reewakuacyjnego
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pokaz odzyskanego obrazu Siemiradzkiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sięgnijmy do sprawozdania z 17 czerwca 1924 r. autorstwa Antoniego Olszewskiego i jego zastępcy Edwarda Kuntzego: „Wartość dla Polski zwracanych skarbów kulturalnych jest bardzo trudna do ujęcia w odpowiedniej sumie pieniężnej. Dla Polski ogałacanej systematycznie przez 150 lat ze wszystkiego niemal, co miało związek z historią i kulturą narodu, zwrot każdego przedmiotu posiada wyjątkowo wielkie znaczenie. […] Przeprowadzona statystyka objętościowa przywiezionego już do kraju mienia wykazuje 319 wagonów, w czym 172 wagony mienia państwowego". Myśląc o tych 319 wagonach, należy pamiętać, że Rosjanie, wycofując się latem 1915 r. przed wojskami niemieckimi, dokonali ograbienia wielu instytucji dosłownie ze wszystkiego (podobnie jak wojska niemieckie po upadku powstania warszawskiego w 1944 r.). Dobre wyobrażenie o skali rabunku w 1915 r. daje przywołanie tego oto wymownego faktu: wyposażeniem samego tylko Zamku Królewskiego w Warszawie wypełniono 65 wagonów. O tym, jak wyglądały wówczas wnętrza tego pomnika, wiemy z cytowanego wcześniej fragmentu wspomnień Wojciecha Kossaka.

RADOŚĆ Z ODZYSKANEGO JESTESTWA NARODOWEGO

Na jednym ze zdjęć dokumentujących proces realizacji postanowień traktatu ryskiego widzimy wnętrze dużego pomieszczenia z ogromną liczbą mikroskopów zabranych z warszawskich uczelni. Tłem dla tych licznych instrumentów naukowych i uwiecznionych na zdjęciu postaci sekretarzy polskiej i rosyjskiej delegacji – Aleksandra Łady i Iwana Duwana – jest obraz Henryka Siemiradzkiego „Apoteoza Kopernika". Dzieło to – wykonane w 1891 r. i ofiarowane Uniwersytetowi Warszawskiemu przez Barbarę z Gorczaków Pankratjewową – powróciło w mury Biblioteki Uniwersyteckiej 23 października 1925 r., ale publiczna prezentacja odbyła się w bibliotece dopiero w czerwcu 1927 r., z udziałem władz uczelni, grona profesorskiego i licznych czytelników. To właśnie wydarzenie, w którym wyczuwa się atmosferę zaciekawienia i cichej radości, upamiętnia bezcenna fotografia. Niestety – podobnie jak wiele z odzyskanych z Rosji dzieł – także obraz Siemiradzkiego przepadł w czasie drugiej wojny światowej.

Radość z odzyskanych dóbr kultury narodowej obecna jest zarówno na kartach licznych publikacji, których autorami byli uczestnicy rewindykacyjnych negocjacji, jak i w publikacjach badaczy, którzy mieli przywilej publikowania jako pierwsi odzyskanych skarbów. Jednym z tych uprzywilejowanych był Stanisław Pereświet-Sołtan, wydawca odzyskanych listów naszego największego kompozytora: „Dla licznych wielbicieli geniuszu Chopina łatwo zrozumiała będzie moja radość, gdy, porządkując w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie archiwalia, zwrócone nam przez Rosję, pomiędzy różnymi starymi szpargałami, między spisem bielizny a rachunkiem od krawca za robotę granatowego fraka (dosłownie!), miałem szczęście znaleźć kartki z wyraźnym podpisem: »F.F. Chopin«. Wszystkie listy, w liczbie trzynastu, pisane były przez Fryderyka Chopina w latach 1824–1827". Te bezcenne listy są prawdziwą kopalnią informacji o licealnych i uniwersyteckich latach Chopina. Bez nich nasza wiedza o jego życiu, upodobaniach i edukacji byłaby niezwykle skromna, wręcz uboga.

Dzięki wygranej wojnie 1920 r. i podpisaniu traktatu w Rydze można było zatem odtworzyć zbiory archiwalne, zrekonstruować wnętrza zamków królewskich w Krakowie i Warszawie, urządzić Łazienki i rozpocząć – po odzyskaniu dokumentów, manuskryptów (takich jak „Kazania świętokrzyskie"), inkunabułów i książek – badania dziejów Rzeczypospolitej odrodzonej po długich latach niewoli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Woje Mirmiła

Piotr Gociek

Serial animowany „Kajko i Kokosz" to rozrywka ciepła, familijna i zabawna. Możemy już oglądać pięć odcinków z 26 planowanych. Czekaliśmy na nie 40 lat

Kiedy komiks już się zadomowił w naszym kraju i kiedy nie musiałem rysować marynarzy, wpadłem na pomysł, żeby robić to w zamierzchłej przeszłości, najlepiej w czasach pogańskich" – opowiadał po latach Janusz Christa, wyjaśniając, jak morskie wilki Kajtek i Koko zamieniły się w wojów z Mirmiłowa, czyli w Kajka i Kokosza. „Gdybym zaczął robić to gdzieś na przełomie pogaństwa, naraziłbym się Kościołowi, bo trzeba by rysować księżulków albo innych zakonników, i wolałem tego uniknąć" (cytaty z wywiadu Konrada Grzegorzewicza przeprowadzonego dla portalu Gildia.pl).

Do przemiany doszło w roku 1972, kiedy sympatyczna dwójka zadebiutowała na łamach „Wieczoru Wybrzeża". Ukochanymi bohaterami całej Polski stali się Kajko i Kokosz trzy lata później, gdy ich kolejne – już kolorowe – przygody zaczęły się pojawiać w piśmie „Świat Młodych", a od 1981 r. także ukazywać w formie albumowej. Era Kajka i Kokosza trwała 20 lat – ostatnią krótką historyjkę o wesołych wojach narysował Christa w 1992 r. dla „Tygodnika Bałtyckiego". Dopytywany w 2000 r. przez Witka Tkaczyka z magazynu komiksowego „AQQ", czy rysuje jeszcze nowe komiksy, Christa odpowiadał: „Już zaprzestałem. Mam kłopoty ze wzrokiem, widzę coraz gorzej [...]. Jestem spokojnym rentierem. Oglądam telewizję i czytam książki". Zmarł w 2008 r., przeżywszy 74 lata.

Janusz Christa był jednym z tytanów polskiego komiksu, najważniejszym twórcą okresu PRL obok Henryka Jerzego Chmielewskiego i Jerzego Wróblewskiego. Doczekał renesansu zainteresowania swoją twórczością: wydawnictwo Egmont od dwóch dekad wznawia jego stare albumy, przygotowuje specjalne edycje omnibusowe zbierające prasowe paski komiksowe, wydaje „Kajka i Kokosza" także po kaszubsku i w śląskiej gwarze. Dzisiaj, dzięki serialowi animowanemu stworzonemu przez studio EGo Film, najsłynniejsi bohaterowie Christy mają okazję zagościć na

eprasa.pl 2c0af773a0

ekranach telewizorów i komputerów widzów z całego świata.

KRĘTA DROGA NA EKRAN

Serial zadebiutował w Netflixie w minioną niedzielę, dziennikarzom udostępniono wcześniej przedpremierowo dwa odcinki. Wstydu nie ma, produkcja wygląda dobrze, choć nieco statycznie i staroświecko w porównaniu z konkurencją zagraniczną. Nikt chyba jednak nie oczekiwał, że polski producent, nawet z pieniędzmi Netflixa, będzie ścigał się z wytwórniami Dreamworks czy Warner Bros. (ta pierwsza wyprodukowała dla streamingowego giganta „Opowieści z Arkadii", ta druga „Kto zje zielone jajka sadzone?"). Zresztą znaleźć właściwy sposób na ekranizację komiksowej klasyki nie jest łatwo. Wystarczy spojrzeć na długą listę animowanych filmów o Asterixie i Obelixie – mało który był w pełni udany, a wszystkie zostały pobite na głowę przez wersję aktorską (zwłaszcza jej drugą odsłonę „Misja Kleopatra").

Droga Kajka i Kokosza na ekran także była długa i kręta, ale więcej na niej było projektów zaniechanych niż dokończonych. Po roku 1989 studio filmów rysunkowych z Bielska-Białej miało wyprodukować serial animowany we współpracy ze słynnym studiem Hanna-Barbera (znanym z tak popularnych seriali jak „Flintstonowie" wyświetlani w PRL jako „Między nami jaskiniowcami", „Jetsonowie" czy „Miś Yogi"). W dokumentalnym filmie „Christa" (2010) Sławomir W. Malinowski, narrator i reżyser zarazem, pokazał fragmenty animacji przygotowanych na początku lat 90. na potrzeby dużej zagranicznej produkcji filmowej. Widzowie ujrzeli między innymi zbójcerzy czy Zbója Łamignata.

We wspomnianym już wywiadzie dla „AQQ" z roku 2000 Janusz Christa mówił o Agencji Reklamowej Jupi Direct (która wówczas wznawiała albumy o „Kajku i Kokoszu"): „Podobno mają nawet sponsorów gotowych wyłożyć ileś tam milionów dolarów". Jacek Leśniewski z Jupi Direct w tym samym numerze zdradzał, że z przeprowadzonych badań wynika jednoznacznie: Polacy czekają na film o bohaterach Christy. I dodawał tajemniczo: „Do tej pory wszystkie przygotowania dotyczyły filmu animowanego, ale od jakiegoś czasu kiełkuje w zespole myśl, by realizować film z aktorami".

W Internecie znaleźć można fragmenty scenariusza filmu pełnometrażowego „Kajko i Kokosz. Dzień Śmiechały", którego autorem był Mikołaj Korzyński. W owym czasie ogłoszono nawet plebiscyt na obsadę planowanego filmu. Uczestnicy łódzkiego Festiwalu Komiksu głosowali najchętniej na Zbigniewa Zamachowskiego i Cezarego Żaka. Ten ostatni miał okazję podłożyć głos postaci Kokosza (Kajkiem został Maciej Stuhr) kilka lat później w animowanym komputerowo krótkim filmie pokazywanym w kinach sieci Multikino (potem wydanym także na DVD) 24 i 25 czerwca 2006 r. Reżyserem filmu „Kajko i Kokosz" był Daniel Zduńczyk, a scenariusz wykorzystywał wątki z albumu „Zamach na Milusia". Dwa lata pracy polskich animatorów przyniosły 15 minut opowieści, efekt nie przyciągnął jednak do produkcji nowych inwestorów i przedsięwzięcie zarzucono.

Dzisiejsza produkcja przygotowana dla Netflixa jest więc zwieńczeniem 40 lat starań o pokazanie Kajka i Kokosza na ekranie. Swój kształt zawdzięcza nie tylko oryginalnym albumom Janusza Christy, lecz także znakomitym polskim twórcom młodszego pokolenia. Autorem graficznych projektów postaci jest Sławomir Kiełbus, którego sam Christa wskazywał jako swojego ewentualnego następcę, gdyby ktoś miał odwagę kontynuować cykl. Kiełbus pokazał, że nadaje się do tego zadania idealnie, na łamach trzech oryginalnych tomów serii wydanych w latach 2016–2019 jako „Kajko i Kokosz. Nowe przygody". Dwa były antologiami krótkiej formy, a Kiełbus tylko jednym z wielu rysowników, od tomu „Królewska Konna" został już jedynym rysownikiem, a komiks był pierwszym pełnometrażowym albumem o wojach Mirmiła powstałym już bez Janusza Christy. W tym roku ma się ukazać kolejny: „Zaćmienie o zmierzchu".

DOBRANOCKA IDEALNA

Scenariusz napisali pospołu Maciej Kur i Rafał Skarżycki, ten pierwszy jest scenarzystą „Nowych przygód", ten drugi to uznana firma w świecie polskiego komiksu – scenarzysta serii „Jeż Jerzy" oraz „Tymek i Mistrz". Tworzył je z równie cenionym rysownikiem, Tomaszem Lwem Leśniakiem, który też przyłożył swoją rękę do serialowego „Kajka i Kokosza" – wymienia się w roli reżysera z Michałem Śledzińskim „Śledziem", popularnym komiksiarzem, który sławę zdobył jako autor undergroundowego „Osiedla Swoboda" (ale nie są jedynymi reżyserami). Producentem serialu dla Netflixa jest polskie studio EGo FILM.

Pierwszy odcinek serialu nosi tytuł „Tajna broń Hegemona" i inspirowany jest wydarzeniami z albumu „Zamach na Milusia". Tyle że w komiksowym oryginale Kajko i Kokosz znaleźli w lesie jajo, z którego wylęgnie się smok Miluś. W serialu natomiast jajo jest sekretną bronią, którą kupił Krwawy Hegemon, wódz Zbójcerzy. Odcinek drugi to „Fujarka Łamignata", wspaniały hołd złożony Chriście, bo tytułowy gadżet pojawił się przecież już na pierwszej stronie pierwszego kolorowego komiksu serii na łamach „Świata Młodych" w 1975 r. Czarodziejską fujarkę, przypomnijmy, Zbój Łamignat otrzymał od swej żony. Tak naprawdę wcale nie była magiczna, pełniła funkcję placebo. Nerwowy Łamignat często wątpił we własne siły, Jaga wmówiła mu więc, że grając na podarowanym instrumencie, zwiększa swą krzepę.

„Kajko i Kokosz" w wersji Netflixa to format idealny do prezentowania jako telewizyjna dobranocka – odcinki mają po 12–13 minut i stanowią zamknięte, krótkie całości. Scenarzyści sięgają swobodnie po poszczególne pomysły fabularne i grepsy z oryginalnych komiksów, dopisują dialogi w duchu Christy i trzymają w zanadrzu kolejne ukochane przez czytelników postacie drugoplanowe. Wiemy o tym z czołówki serialu, w której pojawiają się m.in. błędny rycerz Wit oraz statek wikingów z Jomsborga. To dobry pomysł. Ekranizowanie całych albumów wymagałoby produkowania za każdym razem filmu pełnometrażowego, a tak powstała seria, która bawić będzie zarówno starych czytelników serii, wyczekujących swoich ulubionych grepsów, jak i całkiem nową widownię.

Przedsięwzięcie jest poważne – 26 odcinków, z których pięć już pojawiło się w serwisie. Kolejne będą miały premiery w drugiej połowie tego roku oraz w roku 2022. Czy „Kayko & Kokosh" podbije świat? Łatwiej byłoby 40 lat temu, gdy Amerykanie chcieli wstawić słowiańskich wojów do swojego katalogu obok Flintstonów. Widzę jednak szansę i teraz. Serial jest lekką i zabawną familijną rozrywką, na tle zachodnich produkcji wyróżnia się oryginalnością i ciepłem, łatwo go polubić – ja po dwóch przedpremierowych odcinkach nie mogłem się doczekać następnych. Mam też już swoich faworytów w obsadzie dubbingu – fenomenalni są Agata Kulesza jako czarownica Jaga oraz Michał Piela jako Kokosz. Warto też docenić muzykę Stefana Wesołowskiego. A kto innego zdania – tego na plasterki! Aha, i jeszcze jedno: niech co, Krwawy Hegemon? Niech żyje!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO GO

Słowo było pierwsze

★★★★☆☆

REŻ. P.B. SHEMRAN „PROFESOR I SZALENIEC" („THE PROFESSOR AND THE MADMAN") USA 2019

wyst. Mel Gibson, Sean Penn, Natalie Dormer

Obaj marzą o niemożliwym: pierwszy o zamknięciu i skodyfikowaniu całego języka w jednym wielkim słowniku, drugi o przebaczeniu – zabił niewinnego człowieka. Pierwszy jest szkockim lingwistą zatrudnionym do stworzenia „Oxford English Dictionary" i gra go Mel Gibson. Drugi to wojskowy chirurg z poważnymi psychicznymi problemami, zamknięty w zakładzie dla obłąkanych – gra go Sean Penn. Film „Profesor i szaleniec" to opowieść staroświecka w dobrym znaczeniu tego słowa. Porządne kino historyczne inspirowane prawdziwą historią (opisaną w książce non-fiction Simona Winchestera „The Surgeon of Crowthorne"), z ładnie zarysowanymi postaciami (nie tylko na pierwszym planie) i dobrze zagrane. Oprócz Gibsona i Penna warto zwrócić uwagę na Eddiego Marsana i Steve'a Coogana, ale przede wszystkim na Natalie Dormer, którą pamiętamy z seriali „Gra o tron" i „Dynastia Tudorów"..

Film był przedmiotem długiego sporu sądowego, odżegnali się od niego i reżyser Farhad Safinia, który kazał zastąpić swe nazwisko pseudonimem P.B. Shemran, i Gibson, który nie chciał filmu promować. Mieli pretensje do producentów o zbyt mało dni zdjęciowych i brak wpływu na ostateczną wersję. Zachodni recenzenci w większości film miażdżyli, ale nie mieli racji. Chociaż jest to historia w wielu miejscach przewidywalna, a w dialogi wkradają się banały, to jest to opowieść zajmująca i z sercem we właściwym miejscu. Jest to film bardzo chrześcijański, przypominający o miłosierdziu, przebaczeniu i miłości bliźniego, o tym, że każde życie warte jest, by o nie walczyć. A także o tym, żeby nie obawiać się brania na barki dzieł zdających się przekraczać nasze możliwości – wszystko jest możliwe, gdy zrozumiemy, gdy odłożymy pychę i zaakceptujemy swoją rolę w wielkiej sztafecie pokoleń.

„Profesor i szaleniec" w kinach furory nie zrobił, jego klęski nie da się zrzucić na koronawirusa, bo amerykańska premiera miała miejsce wiosną 2019 r. Dla widowni kolorowych błyskotek Marvela był na pewno zbyt nudny, a dla bywalców kin studyjnych za mało postępowy, bo dziś chodzi się tam w poszukiwaniu dramatów z życia LGBTQ+ albo opowieści o uciskanych mniejszościach rasowych. Jestem jednak dziwnie spokojny, że im więcej ludzi obejrzy ten film, tym lepsza będzie o nim opinia. ©℗

NOWE SERIALE: „GANGI LONDYNU"

CANAL+

Krwawa, brutalna, ale jednocześnie emocjonująca i wciągająca opowieść o współczesnym przestępczym półświatku stolicy Anglii. Po śmierci najpotężniejszego gangstera Londynu (Colm Meaney) jego syn Sean (Joe Cole) nie tylko przejmuje kontrolę nad przestępczym imperium, lecz także wszystkim chce na początek wyjaśnić, kto stoi za śmiercią ojca. Serial wyprodukowany przez brytyjską telewizję Sky zbiera świetne recenzje – i pieniądze nowych inwestorów. Drugi sezon powstanie we współpracy z amerykańską kablówką AMC znaną z „Mad Men" czy „Breaking Bad". ©℗

Piotr Gociek

- ***Sezon 1 „Gangi Londynu" („Gangs of London"), Wielka Brytania 2020, dystr. Canal+***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Piotr Domalewski* ***„Jak najdalej stąd"***, *Polska 2020* CINEMAN
- *reż. Fernanda Valadez* ***„Znaki szczególne" („Sin Señas Particulares")***, *Meksyk 2020* CINEMAX
- *reż. David Tryhorn, Ben Nicholas* ***„Pelé"***, *Wielka Brytania 2021* N

eprasa.pl 2c0af773a0

Inszallah

W KINACH

Muzamil, jeszcze niemowlęciem będąc, usłyszał bezlitosną wróżbę: pożegna się z życiem w wieku 20 lat. Woli Boga sprzeciwiać się nie ma sensu. Ojciec bierze nogi za pas, matka reaguje nadopiekuńczością. Mieszkańcy wioski przekonani, że przepowiednia się spełni, spisują nieboraka na straty. Rówieśnicy nazywają go „dzieckiem śmierci". Nie dziwota, że chłopak wyrasta na odludka, ponuraka i fatalistę. Z marazmu próbuje wyciągnąć Muzamila sąsiad – wyrzutek społeczny, który pamięta „filmy z czasów Anglików", derwiszami gardzi, a i sam z naukami Koranu jest na bakier. Można by pomyśleć, że nad południowym Nilem od czasów Stasia i Nel życie aż tak bardzo się nie zmieniło. Pustynia napiera, egzotyczne rytmy i soczyste barwy atakują zmysły, choć w gruncie rzeczy jest szaro. Komu tęskno za kinem prostolinijnym i na swój sposób poetyckim, tego sudański kandydat do Oscara nie zawiedzie. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. AMJAD ABU ALALA
„YOU WILL DIE AT TWENTY"
SUDAN 2019

wyst. Mustafa Shehata, Islam Mubarak, Moatasem Rashed

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZCZĘŚCIE NA KREDYT

★★★☆☆☆

REŻ. MARCIN ZIĘBIŃSKI
„BANKSTERZY"
POLSKA 2020

wyst. Antoni Królikowski, Katarzyna Zawadzka, Jan Frycz

Miło, że nasi filmowcy trzymają rękę na pulsie współczesności. Szkoda, że wciąż nie owocuje to arcydziełami, lecz ekranową publicystyką, fabuły zaś formatuje się pod gust czytelników brukowców. Marcin Ziębiński umie sprawić, by było światowo. W „Banksterach" Warszawa wygląda prawie jak Dubaj, a w bonusie dostajemy fototapety z Nowego Jorku. To tam zostanie uknuta intryga, która wydrenuje portfele pracowitych, lecz naiwnych Polaków. Wszystkie postacie, dobre i złe, nakreślono grubą kreską. Nie o wiarygodność tu jednak chodzi, lecz o napiętnowanie hultajów z sektora finansowego, wciskających rodakom „tanie" kredyty we frankach szwajcarskich (akcja rozgrywa się na przełomie lat 2007 i 2008). Proceder kwitnie, bo klienci podpisują umowy pod wpływem impulsu, bez zastanowienia i konsultacji. Zdaje się, że podobnie kompletowano obsadę. Tomasz Karolak jako nadwiślańska namiastka wilka z Wall Street – to musiało się udać. Film zachęca, by sprawiedliwość wymierzać na własną rękę.

LEŻAK WENECKI

★★★☆☆☆

REŻ. LUCHINO VISCONTI
„ŚMIERĆ W WENECJI" („MORTE A VENEZIA")
WŁOCHY 1971

wyst. Dirk Bogarde, Björn Andrésen, Romolo Valli

„Fabuła przypominająca rozlany atrament", „wynudziłem się", „drewniana gra aktorska". Minęło 50 lat od premiery „Śmierci w Wenecji", ale sądząc po komentarzach w sieci, to arcydzieło dekadencji wciąż wywołuje emocje, pozostając niezawodnym testem na snobizm tudzież brak ogłady. Bierność i małomówność bohatera doprowadzają do furii (lub ekstazy) kolejne pokolenia widzów. Jak na mój gust, próba przełożenia wysublimowanej prozy Manna na język kina zakończyła się połowicznym sukcesem. O naturze sztuki i samotności artysty można opowiedzieć – jak mniemam – bardziej zajmująco. Viscontiemu udało się natomiast uchwycić osobliwy wdzięk Serenissimy, która wrażliwcom już od dawna kojarzy się z trupem, umalowanym na użytek turystów. Szukając odtwórcy roli Tadzia, reżyser odwiedził PRL, jednak efeba mogącego uchodzić za wcielenie doskonałości nie spotkał. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO 3D WORLD + BOWSER'S FURY"

★★★★★☆

„Super Mario 3D World" ukazał się na Nintendo Wii U w 2013 r. Już wtedy była to wyśmienita gra, ale dostępna na sprzęt, który sprzedawał się kiepsko. Wielu graczom tytuł ten przeszedł zatem koło nosa. Switch to zupełnie inna historia. Najnowsza konsola Nintendo rozeszła się już w przeszło 80 mln egzemplarzy, dlatego dla większości graczy reedycja „3D World" na NS będzie pierwszym spotkaniem z tą częścią przygód Maria. Czy warto? Warto! Tym bardziej że w pakiecie z odświeżonym, wciąż szalenie grywalnym „SM 3D World" dostajemy „Bowser's Fury", która może nie ma dość dużo zawartości, by traktować ją jako osobną grę, ale gdyby był to spin-off za ok. 100 zł, byłaby to uczciwa oferta. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Platformówka 3D*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2c0af773a0

MOJA PÓŁKA

Konfesjonał Henryka Berezy

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Wypiski ostatnie" zmarłego w 2012 r. Henryka Berezy niewątpliwie przypominają dziennik lektur, nieco przerażający swą wielkością, gdyż dwa jego tomy zawierają niemal 500 komentarzy do przeczytanych książek. I to tylko tych komentarzy, które nigdy nie były opublikowane przez tego krytyka, po 1956 r. uchodzącego za jednego z odnowicieli polskiej myśli humanistycznej, potem za recenzenta najbardziej sumiennego z sumiennych, skutecznego propagatora nurtu chłopskiego w naszej literaturze, wreszcie ojca chrzestnego tzw. rewolucji artystycznej, która niczego nie zrewolucjonizowała ani nie wykreowała żadnej z pozornych wielkości, na które stawiał Bereza. Edycja „Wypisków ostatnich" dobitnie przekonuje, że swoich niegdysiejszych wyborów bronił do końca.

Komentarze Henryka Berezy sytuują się – jak stwierdza w obszernym wprowadzeniu prof. Andrzej Skrendo – na pograniczu literatury, krytyki literackiej i filozofii. Miejscami są oryginalne, bardzo osobiste, często jednak nie tylko niesprawiedliwe, lecz także podporządkowane swoistej poprawności, skodyfikowanej, fakt, według własnych zasad, mimo to jednak rażącej. W efekcie, gdy chce schłostać Janusza Andermana za „Cały czas", powiada, że wprawdzie to beletrystyka „uszyta" na zamówienie, ale „w najlepszym ideologicznie wydaniu, czyli według zamówienia Adama Michnika". Zaraz też dodaje – co, podejrzewam, traktował jako akt heroicznej odwagi – że „Adam Michnik jest sam wspaniałym publicystą i eseistą, ale krytykiem i teoretykiem literatury nie jest i być nie może".

Czasem jednak Bereza zaskakuje. Oto w 2009 r. oddał się lekturze „Piaskowej Góry" Joanny Bator, któ-

FOT. RAFAŁ SIDERSKI/FORUM

rej – jak stwierdził po przeczytaniu książki – „zamarzyła się kariera powieściopisarska z niedostatku innych satysfakcji życiowych i intelektualnych". Wcześniej, podczytując „Piaskową Górę", dawał upust emocjom: „Grafomania w tej powieści osiąga niebotyczne szczyty, nie znam niczego takiego z najbardziej podłej beletrystyki polskiej", a „formalna poprawność językowa nie łagodzi fałszywości tego języka narracyjnego, to język wymyślonej pizdowatości". W następnym roku „Piaskowa Góra" nominowana została do nagrody Nike; nie wątpię, że gdyby Henryk Bereza był wtedy członkiem jury tej nagrody, nie dopuściłby do tego. Niestety, po trzyletnim przewodniczeniu temu ciału w latach 2005–2007 rozstał się z Nike. A Joanna Bator w kolejnym roku, 2011, weszła do finału konkursu z „Chmurdalią", by w 2013 r., w myśl zasady „do trzech razy sztuka", zwyciężyć powieścią „Ciemno, prawie noc". Pizdowatą jak najbardziej. Podobnie puściły Berezie nerwy przy czytaniu powieści Arkadiusza Pacholskiego „Nikt z rodziny", śmierdzącej, orzekł, „literackim gównem".

To są oczywiście sytuacje krańcowe, w wielu innych krytyk ogranicza się do wypunktowania najpoważniejszych, jego zdaniem, mankamentów danego tytułu. Podobnie wpada w zachwyt, zazwyczaj umiarkowany, ale bywało i tak, że np. o zawierającym 30 wierszy tomie Adama Wagi (pseudonim Klemensa Górskiego) „Obol" pisał: „Przeczytałem całość, zanim zdjąłem buty, czyli od ręki, jest to absolutna niezwykłość. […] Przedziwne są Twoje utwory, dech zatyka przy ich czytaniu, chciałoby się być tym drugim człowiekiem z wiersza »Apostrofa«, który »między rozpaczą a trwogą« pomyśli, że jest przez Ciebie wymówiony".

Prawdziwe akty strzeliste zarezerwował Bereza dla kogoś innego, mianowicie dla autora „Poletka Pana P.". Gdybym zjadł z nim beczkę soli – dość zawile przekonywał człowiek, którego w swoim czasie z emfazą nazywano „papieżem polskiej krytyki" – „nie wiedziałbym tyle, a właściwie nie rozumiałbym z tego tyle, co, jak sądzę, rozumiem teraz. A rozumiem, jak wierzę w to, jak człowiek z tak olśniewającą inteligencją i wiedzą, z tak olbrzymim doświadczeniem intelektualnym jest istnym perpetuum mobile aktywności, działalności, praktycznych sukcesów życiowych i na domiar o tych niezwykłościach ciągle mówiącym, przekraczając w mówieniu te granice, które respektował wielki filozof"; „jest oczywiste, że Janusz Palikot [bo to o niego chodzi – przyp. K.M.] potrafiłby celująco pisać tak zwane naukowe teksty filozoficzne, bo robią to często niepiśmienni profesorowie filozofii lub filologii. Jemu zamarzyło się napisać coś jak dzisiejszy Platon lub Arystoteles".

I zaklinał autor „Wypisków ostatnich": „Nie należę do ludzi łatwowiernych i naiwnych, wysłuchuję nieraz zwierzeń i konfesji więcej niż niejeden prawowity spowiednik, potrafię odczytywać sztukę przemilczeń i deformacji w tym, co ludzie mówią. Janusz Palikot jest wiarygodny w tym nawet, co jest publicznie kwestionowane".

Tako rzecze Zaratustra. ©℗

★★★☆☆☆

HENRYK BEREZA „WYPISKI OSTATNIE 2004–2012, T. 1–2"
PIW, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 2c0af773a0

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Mesjasz z Marsa

Nawet gdyby Robert Heinlein nie napisał więcej ani słowa, to „Obcy w obcym kraju" i tak czyniłby go ważną postacią współczesnej kultury amerykańskiej – oceniał znakomity krytyk twórczości pisarza, H. Bruce Franklin. I porównywał znaczenie oraz wpływ tej powieści do tych, jakie były udziałem „Paragrafu 22" Josepha Hellera. Patrząc z drugiej strony, oto jedno z nielicznych dzieł fantastyki, które oderwało się zupełnie od gatunku, czytane jest i analizowane (a także przeżywane) również przez tych, którzy w życiu nie czytali (i nie przeczytają) żadnej książki science fiction.

Główny bohater książki Heinleina to człowiek wychowany przez obcych. Dorasta z dala od Ziemi, nieskażony naszymi sporami ideologicznymi i religijnymi, a w prezencie od zastępczych rodziców – rasy pradawnej i potężnej – dostaje niezwykłe umiejętności. Powróciwszy na Ziemię, staje się przedmiotem rywalizacji politycznej i nie tylko, ale szybko wyrasta ponad to. Otoczony w krótkim czasie rosnącą grupą wyznawców zamieni się w figurę religijnego kultu, mesjasza nowych czasów.

Heinlein okazał się prorokiem nowoczesności, przewidując nadejście ery rozmaitych sekt i kultów. Trafnie przepowiadał rosnącą nieufność wobec zinstytucjonalizowanych form starych religii. Jednocześnie to doświadczenie religijne (lub parareligijne – Valentine Michael Smith nie jest bogiem ani jego posłańcem, może więc być fałszywym prorokiem) okazuje się jedyną drogą do przeciwstawienia się opresyjnemu systemowi. Przyszłość powieści „Obcy w obcym kraju" to przyszłość dystopijna, tyrania powstała po trzeciej wojnie światowej; zresztą tyrania bardziej przypominająca oligarchiczny kapitalizm niż totalitarne państwa nazistowskie albo komunistyczne.

Wolna miłość, odrzucenie władzy, doświadczenie metafizyczne odrzucające „stare religie"... Jak taką książkę mógł napisać autor uznawany przez wielu za prawicowca i konserwatystę, a czasem oskarżany (niesłusznie) o militaryzm i faszyzm? Heinlein był przede wszystkim piewcą wolności, libertarianinem, a w jego powieści dwie skrajności (futurystyczny New Age oraz korwinowski liberalizm) mocno zbliżają się do siebie. Trudno też nie zauważyć, że w jej centrum tkwi – oprócz analizy wpływu religii na społeczeństwo – głęboki pesymizm. Próba uczynienia ludzi lepszymi i bardziej miłującymi bliźnich skazana jest na klęskę. Czy aby nie dlatego, że prawdziwe królestwo Boże jest nie z tego świata? ©℗

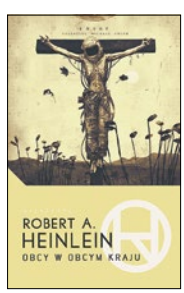

★★★★★☆
ROBERT A. HEINLEIN „OBCY W OBCYM KRAJU"
MAG 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa książka autora „Do Rzeczy". O kryzysie cywilizacji chrześcijańskiej, ofensywie nihilizmu i relatywizmu, a także o nadziei na to, że Polska okaże się nie tylko bastionem oporu, lecz także miejscem narodzin kontrofensywy.

GRZEGORZ KUCHARCZYK „KATEDRA I UNIWERSYTET" BIAŁY KRUK

Historia pierwszej kobiety, która uciekła z Auschwitz, ale nie jest to praca naukowa, lecz powieść inspirowana losami Janiny Nowak, więźniarki, po której ucieczce utworzono w obozie kompanię karną dla kobiet.

MARTA BYCZKOWSKA-NOWAK „KTÓRĘDY NA WOLNOŚĆ?" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Wznowienie zapomnianej klasyki. Opowieść o ostatnich dniach świata zniszczonego wojną atomową przeraża nie obrazami apokalipsy, lecz cichą rozpaczą zwykłych ludzi czekających na nieunikniony koniec.

NEVIL SHUTE „OSTATNI BRZEG" REBIS

Pierwszy tom trylogii o świecie, w którym wszystkie istoty słyszą myśli innych, złączone w zjawisku zwanym Szumem. Zekranizował ją Doug Liman (rola główna – Tom Holland). Od razu ukazuje się tom drugi – „Pytanie i odpowiedź".

poleca Piotr Gociek

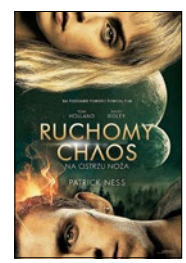

PATRICK NESS „NA OSTRZU NOŻA. RUCHOMY CHAOS" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „MUMINKI"

Wspaniała niespodzianka dla fanów serii o Dolinie Muminków i jej niezwykłych mieszkańcach. Pierwszy tom zbierający komiksy narysowane przez samą Tove Jansson, która nie tylko pisała i ilustrowała książki o tej fantastycznej ferajnie, lecz także stworzyła cykl obrazkowych opowieści z całkiem nowymi przygodami. Jansson narysowała 21 komiksów o Muminkach, z czego 11 trafiło do tomu, który właśnie ukazuje się w Polsce. W latach 1960–1975 serię kontynuował jej młodszy brat, Lars Jansson (całość zamknęła się w 73 opowieściach). ©℗

poleca Piotr Gociek

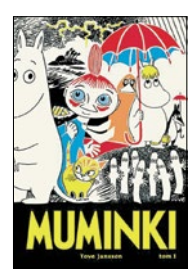

TOVE JANSSON „MUMINKI. TOM 1" EGMONT 2021

eprasa.pl 2c0af773a0

Muzycznie połączył ich Jaromír Nohavica. W 2013 r. Adam Jarząbek i Jarek Jurkiewicz zawiązali duet, który od pierwszych dni współpracy zaczął grać repertuar czeskiego barda. Po ponad roku prób i dziesiątkach koncertów panowie wydali pierwszą płytę „Lublin-Ostrava 0:30" z własnymi interpretacjami piosenek Nohavicy. W 2018 r. ukazał się drugi album z repertuarem Czecha – „Grzebienie".

W przypadku obu płyt Jarząbek i Jurkiewicz starali się sięgać po repertuar, który nie był dostępny w polskich wersjach (choć i takie utwory się siłą rzeczy pojawiły). Podkreślają, że nie kopiują też pomysłów wykonawczych, tworząc własne aranżacje. „Nasze podejście do aranżowania piosenek jest odmienne od grania typowego dla bardów lub wykonawców szeroko rozumianej poezji śpiewanej. Oprócz tekstu bardzo zależy nam na eksponowaniu samej warstwy muzycznej, stąd nasza ogromna dbałość o szczegóły warsztatowo-wykonawcze. Z twórczości Nohavicy chcemy wydobyć nie tylko słowa, ale również wspaniałość muzycznych »smaków«" – piszą.

FOT. JARZĄBEK-JURKIEWICZ.PL

Po Nohavicy Adam Jarząbek i Jarek Jurkiewicz sięgali też po repertuar Boba Dylana i Jacka Kaczmarskiego, aż wreszcie na trzecim, wydanym niedawno, albumie pokazali materiał autorski. „Rezonując" to 11 kompozycji, które Adam i Jarek w większości skomponowali sami, rozpoetyzowany akustyczny folk-rock, w którym duetowi wokalno-gitarowemu towarzyszą goście: wokaliści oraz instrumentaliści (na skrzypcach, trąbce, harmonijce, instrumentach perkusyjnych, kontrabasie). ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jazzowy włóczęga

Król polskiego wibrafonu zaprosił do studia ponad 20 muzyków oraz wokalistów i nagrał eklektyczną płytę, na której usłyszymy jazz, world music, a także metalowe gitary, popowe melodie i rapowanie.

Maseli jest nie tylko wybitnym wibrafonistą jazzowym, lecz także poszukując odpowiednich brzmień, gra na płycie również na marimbie, kalimbie i balafonie. Każdy z 11 stylistce i został nagrany w różnych składach. Płytę otwiera fusion-jazzowy utwór tytułowy „Drifter" („Włóczęga") oparty na rockowych riffach. Lider umiejętnie w nim tonuje gitarowe szaleństwa Marka Radulego. Na singlowym, przyjemnie bujającym „Tommorow Shine" prym wiodą skreczujący DJ Eprom i raper Andy Ninvalle. W kolejnych utworach Maseli z wdziękiem dryfuje po „amerykańskich" klimatach (R&B, funk, blues). Śpiewają w nich Kuba Badach i Beata Przybytek, na gitarze gra Grzegorz Skawiński, a na klawiszach Janusz Grzywacz.

Bardziej podoba mi się etniczna część płyty. W tych nagraniach Bernarda Maselego wspomagają zagraniczni muzycy, by wymienić saksofonistę Erica Marienthala, afrykańską wokalistkę/basistkę Manou Gallo, izraelskiego mistrza instrumentów dętych Amira Gwirtzmana. Na szczególną uwagę zasługuje „Desert Is Crying on Us", który w środkowej części eksploduje taneczną fiestą. Płytę zamyka kompozycja „Goodbye" poświęcona tragicznie zmarłemu perkusiście Grzegorzowi Grzybowi. ©℗

★★★★☆

BERNARD MASELI „DRIFTER" POLSKIE NAGRANIA

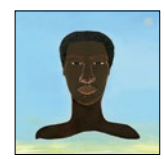

★★★★☆

MADE KUTI „FOR(E)WARD" PARTISAN

Wnuczek legendarnego Feli Anikulapo Kutiego jako pierwszy z nigeryjskiego klanu wychodzi poza ramy afrobeatu. Pozostając wiernym wolnościowym przesłaniom i gorącym rytmom, Made śmiało wkracza w świat nu-jazzu i alternatywnego rocka.

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY „CUBA MUSIC AND REVOLUTION 1975–85, VOL. 1" SOUL JAZZ

Renomowana brytyjska wytwórnia przybliża muzyczną Kubę lat 70. i 80. Jazz, funk, brazylijska tropicália, a nawet disco mieszają się z tradycyjną muzyką latynoską i salsą. Mimo izolacji artyści kubańscy śmiało wówczas eksperymentowali z nowymi formami muzycznymi. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Grzegorz Kondrasiuk

Z kamerą wśród zwierząt

„M.G." Pawła Demirskiego, reżyseria – Monika Strzępka, Teatr Polski im. A. Szyfmana – premiera: 19 lutego 2021 r. FOT. MAGDA HUECKEL

Jak bardzo trzeba stracić słuch społeczny i ostrość widzenia rzeczywistości, by pozwolić sobie na takie karkołomne konstrukcje jak Demirski i Strzępka?

Najodważniejszy polski teatr krytyczny – niepoprawny i bezczelny: taką markę wyrobił sobie w ciągu ostatnich 15 lat dramaturgiczno-reżyserski duet Paweł Demirski-Monika Strzępka. Jego najnowsze dzieło to spektakl „M.G.", który opowiada o przygodach postaci wzorowanej na Magdzie Gessler. Po wypadku służbowego auta pojawia się ona, niczym apostoł, w pewnym miasteczku. Jest adorowana przez miejscowych, udziela rad na temat dobrego życia, wygłasza protekcjonalne uwagi o wiecznie niezadowolonych i niedojrzałych mieszkańcach „tego kraju", no i miażdży swoimi tyradami chciwych prowincjonalnych restauratorów, ujmując się za ich wyzyskiwanymi pracownikami.

Jak bardzo trzeba utracić słuch społeczny i stracić ostrość widzenia rzeczywistości, by pozwolić sobie na takie karkołomne konstrukcje myślowe, i to w szczycie kryzysu pandemicznego, którego branża restauracyjna jest ewidentną ofiarą? Zdaje się, że czegoś tutaj Strzępka z Demirskim, artyści lewicowi i ponoć wnikliwie przyglądający się Polsce, nie zauważyli. Na przykład faktu, że telewizyjny hit restauracyjny jest częścią dużej, modelowej maszyny do zarabiania pieniędzy. Albo tego, że celebryckie pielgrzymki po krajowej gastronomii powiązane są z wciskaniem restauratorom własnej franczyzy, która, umówmy się, nie jest najszczęśliwszym ze społecznego punktu widzenia modelem zatrudniania pracowników. Nie mówiąc już o TVN-owskim absolutyzowaniu konsumpcji, proponowaniu podrobionego świata, w którym ciekawi, fajni, godni zainteresowania są jedynie ci, który mają pieniądze. Tak więc po „M.G." czekam na następne, trafiające w sedno sprawy, pouczające produkcje Strzępki i Demirskiego. Gwiazdy tej telewizji mogłyby w nim odbywać odyseje po przypadkowych, położonych w pewnym oddaleniu od siedziby TVN dyskotekach, fitness clubach, salonach piękności, no i domach prywatnych, pochylając się z troską nad problemami zwyczajnych ludzi...

Ale miało być o teatrze. Spektakl jest nierówny, z trzech i pół godziny dałoby się wykroić może ze trzy kwadranse trzymającego uwagę widowni teatru o czymkolwiek. Owszem, w centrum sceny śmieszy, tumani, przestrasza Eliza Borowska – ze swoją udaną, zabawną parodią oryginału. Owszem, lecą tu gag za gagiem, a sceny są gładko zmontowane i wysmakowane wizualnie za przyczyną scenografii Arka Ślesińskiego z filmowaną i pokazywaną na ruchomych ekranach makietą miasteczka. Owszem, spektakl jest brawurowo zagrany – a właściwie, jak to bywa u Strzępki – nieustannie przeszarżowywany przez trzymającą równy poziom ekipę Teatru Polskiego wraz z aktorami wędrującymi od lat z parą realizatorów (m.in. Barszczewska, Trzepiecińska, Nieradkiewicz, Ojrzyńska, Tomaszewski, Schejbal, Kwiatkowski). A jednak te sceny i gagi składają się w ciężkie kwadranse i półgodziny, przegadane, o wysokim stopniu odklejenia od rzeczywistości, z nadmiarem dygresji, tonące w powodzi lepszych i gorszych bon motów przeplatanych mikroanalizami społecznymi. Kiedy Demirski zaczyna filozofować, staje się nieczytelny i niezrozumiały, bo zatyka go chęć wypowiedzenia wszystkiego naraz, a ponosi nadmiar obrzydzenia i frustracji.

Twórcy mówią o swoim rozczarowaniu Polską po transformacji, chcą być głosem pokolenia 40-latków, któremu nie dano szansy na urządzenie Polski solidarnej i sprawiedliwej. Tym razem zabrakło głównego paliwa dla tego ostrego, bezczelnego pomysłu na teatr: wyraźnego przeciwnika i tematu. Wtedy ta maszynka działa i wzbudza reakcje widowni, pokazując rzeczywiste problemy, tak jak w kapitalnej, groteskowej scenie porannej wizyty M.G. w lokalu, z komicznymi staraniami kelnerki i kucharza, rytualną kompromitacją restauratorów i równie rytualną awanturką połączoną z tłuczeniem talerzy. Albo wtedy, gdy pada kilka słów prawdy o pustym życiu asystentki M.G., dziewczyny, która kiedyś wyjechała z miasteczka. Cóż z tego, kiedy przez większość czasu pokazuje się nam prowincję głównie ulepioną ze stereotypów. Ten karykaturalny świat zaludniają postaci dwuwymiarowe, równie pogłębione jak wizerunek medialny pani Gessler. Jest to miejsce, gdzie mieszkają skompromitowane lokalne elity – ksiądz, nauczyciel, burmistrz, no i zwykli obywatele – co do jednego mordercy, gwałciciele, ludzie psychicznie chorzy, chodzący na czworakach i szczekający – lub w najlepszym przypadku niedojrzali, odklejeni od rzeczywistości, snujący dziwne rojenia, marzący o wyjeździe, karierze, o byciu kimś innym. Finał pokazuje, że miasteczko (a więc „ten kraj") to miejsce upiorne, mokradło, w którym ukrywa się trupy, rządzone przez seryjnego mordercę.

W tej sytuacji, według Strzępki i Demirskiego, recepta może być tylko jedna: spalenie pobliskiego kościoła. Ulgę nam wszystkim, cierpiącym na wieczny niedosyt, niedowartościowanym, utytłanym i zwierzęcym Polakom (a zwłaszcza Polkom), przynieść może dopiero ogień. Finał – zapewne doklejony w ostatniej chwili, sprzeczny przecież z wymową całości spektaklu – ukazuje wielki, filmowy, efektowny obraz palącej się makiety kościoła, pokazany na tle dwóch posągowych postaci kobiecych. I w tym momencie, siedząc oniemiały podczas owacji na stojąco, ostatecznie pojmuję, że skończył się i w teatrze, i w Polsce czas metafor. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Profesor Andrzej Horban wielokrotnie przyczyniał się do zwiększenia chaosu informacyjnego, również wśród przedsiębiorców, rzucając w eter dziwne sugestie co do przyszłych regulacji FOT. WWW.GOV.PL

Covidowi celebryci

Łukasz Warzecha

Sprawiają wrażenie, jakby nie odchodzili od swoich laptopów, przez które łączą się z mediami, i trudno dociec, kiedy mają czas na cokolwiek innego. Covidowi celebryci mają swoje pięć minut

Wyskakują z telewizora, monitora komputera, lodówki, pralki. Straszą nowymi mutacjami wirusa, kolejną zapaścią służby zdrowia, masowymi zgonami. I wydaje się, że czerpią z tego perwersyjną przyjemność: im gorzej, tym lepiej. Covidowi celebryci. W większości lekarze, którzy mają teraz swoje pięć minut sławy. Michał Sutkowski, Krzysztof Simon, Włodzimierz Gut i inni, a na czele Andrzej Horban. Część z tych osób należy do rady medycznej przy premierze. Niemal wszystkie sprawiają wrażenie, jakby nie odchodziły od swoich laptopów, przez które łączą się z mediami, i trudno dociec, kiedy mają czas na cokolwiek innego.

Zacznijmy jednak od epizodu, którego bohaterka jest w tej grupie w drugim szeregu. Z panią prof. Agnieszką Mastalerz-Migas spotkałem się niedawno w programie „Debata Tygodnia" w Polsat News, prowadzonym przez Grzegorza Jankowskiego. Pani profesor jest również członkiem rady medycznej i tak się składa, że na początku lutego była współautorką stanowiska tejże rady atakującej stosowanie amantadyny w leczeniu COVID. Razem z panią profesor autorami stanowiska byli prof. Horban oraz prof. Radosław Owczuk. W stanowisku czytamy: „Nie zaleca się stosowania w leczeniu COVID-19 leków o potencjalnym działaniu przeciwwirusowym charakteryzujących się wątpliwą skutecznością lub o dowiedzionej nieskuteczności, w tym: amantadyny, chlorochiny, hydrochlorochiny, lopinawiru z rytonawirem, azytromycyny. […] Opublikowane wyniki badań nie uzasadniają stosowania amantadyny u chorych na COVID-19".

Stanowisko o bardzo jednoznacznym brzmieniu ukazało się w czasie, gdy pod kierunkiem prof. Konrada Rejdaka toczą się całkiem już zaawansowane badania nad zastosowaniem amantadyny, wśród lekarzy jest wielu jej zwolenników, nie bardzo więc wiadomo, skąd tak stanowcza dyskredytacja tego leku.

Tak się natomiast składa – o czym w programie wspomniałem – że kierowane przez panią profesor od 2020 r. Polskie Towarzystwo Medycyny Rodzinnej (wcześniej Agnieszka Mastalerz-Migas była tam wiceprezesem – od 2014 r.) w latach 2017 oraz 2019 zostało zasponsorowane przez firmę Pfizer (czytamy o tym w oficjalnym raporcie producenta szczepionki). W dodatku pani profesor współprowadziła w ubiegłym roku trzy webinary – dwa, w których partnerem była AstraZeneca, jeden, w którym partnerem był Pfizer. I tu pojawiają się dwa pytania. Pierwsze: Ilu jeszcze bardziej znanych covidowych celebrytów ma potencjalny konflikt interesów? Drugie: Czy takie osoby powinny zasiadać w radzie medycznej przy szefie rządu?

EKSPERCI Z JEDNEJ BAŃKI

Wszyscy medyczni celebryci mają tę cechę, że nie rozumieją, jak funkcjonuje jakakolwiek inna dziedzina poza medycyną – choć czasem i co do tego można mieć wątpliwości. Słuchając ich, można odnieść wrażenie, że funkcjonują w bańce, do której nie przedostała się wiedza ani o podstawowych zasadach rządzących gospodarką i finansami państwa, ani o nastrojach wśród ludzi, ani wreszcie nawet o najnowszych badaniach dotyczących samej pandemii. Oto szef rady medycznej prof. Andrzej Horban, w rozmowie z Robertem Mazurkiem w Radiu RMF FM,

eprasa.pl 2c0af773a0

usłyszał pytanie, co powiedzieć ludziom, którzy z różnych powodów, także finansowych, nie są już w stanie wytrzymać zamknięcia. „Rząd mówi: »Jeszcze poczekajmy«. Jak długo?" – zapytał prowadzący rozmowę. Na co prof. Horban beztrosko stwierdził: „Trzeba powiedzieć to samo: Jeszcze poczekajmy i się nie spieszmy". Zapytany o termin otwarcia siłowni, wyznał zaś: „Nie wiem, co się wszyscy do tych siłowni tak przyczepili. Jak ktoś uprawia sport, to może sobie go uprawiać na świeżym powietrzu, kupić sobie hantle za parę groszy i w domu poćwiczyć". I dalej – proszę się mocno trzymać: „To problem pieniędzy, które tracą siłownie, no ale jest jakiś program pomocowy, olbrzymi, bo wszyscy się na to w gruncie rzeczy składamy, ta tarcza nie bierze się znikąd, z tego, co wiem, tylko z naszych podatków". Rozumiem, że profesor medycyny może nie pojmować bardziej skomplikowanych mechanizmów ekonomicznych. Jednak tak prosty jak to, że aby do budżetu wpływały podatki, ludzie muszą pracować, chyba pojmować powinien? I tak za sukces należy uznać, że prof. Horban kojarzy jednak, że tarcze finansowane są z podatków.

Jednak nawet tam, gdzie chodzi o kwestie ściśle epidemiczne, pan profesor nie daje rady. Kilka tygodni temu, zapytany przez Beatę Lubecką w Radiu Zet, czy są jakieś badania potwierdzające, że zamknięte branże są rozsadnikami epidemii, pan profesor rozpoczął długą opowieść o tym, jak w ogóle ludzie zarażają się wirusami, przy czym na żadne badania, rzecz jasna, nie był w stanie się powołać. W tej samej rozmowie stwierdzał: „Gdyby to była choroba łagodna dla większości, to w ogóle nie byłoby tego kramu". Przypomnijmy zatem: śmiertelność jest na poziomie 2 proc., w tej chwili w skali globalnej ciężkich przypadków jest obecnie 0,4 proc.

Legendarna stała się już umiejętność prof. Horbana wypowiadania się w sposób budzący zaufanie i zrozumienie. Szeroko komentowane było sformułowanie, którego użył w tym samym wywiadzie u Roberta Mazurka: „Łaskawie puściliśmy dzieci do szkoły". Profesor Horban wielokrotnie przyczyniał się do zwiększenia chaosu informacyjnego, również wśród przedsiębiorców, rzucając w eter dziwne sugestie co do przyszłych regulacji. Ostatnia taka sytuacja dotyczyła rzekomego nakazu noszenia masek chirurgicznych, który ostatecznie nie został wprowadzony.

Inny covidowy celebryta to prof. Krzysztof Simon z Wrocławia. Tu trzeba przypomnieć, że jeszcze niespełna rok temu ten sam lekarz wypowiadał się względnie rozsądnie: „Zachowajmy normalność i spokój, koronawirusy są wszędzie obecne, na całym świecie. Są odpowiedzialne za chorobę przeziębieniową". W lipcu 2020 r. Krzysztof Simon w wywiadzie dla kanału Menedżer Zdrowia mówił, że główną motywacją wyścigu firm farmaceutycznych po szczepionkę są pieniądze, i wyrażał wątpliwość, czy uda się ją przygotować w ciągu pół roku.

Im jednak dłużej trwała epidemia, tym wypowiedzi wrocławskiego lekarza stawały się radykalniejsze. Pod koniec stycznia mówił na przykład: „W restauracjach dochodzi do największej liczby zakażeń, dlatego są zamknięte. […] Odpowiedzialność za tę sytuację ponoszą poniekąd ludzie, którzy nie przestrzegali dystansu, noszenia masek. Nieodpowiedzialne zachowanie naszego społeczeństwa jest dużym problemem". Problem w tym, że żadne badania nie potwierdzają „największej liczby zakażeń" w restauracjach, a z kolei sytuację w nich – gdzie z natury rzeczy przy stoliku siedzi się bez maski – trudno w jakikolwiek sposób powiązać z noszeniem masek w ogóle. Niestety, dziennikarze na ogół covidowych celebrytów nie dociskają.

Mało znany epizod to dostępna publicznie w sieci narada prezydenta Andrzeja Dudy w grudniu ubiegłego roku z udziałem właśnie prof. Simona, prof. Horbana i byłego głównego inspektora sanitarnego Jarosława Pinkasa. Profesor Simon był szczególnie pobudzony, choć jego wypowiedzi były zarazem bardzo niezborne. Wywodził, że gdyby nie lockdown, w Polsce umarłoby 450 tys. ludzi, ale zarazem stwierdzał, że mnóstwo osób nie będzie się chciało szczepić, bo przechodziliby COVID łagodnie. I dodawał: „Śmierć się zdarza w każdej chorobie. Przeziębienie też może być śmiertelne". Trzeba też odnotować wrogość prof. Simona wobec leczenia amantadyną i jego twierdzenie, że jej stosowanie może prowadzić do… kolejnych mutacji wirusa. Na czym prof. Simon tę opinię oparł – nie wiadomo.

Ciekawe są losy innego medycznego covidocelebryty, dr Pawła Grzesiowskiego. W październiku ubiegłego roku podlegające Ministerstwu Zdrowia Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego nie przedłużyło immunologowi umowy – w mediach pojawiły się spekulacje, że to odwet za zbyt ofensywną krytykę rządowej strategii epidemicznej. Po utracie stanowiska dr Grzesiowski chyba przestał się hamować. Na początku grudnia prognozował, że zaszczepienie 30 mln Polaków zajmie co najmniej rok, a więc dużo dłużej niż optymistyczne przewidywania rządu. Ostatnio zaś w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" stwierdził, że „decyzje medyczne czy doniesienia naukowe są wręcz ignorowane albo do ostatniej chwili nie są przyjmowane do świadomości. Decyzje są wydawane na zasadzie argumentów głównie PR-owo-politycznych, a nie medycznych". Przekłuwał też balon zachwytu nad skutkami akcji szczepień w Izraelu, wypowiadając się na ten temat z rzadką u medycznych celebrytów dbałością o detale. Co zaś najciekawsze, stwierdził: „Ja bym absolutnie nie szukał, co zresztą potwierdzają te dane, przyczyn zwiększenia liczby zachorowań w naszej mobilności turystycznej, czyli w wycieczkach nad morze czy w góry. Absolutnie nie widzimy żadnych wzrostów w zakresie tych powiatów, które są typowo kurortami turystycznymi".

SPRZEDAWCY PANIKI

Problem z covidowymi celebrytami jest dwojaki. Po pierwsze – leży po stronie mediów, które promują ten sam zamknięty krąg „autorytetów" i to mimo coraz bardziej kompromitującego tonu ich wypowiedzi (dr Michał Sutkowski, prezes Warszawskich Lekarzy Rodzinnych, lamentujący dwa dni po „wydarzeniach" na Krupówkach, że „ci ludzie umierają mu na rękach"), przy czym większość dziennikarzy zamiast obnażać ich gołosłowie, wytykać bezlitośnie niekonsekwencję i demaskować konflikty interesów, spija z ich ust każdą głupotę. Po drugie – niezrozumiałe jest, dlaczego do rady medycznej przy szefie rządu wybrano osoby, które systematycznie sabotują jakąkolwiek politykę informacyjną władzy. Profesor Horban, szef rady, od każdego w miarę ogarniętego PR-owca już dawno dostałby zakaz występów w mediach jako warunek pozostania w tym gremium.

Najlepiej jednak, jak wiadomo, sprzedają się panika i emocje. Covidowi celebryci medyczni tę prawdę szybko uchwycili i zgodnie z nią działają. Jednym chodzi o splendor, który przecież potem przekłada się na bardziej konkretne korzyści, innym o wpływy w środowisku, jeszcze inni odkryli w sobie potrzebę błyszczenia przed kamerą. Skutek zaś jest taki, że ludzie mają na epidemię – jak to się kolokwialnie określa – coraz bardziej wywalone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

polemika DO RZECZY

Polemika z tekstem Rafała A. Ziemkiewicza „Przemysł pogardy" opublikowanym w „Do Rzeczy" 22 lutego 2021 r.

Film to kultura, a nie propaganda

Szanowny Panie Redaktorze,

swój felieton poświęcony polskiej kinematografii zaczął Pan cytatem z filmu „Miś" – „kino to najważniejsza ze sztuk". Autorem tej sentencji jest Włodzimierz Lenin. W zdaniu tym nie chodzi, oczywiście, o docenienie twórców kina, ich wrażliwości i talentów, ale o stawiany przez komunistów postulat, zgodnie z którym kino ma służyć propagandzie. I tu rysuje się kluczowa różnica między nami. Dla mnie filmy to polska kultura, także inteligentna edukacja historyczna, dla Pana – pole propagandy.

Polski Instytut Sztuki Filmowej jest miejscem dostępnym dla twórców bez względu na światopogląd, przynależność do grup środowiskowych czy wrażliwość twórczą. Bo tak wyobrażam sobie polską kulturę. Pisze Pan o filmach, których scenariuszy Pan nie poznał, nie wykonał Pan żadnej pracy dziennikarskiej, np. poprzez zwrócenie się do Instytutu z zapytaniem o przytoczone produkcje. Wiedza mogłaby bowiem zaszkodzić lansowanym przez Pana tezom. Tak się bowiem składa, że np. film Marcina Koszałki powstaje we współpracy z krakowskim oddziałem IPN. A scenariusz jest ulepszany cały czas, bo taki jest standard pracy nad filmem na całym świecie.

Zatrzymam się na chwilę przy filmie Koszałki. Pewnie nie wie Pan również tego, że ważni przedstawiciele rodów góralskich widzą szansę, aby poprzez ten film obiektywnie pokazać prawdę o wydarzeniach z czasu drugiej wojny światowej. Wydarzeniach, które są przypisywane polskim góralom en bloc, a w rzeczywistości dotyczą garstki tej społeczności. Taka wiedza i takie spojrzenie na polską historię może być interesujące. I polski interes wcale na tym nie ucierpi. Przeciwnie. Natomiast głupstwa, które Pan wypisuje, że w filmie tym „wizja okupacji będzie cukierkowa", a film służy „ociepleniu wizerunku kolaborantów", naprawdę trudno komentować. W przeciwieństwie do Pana czytałem scenariusz: przedstawione tam mordy Niemców na góralskich rodzinach, na dziecku czy sceny z Auschwitz są zaprzeczeniem Pana nieodpowiedzialnych stwierdzeń. To są zbyt poważne sprawy, żeby pisać o tym tak lekko, bez żadnej rzetelnej wiedzy, w szanującym się tygodniku.

Ogromne emocje Pana Redaktora wzbudził film na podstawie książki „Lubiewo". Zauważa Pan, że „jego bohaterami nie są modnie odstawieni i rozrywkowi chłoptasie z dzisiejszych ruchów LGBT". Wie Pan więc, że książka Witkowskiego jest pozbawionym manifestacji politycznej opisem wydarzeń, które miały miejsce we Wrocławiu lat 70. i 80. Wydarzyły się, nawet jak zamknie Pan mocno oczy. Film mówi po prostu coś ciekawego – choć szokującego – o obyczajowości lat PRL-u – zwłaszcza w kontekście współczesnym. Temat na film? A dlaczego nie? Warto może wiedzieć coś autentycznego o historii tego środowiska.

Wspomniał Pan również o wielkich koprodukcjach. Jak najbardziej rozumiem Pana romantyczne tęsknoty do hollywoodzkiego rozmachu, nawet tego z lat 90. Ale wiemy wszyscy, że skala różnic budżetowych ma duże znaczenie dla ostatecznego odbioru filmu przez widza. A jeśli już jesteśmy w Hollywood, to pragnę przypomnieć, że przez prawie dekadę rządów PO-PSL polscy filmowcy, a szerzej polski przemysł audiowizualny nie doczekał się systemu wsparcia finansowego. Z tego powodu Polska przez lata była pomijana jako potencjalny partner produkcji wysokobudżetowych oraz, co gorsza, nie mogła w pełni uczestniczyć w wymianie kulturowej z Zachodem, prezentując polską narrację historyczną. Od roku 1989 polskie państwo nie stawiało sobie też jakichkolwiek celów związanych z promocją polskiego spojrzenia na historię. Sytuacji tej nie da się odmienić z roku na rok, ale tego zapewne Pan nie chce zauważyć. Lepiej opowiadać banialuki na podstawie listy kilku tytułów projektów filmowych. Albo szokować czytelnika wyssaną z palca tezą o 60 mln zł „wyciągniętych" z PFN, MKiDN i PISF na film o Pileckim. Kto „życzliwy" wsadził Pana na taką minę? Budżet tego filmu – pierwszego fabularnego polskiego filmu o rotmistrzu Witoldzie Pileckim – którego produkcja dobiega

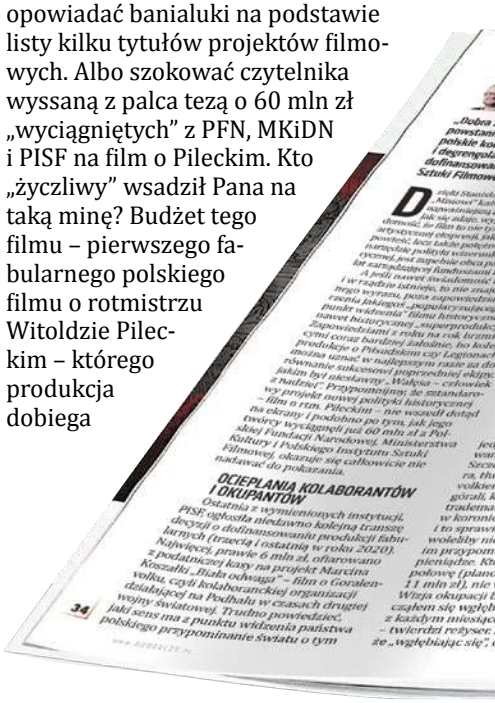
OCIEPLANIA KOLABORANTÓW I OKUPANTÓW

końca, zamknie się najprawdopodobniej w kwocie dwudziestu kilku milionów złotych. Czemu mają służyć te Pana fantazje?

Jedną z przytoczonych wyżej przeszkód na drodze do integracji z zachodnią kinematografią rząd Zjednoczonej Prawicy pokonał w roku 2019, wprowadzając do polskiego systemu wsparcia przemysłu filmowego ustawę o finansowym wspieraniu produkcji audiowizualnej (tzw. zachętach). Ponadto, w ciągu ostatnich trzech lat, wysoka jakość polskich filmów, wsparta pracą Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, związaną z promocją rodzimych filmów w Stanach Zjednoczonych, zaowocowała trzema nominacjami do nagrody amerykańskiej akademii filmowej, popularnych Oscarów, oraz szerokim udziałem polskich filmów na festiwalach amerykańskich i europejskich. Działania te są kluczowymi elementami promocji polskiej

eprasa.pl 2c0af773a0

kultury filmowej, a tym samym również pomagają w osiąganiu celów dotyczących polityki historycznej. O tym akurat Pan nie wspomina, ale rozumiem, że dla dobra tezy pewne fakty lepiej jest przemilczeć. Pieniądze to nie wszystko, Panie Redaktorze. I na szczęście to nie one decydują, jakie filmy mają zainteresowanie Świata. Przypomnę, że roczny budżet przeznaczony na wszystkie ustawowe zadania PISF to ok. 40 mln dol. To mniej więcej 20 proc. budżetu

KULTURA

Przemysł pogardy

NARODOWE NAKRĘCANIE SŁABYCH FILMÓW

FOT. JAN

jednej amerykańskiej superprodukcji i prawie nic przy miliardowym budżecie Gazprom Media. Notabene, środki PISF nie pochodzą z pieniędzy podatników, jak Pan, z charakterystyczną dla siebie lekkością w myleniu faktów, stwierdza. To – przede wszystkim – środki z opłaty dokonywanej przez przedsiębiorców z branży audiowizualnej.

Muszę przyznać, że niezręcznie się czuję, prostując wszystkie nieścisłości i głupstwa w Pana tekście, ale nie pozostawia mi Pan wyboru – nowy film Wojciecha Smarzowskiego nie otrzymał wsparcia z programów operacyjnych PISF. Zarówno eksperci, jak i ja byliśmy zgodni, że jego treść jest pełna historycznych przekłamań i stanowi zbiór nieprawdziwych stereotypów, stymulujących wzajemną niechęć między Polakami i Żydami. „Wesele 2" otrzymało środki jedynie z automatycznego, ekonomicznego systemu zachęt. Wsparcie takie przysługuje wszystkim inwestorom finansowym wydającym pieniądze na produkcję audiowizualną w Polsce. I taki jest standard – czy nam się to podoba, czy nie – funkcjonowania tego rodzaju rozwiązań na świecie.

Panie Redaktorze, w PISF powstają filmy dokumentalne Roberta Kaczmarka, Pawła Woldana, Mai Dłużewskiej. Powstają filmy o Kościuszce, Przemyku, Piłsudskim, Pileckim, księdzu Kotlarzu, Irenie Sendlerowej, Ignacym Łukasiewiczu, ks. Ziei, Szmulu Zygielbojmie, bokserze Pietrzykowskim z Auschwitz, „Orlętach grodzieńskich", flotylli pińskiej, film według prozy B. Wildsteina itd., itp. Dofinansowywane są festiwale kultury chrześcijańskiej i narodowej. Ale PISF jest też miejscem dla Pawła Pawlikowskiego, Jana Komasy czy Małgorzaty Szumowskiej, której brak sukcesu w zmaganiach o nominację oscarową wzbudził w Panu tyle satysfakcji. Zdaję sobie sprawę, że niełatwo jest przyjąć postulat pluralizmu, jeśli w filmie szuka się wyłącznie – i to w sposób sztampowy – funkcji propagandowych.

A to, że niektóre z polskich produkcji filmowych ostatnich lat ocenia Pan krytycznie (jak filmy o Legionach czy Piłsudskim), cóż – o gustach się nie dyskutuje, ale naprawdę PISF czy MKiDN mają bardzo ograniczone możliwości wpływu na to, co już głównie od talentu i umiejętności naszych twórców zależy. I nikt nie wymyślił lepszego sposobu oceny projektów filmowych niż ten, który obecnie funkcjonuje w Polsce. On nie podoba się wielu w Polsce. Odrzuca beztalencia, nakazuje dopracowywać scenariusze itd., itp. Ale tylko w ograniczonym wymaganiami mecenatu państwa stopniu może ingerować w tematykę filmów, jeżeli są przygotowane na odpowiednim poziomie.

Na koniec jeszcze jedno spostrzeżenie dotyczące Pana felietonu. Wspomina Pan, że stał się ekspertem od kinematografii za czasów dyrektor Magdaleny Sroki. Gratuluję. Przypomnę więc, że sprawował Pan funkcję eksperta dokładnie w czasie, gdy PISF dofinansował film „Kler" – o czym Pan oskarżycielsko wspomina. Ale znowu pudło. Taką decyzję podjęła Pani Sroka, dyrektor z nadania PO-PSL, ta sama, która dojrzała w Panu talent ekspercki. Z tego punktu widzenia jeszcze lepiej rozumiem Pana złość na obecne czasy. Tymczasem zarówno „Kler", jak i „Twarz" Szumowskiej (decyzja o finansowaniu z 2015 r.!) skleja Pan w swoim felietonie z obecną dyrekcją PISF i „dobrą zmianą". To kłamstwo. Mam nadzieję, że wynikające jedynie z głębokiej niewiedzy. Tak jak cały Pana felieton.

Radosław Śmigulski,
dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej

ODPOWIEDŹ RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA NA NASTĘPNEJ STRONIE

eprasa.pl 2c0af773a0

polemika DO RZECZY

Rafał A. Ziemkiewicz

Nagrody to nie wszystko

Odpowiedź na list dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w związku z artykułem „Przemysł pogardy"

Szanowny Panie Dyrektorze,

dziękuję, że zechciał Pan podjąć polemikę osobiście, ryzykując występowanie w niewygodnej z punktu widzenia czytelników roli sędziego we własnej sprawie. Zmuszony jestem jednak zadecydowanie odrzucić przedstawioną przez Pana argumentację.

Nie jest Pan prywatnym sponsorem, łożącym na utrzymanie artystów z własnej kieszeni, zarządza Pan pieniędzmi Polaków i dlatego właśnie działania prowadzonej przez Pana instytucji podlegają krytyce, takiej, jaką stanowił mój artykuł – odnoszącej się nie do wymykających się jednoznacznym ocenom kwestii artystycznych, ale do celowości wydatków z punktu widzenia interesu wspólnego. Wyjaśnienie, że PISF rozdysponowuje środki pochodzące nie z podatków, tylko z „opłaty ponoszonej przez przedsiębiorców branży audiowizualnej", mieści się w PR-owskiej stylistyce lubianej przez każdą władzę, również obecną, ale nie mieści się w poważnej rozmowie – podatek nazwany „opłatą" nie przestaje być podatkiem. Jeśli jednak leżą Panu na sercu takie szczegóły, to istnieje orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego definiujące, co to są „pieniądze publiczne", możemy więc stosować takie określenie.

I właśnie w kontekście wydatkowania pieniędzy publicznych piszę o filmie na temat „Goralenvolku". Scenariusz (szermując argumentem, że go nie znam, gra Pan nieczysto – wie Pan doskonale, że ze względów formalnoprawnych nawet jeśli znam, to nie wolno mi się do tego przyznać) nie ma tu nic do rzeczy. Nie trzeba znać szczegółów, nie trzeba też być Leninem czy tępym propagandystą – jak mi to Pan raczył insynuować – by podważać sens finansowania z pieniędzy publicznych dzieła nagłaśniającego jedyny i odosobniony w czasie drugiej wojny światowej przypadek zorganizowanej kolaboracji na ziemiach polskich, w czasie, gdy państwa dziś oczerniające nas na wszelkie sposoby (dziwnym trafem te same, które w tym czasie dostarczyły Hitlerowi wielotysięcznych ochotniczych kontyngentów Waffen-SS i logistycznej pomocy w Holokauście, uznających niemiecką zwierzchność organów administracyjnych i porządkowych) czynią dokładnie odwrotnie: nagłaśniają odosobnione i rzadkie przypadki stawionego nazizmowi oporu – ba, sami Niemcy intensywnie promują przez filmy takie cymelia swej historii jak antyhitlerowska konspiracja kilkunastu nastolatków. Można wyobrazić sobie wpływ na kształtowanie opinii o Polsce spotkania tych filmów z naszą produkcją na jakimś festiwalu.

Oczywiście, z przykrością muszę się zgodzić z pańską sugestią, że tego rodzaju dzieła mogą przynieść wymierne sukcesy Pańskiej sprawozdawczości w postaci nominacji i nagród. Ale wiemy dobrze, że nie ranga artystyczna będzie o tym decydować. Na świecie jest duży popyt, by stawiane Polsce oskarżenia, których nie sposób udowodnić na gruncie historii, „udowadniać" dziełami popkultury. Dowodem nagroda festiwalu w Berlinie dla – przynajmniej co do tego się zgadzamy – filmu „Twarz", wprawdzie gniota, ale przedstawiającego Polskę jako ciemną, niepiśmienną dzicz, rządzoną przez tępych proboszczów. Nie chcę Panu podrzucać takich pomysłów, ale pójście o parę kroków dalej i sfinansowanie produkcji, na przykład, o tym, jak Polacy celowo rozpętują wojnę, by w ten sposób podstępnie wciągnąć Hitlera do swego kraju i obciążyć potem Niemców odpowiedzialnością za swe antysemickie zbrodnie, to murowana recepta na Oscara. Ale proszę tego nie robić, nawet jeśli film miałby zawierać parę porywających scen i wzruszać indywidualnymi losami bohaterów.

Nad argumentem „A dlaczego nie?", którym wyjaśnia Pan przeznaczenie 6 mln zł na „ciotowski dekameron" Witkowskiego, nie będę się dłużej zatrzymywał. Myślę, że czytelnicy zgodzą się ze mną, iż w przypadku polityki kulturalnej państwa, której jest Pan wykonawcą, zasadne jest pytanie odwrotne: „Dlaczego tak?". Myślę, że we współczesnym świecie organizacje zajmujące się życzliwie homoseksualizmem i jego subkulturami są wystarczająco dofinansowane, żebyśmy nie musieli się dokładać do takich projektów jako podatnicy czy fundatorzy mimo swej woli rozmaitych „automatycznych zachęt" i funduszów zbudowanych z „opłat". Przy okazji, sprostowanie dotyczące paszkwilu Smarzowskiego przyjmuję do wiadomości, ale nie wiem zupełnie, dlaczego temu, co napisałem, odbierać ma słuszność fakt, że opiniowałem filmy dokumentalne za czasów, gdy PISF pod poprzednim kierownictwem dofinansowywał „Kler" (co, zgadzam się, także było skandalem). Pozwalam sobie też odnotować bez komentarza osiągnięcia, którymi się Pan chwali. Osobiście uwielbiam argumentację „po co pisać, że dziura w moście, piszcie, ile dobrego asfaltu w innych miejscach", ale niech Czytelnik osądzi to sam.

Osobną sprawą jest kwestia kosztów projektu o Witoldzie Pileckim. Rozumiem Pańską ciekawość, od kogo zaczerpnąłem informacje, ale oczywiście tego nie ujawnię. Zwracam tylko uwagę czytelnika, że ja piszę, ile w ogóle ten projekt pochłonął już pieniędzy, a Pan – w jakiej kwocie ostatecznie zamknął się budżet obecnie zapowiadanego filmu.

Pozostaję z szacunkiem, ale nie przekonany.

eprasa.pl 2c0af773a0

Niedziela
w Telewizji Republika

REPUBLIKA

W Punkt
9:06
zaprasza Katarzyna Gójska

Studio prasowe
10:06
zaprasza Adrian Stankowski

Salonik polityczny
11:00
zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Polityczna kawa
12:00
zaprasza Tomasz Sakiewicz

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 2c0af773a0

Cicha pomoc

Jerzy Dąbrowski

Grupa Ładosia próbowała uratować od 8 do 10 tys. Żydów z całej Europy. Dla porównania: dzięki Oskarowi Schindlerowi przeżyło 1,2 tys. Żydów. O poświęceniu polskich dyplomatów w Szwajcarii do niedawna nikt nie miał pojęcia

O tym, co robili Aleksander Ładoś i jego bliscy współpracownicy z polskiej ambasady w Bernie w czasie drugiej wojny światowej, dowiedziano się dopiero w 2017 r. dzięki artykułom Zbigniewa Parafianowicza i Michała Potockiego opublikowanym w „Dzienniku Gazecie Prawnej". Dziennikarze dotarli do materiałów ze śledztwa, które było prowadzone przez szwajcarską policję przeciwko Ładosiowi i jego tzw. grupie berneńskiej, zwanej też grupą Ładosia. Polscy dyplomaci wystawiali fałszywe paszporty, które kupowali od pracowników latynoamerykańskich ambasad. Narażali się w ten sposób na utratę immunitetu, co w następstwie poskutkowałoby zamknięciem polskiej placówki dyplomatycznej i usunięciem jej pracowników z terytorium Szwajcarii. To mogło też doprowadzić do ich aresztowania przez Niemców.

W 2019 r. pod redakcją polskiego ambasadora w Szwajcarii dr. Jakuba Kumocha ukazała się „Lista Ładosia", w której bardzo precyzyjnie podano liczbę kupionych „na lewo" paszportów Paragwaju, Haiti, Hondurasu i Peru. Państwa te w czasie wojny były neutralne, dlatego też z tymi paszportami można było uratować Żydów przebywających w gettach. Polscy dyplomaci z Berna pod wodzą Aleksandra Ładosia: Stefan J. Ryniewicz, Konstanty Rokicki i Juliusz Kühl wpisywali nazwiska przebywających w gettach Żydów, którzy dzięki nim unikali wywiezienia do obozów koncentracyjnych. Byli za to kierowani do miejsc internowania w Niemczech lub w Vittel w okupowanej Francji, gdzie w większości doczekali końca wojny.

Według autorów publikacji grupa Ładosia próbowała uratować od 8 do 10 tys. Żydów z całej Europy. Dla porównania: Oskar Schindler, dzięki któremu przeżyło 1,2 tys. Żydów, jak się dziś okazuje, nie był wcale nieskazitelną postacią. Jego pomoc podyktowana była chęcią pomnożenia zysków oraz zwykłą kalkulacją przed końcem wojny. Dzięki światowemu bestsellerowi Thomasa Keneallego oraz filmowi Stevena Spielberga „Lista Schindlera" ten współpracownik Abwehry i członek NSDAP został okrzyknięty bohaterem i najbardziej znanym obrońcą Żydów na świecie. O poświęceniu polskich dyplomatów w Szwajcarii do niedawna nikt nie miał pojęcia. Nawet instytut Yad Vashem w uznaniu zasług grupy berneńskiej przyznał tytuł Sprawiedliwy

Aleksander Ładoś FOT. NAC

eprasa.pl 2c0af773a0

wśród Narodów Świata tylko konsulowi Konstantemu Rokickiemu i pomylił rangę polskich dyplomatów. Polski konsul honorowy w Zurychu Markus Blechner był też zdania, że takie tytuły należą się pozostałym członkom grupy Ładosia na czele z jej szefem. Dlatego też w 2017 r. wraz z 30 ocalonymi przez grupę berneńską zdecydował się złożyć wniosek o przyznanie tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata dla wszystkich jej członków.

REWOLUCYJNA MŁODOŚĆ

Doktor Sebastian Ładoś urodził się kilkanaście lat po śmierci swojego stryjecznego dziadka. Zafascynowany postacią wielkiego przodka – dzięki pozostawionym przez niego pamiętnikom – napisał biografię krewnego zatytułowaną „Zanim Bóg odwróci wzrok". W swojej książce dr Sebastian Ładoś dzięki nigdzie niepublikowanym notatkom stryjecznego dziadka przedstawił wiele nieznanych faktów z jego życia, jak również historii Polski od czasów odzyskania przez nią niepodległości.

Urodzony w polskim, ale wielokulturowym Lwowie Aleksander, jak pisze Sebastian Ładoś: „Był wizjonerem i człowiekiem, który wyprzedził swoją epokę". Dzięki dobrej sytuacji materialnej ojca, Jana Ładosia, który pracował jako starszy radca w Dyrekcji Poczt we Lwowie, Aleksander ukończył tamtejsze IV Gimnazjum Klasyczne. Władał biegle czterema językami. Już w gimnazjum, jak wszyscy jego koledzy, marzył o niepodległości Polski. Tu związał się z tajną organizacją narodowców Przyszłość, której program był ściśle związany z koncepcją Romana Dmowskiego i kładł nacisk na takie wartości, jak rodzina, tradycja i wolność gospodarcza.

Będąc już na studiach historycznych, które rozpoczął w 1910 r. na Uniwersytecie Lwowskim, objął przewodnictwo Kuźnicy, konspiracyjnego stowarzyszenia młodzieży akademickiej. Młody niepodległościowiec pisał artykuły. Często za udział w strajkach i wiecach był zatrzymywany przez austriacką policję. Na naukę zabrakło mu czasu.

W przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej Aleksander zastanawiał się, po której stronie stanąć w coraz mocniejszym konflikcie trzech zaborców. Walka w legionach u boku Austrii bez żadnych gwarancji niepodległościowych była dla niego bardzo niepewna. Uważał, że Polacy powinni poprzeć państwa zachodnie uwikłane w konflikt z Niemcami i Austrią. Alianci byli jednak w tzw. trójporozumieniu z Rosją, odwiecznym wrogiem Polaków.

W przytoczonym w biografii Ładosia fragmencie pamiętników czytamy: „Nie pochodząc z zaboru rosyjskiego, nie miałem nigdy żywiołowej nienawiści do Rosji, której nie znałem i której brutalnych metod postępowania nie odczuwałem na własnej skórze...

Nawet najgorsze prześladowania rosyjskie nie budziły we mnie tych obaw, co systematyczne, co prawda ubrane w formy prawne, ale nieubłagane metody niemieckie. Właśnie miałem w pamięci niedawne wypadki – Wrześnię, wóz Drzymały, wywłaszczenia. Podsycały one znakomicie słowiańską, podświadomą nienawiść do Niemców".

Polscy dyplomaci wystawiali fałszywe paszporty, które kupowali od pracowników latynoamerykańskich ambasad

W dalszej formacji jego politycznego kręgosłupa Ładosiowi pomogło środowisko chłopskie. Zauroczony „Weselem" Wyspiańskiego i trafną oceną autora sztuki, że wolność wymaga porozumienia społecznego głęboko podzielonego społeczeństwa, zaprzyjaźnił się z młodymi ludźmi ze wsi skupionymi w Polskim Stronnictwie Ludowym. Dzięki nim poznał przyszłego premiera Polski Wincentego Witosa. Ładosiowi zaimponowały inteligencja i trzeźwe chłopskie spojrzenie „wójta z Wierzchosławic" na sytuację polityczną pod zaborami. Witos namówił go do pomocy w tworzeniu Legionu Wschodniego przez Naczelny Komitet Narodowy. Ładoś został sekretarzem wydziału wojskowego. Tym departamentem w NKN kierował wtedy Władysław Sikorski. Poznał też profesora Stanisława Grabskiego, Stanisława Kota i kapitana Józefa Hallera, który miał objąć dowództwo Legionu Wschodniego. Tak to pierwsze kontakty Aleksandra zdecydowały o jego dalszej drodze życiowej.

W sierpniu 1914 r. opuszczał Lwów, żegnając matkę i rodzeństwo. Na założenie własnej rodziny nigdy nie starczyło czasu, a może nigdy nie trafił na kobietę swego życia. Bardzo troszczył się za to o swoją matkę i siostrę.

LUBIANY DYPLOMATA

Czas pierwszej wojny światowej Ładoś spędził w Rapperswilu, gdzie włączył się w prace działającej tam delegatury NKN. Dzięki swojemu centralnemu położeniu i neutralności w Szwajcarii działała większość polskich organizacji emigracyjnych, którym przewodzili: Henryk Sienkiewicz, Tadeusz Romer i Józef Lipski. Tu Ładoś współredagował „Przegląd Polski" i wydał swoją pierwszą książkę pt. „Legiony".

Pełen entuzjazmu i nadziei włączył się po wojnie w działalność na rzecz odrodzonej Polski. Jako sekretarz generalny polskiej delegacji pokojowej uczestniczył w bardzo trudnych rokowaniach traktatu ryskiego z Sowietami.

Dzięki kilku miesiącom negocjacji z Adolfem Abramowiczem Joffem, przewodniczącym sowieckiej delegacji, poznał dobrze meandry polityki wschodniego przeciwnika. Dwadzieścia lat później żałował, że nie mógł być przy ratyfikowaniu paktu Sikorski-Majski, który niczego Polakom nie gwarantował. W swoich pamiętnikach pisał, że z Rosją trzeba wynegocjować konkret, a nie zasady, które można dowolnie interpretować. Ładoś wiedział, że gen. Sikorski był pod ogromną presją ratowania polskich obywateli przebywających w gułagach, ale wierzył również, że mógłby wynegocjować lepsze warunki, a co za tym idzie – granice i przyszły powojenny rząd.

Doktor Sebastian Ładoś, przytaczając fragment pamiętnika swojego krewnego na temat traktatu ryskiego, ukazuje jeszcze jeden nieznany szerzej szczegół. Rosjanie w zamian za odszkodowania i reperacje wojenne zaproponowali naszej delegacji złoto i kosztowności o wartości 300–400 mln. Precjoza te, jak się domyślali nasi dyplomaci, były zrabowane rodzinie carskiej i rodzimej arystokracji. Polacy nie zaakceptowali kradzionych kosztowności, dlatego też nic innego w zamian nie dostali.

W latach 20. Ładoś pracował jako ambasador na Łotwie i konsul w Monachium.

Szczególnie w Bawarii dało się wyczuć niechęć do Polaków. Jednak świeżo upieczony konsul zyskał wiele sympatii w kręgach politycznych z powodu... dobrej znajomości gry w brydża. Nawiązał też świetny kontakt z prezydentem

eprasa.pl 2c0af773a0

Republiki Bawarii, dr. Heinrichem Heldem. Zwracał uwagę na to, że oba nasze kraje łączyła głęboka wiara katolicka, która powinna być płaszczyzną do ich zbliżenia. Ładoś zorganizował w Monachium wizytę prymasa Polski Augusta Hlonda. Tak o niej pisał w swoich pamiętnikach: „Po obiedzie odbył się wielki raut uświetniony występami najlepszych artystów opery monachijskiej, na którym oprócz członków korpusów dyplomatycznych z posłem francuskim markizem Andrém d'Ormessonem mogłem przedstawić ks. kardynałowi Hlondowi paręset osób ze świata naukowego, literackiego, dziennikarskiego i artystycznego".

Polski konsul miał też okazję rozmawiać w swoim ojczystym języku z prezydentem Rzeszy Hindenburgiem, który wspominał swoje szczęśliwe dzieciństwo w Poznaniu, w ktrym przyszedł na świat w 1847 r.

Niestety dyplomatyczna kariera Aleksandra Ładosia w II Rzeczypospolitej dobiegła końca wraz z pojawieniem się w MSZ Józefa Becka. Powodem zwolnienia były sympatie Ładosia do przeciwników przewrotu majowego.

Do służby dyplomatycznej powrócił dopiero w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej.

Tu przydały się znajomości zadzierzgnięte już podczas pracy w NKN i utrwalone w 1936 r. podczas spotkania z gen. Sikorskim w domu Ignacego Paderewskiego w Morges.

NA SZWAJCARSKIEJ ZIEMI

1 września 1939 r. Aleksander Ładoś zanotował w swoim pamiętniku: „Wczesnym rankiem obudził mnie huk bomb spadających na Warszawę. Najazd niemiecki nastąpił barbarzyńskim obyczajem, bez wypowiedzenia i całkiem niespodziewanie".

Po kilku dniach bombardowania Warszawy i konsultacji z dalszą rodziną Ładoś zdecydował się ewakuować na wschód prawie 80-letnią matkę i swoją już kilka lat wcześniej owdowiałą siostrę. Po wielu perypetiach dotarli do Zaleszczyk, gdzie do listy dyplomatycznej, na której figurowały nazwiska matki i siostry, dopisał jeszcze 20 przypadkowych osób błagających o pomoc w przekroczeniu granicy.

Do Paryża dotarli już po utworzeniu nowego rządu Polskiego we Francji. Premier Władysław Sikorski mianował

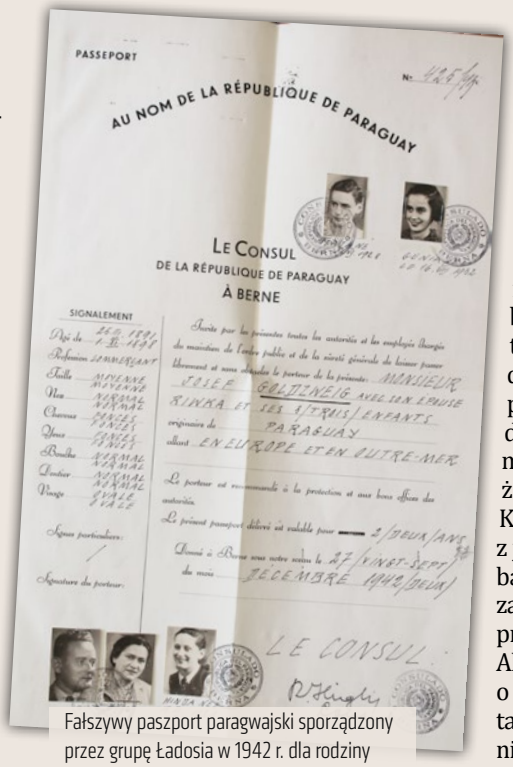

Fałszywy paszport paragwajski sporządzony przez grupę Ładosia w 1942 r. dla rodziny Goldzweigów FOT. WIKIPEDIA

Aleksandra Ładosia ministrem bez teki. Przez kilka miesięcy Ładoś współpracował z gen. Sosnkowskim nad stworzeniem państwa podziemnego i łączności z krajem.

Sikorski czyścił kadry z piłsudczyków we wszystkich polskich placówkach na świecie. I tak usunął posła RP w Bernie Tytusa Komarnickiego, na którego miejsce wyznaczył Ładosia.

Aleksander zostawił matkę i siostrę w Angers, a sam udał się do polskiego poselstwa w Bernie.

10 maja 1940 r. pojechał samochodem po swoich bliskich. Okazało się, że tego dnia Niemcy wkroczyli do Francji. W ostatnim momencie udało się przekroczyć z powrotem granicę szwajcarską.

Przy wjazdach do miast ustawiono posterunki wojskowe i barykady. Szwajcarzy ogłosili mobilizację już 1 września 1939 r. Oficjalnie kraj był neutralny, ale jego obywatele sympatyzowali z aliantami. W jednym z raportów niemieckiego wywiadu z 11 listopada 1939 r. tak pisano na temat Szwajcarów: „Wobec obywateli Rzeszy używa się tutaj obelżywych określeń, takich jak Sauschwob (szwabska świnia). W minionych miesiącach wielu uczciwych Niemców zostało wydalonych z tego kraju".

Po ataku Niemiec na Francję zdemoralizowani żołnierze francuscy w panicznym odwrocie przekroczyli bez walki granicę szwajcarską i zostali tam internowani. Mówił o tym dr. Sebastianowi Ładosiowi Georges Kuta, syn polskiego żołnierza z 2. Dywizji Strzelców Pieszych, która pod dowództwem gen. Bronisława Prugara-Ketlinga przekroczyła granicę francusko-szwajcarską w szyku bojowym. Panowie poznali się kilka lat temu. Georges Kuta po pobycie w Indiach zamieszkał w Polsce, gdzie odkupił przedwojenne gospodarstwo swojego dziadka. Jego ojciec akcentował ogromne morale, jakim charakteryzowali się polscy żołnierze. Cały czas, jak relikwie, Georges Kuta przechowuje zdjęcia swojego ojca z jego pobytu w Szwajcarii. Mówi, jak bardzo ojciec cenił Aleksandra Ładosia za okazaną mu pomoc. Już miesiąc po przybyciu na nową placówkę w Bernie Aleksander Ładoś musiał zatroszczyć się o 13 tys. polskich żołnierzy, którzy zostali tam internowani. Polacy zostali zatrudnieni przy osuszaniu bagien, karczowaniu lasów i pracach polowych. Z powodu mobilizacji brakowało rąk do pracy. Jednak nie wszyscy młodzi żołnierze chcieli spokojnie dożyć końca wojny, pracując w Szwajcarii. Wielu próbowało ucieczek. Chcieli dalej walczyć z Niemcami. Złapani na granicy przez Szwajcarów lądowali w więzieniu, a poseł Ładoś musiał osobiście każdego z nich wyciągać z aresztu. Jednym z uciekinierów był młody chłopak, Marian Stradowski, któremu dyplomata zaproponował skończenie studiów w Szwajcarii. Właśnie otworzyła się możliwość dokończenia dla wielu polskich żołnierzy edukacji rozpoczętej w Polsce.

W Szwajcarii z inicjatywy prof. Adama Vetulaniego w 1941 r. powstały trzy obozy uniwersyteckie i jeden licealny. Polscy żołnierze też zdawali maturę lub kończyli kursy zawodowe.

O Stradowskim po raz drugi usłyszał Ładoś dwa lata przed swoją śmiercią, gdy ten został mianowany 14 lipca 1961 r. ambasadorem Polski w Indonezji.

Polacy cieszyli się w Szwajcarii wielką sympatią. Cytowany wcześniej raport niemieckiego wywiadu pisze: „W celu udzielenia pomocy Polakom niektórzy Szwajcarzy utworzyli organizację charytatywną o nazwie »Pro Polonia«. Według otrzymanych informacji prasa nadal opisuje zniszczenia Warszawy spowodowane niemieckim bombardowaniem oraz cierpienia polskiej ludności. To również pokazuje niechętne nastawienie wobec Niemiec".

Jednak szwajcarskie władze obawiały się konkurencji Polaków. Obarczano ich

eprasa.pl 2c0af773a0

Uri Strauss, ocalony przez grupę Ładosia, z fałszywym paszportem Paragwaju

FOT. WIKIPEDIA

winą za zmniejszenie racji żywnościowych dla autochtonów, a nade wszystko obawiano się kontaktów Polaków ze Szwajcarkami. Komisariat do spraw Internowania 1 listopada 1941 r. wydał tzw. pomarańczowy rozkaz, który zabraniał wręczania polskim żołnierzom pieniędzy, ubrań i prezentów, a także wydał zakaz zawierania małżeństw miejscowych kobiet z naszymi żołnierzami, który i tak nie był respektowany. Około tysiąca Polaków zostało po wojnie w Szwajcarii.

Jak pisał prof. German Ritz, wysoki komisarz ONZ ds. praw człowieka: „Stali się częścią wspólnoty, pracowali i żyli wśród zwykłych ludzi. Wspólnie z nimi internowani dbali o zachowanie bezpieczeństwa i zapewnienie utrzymania państwa w czasie wojny".

EMIGRACJA I POWRÓT

W lipcu 1945 r. Szwajcarzy cofnęli uznanie dla polskiego rządu w Londynie.

15 sierpnia 1945 r. Ładoś podał się do dymisji i przekazał poselstwo w Bernie tymczasowemu chargé d'affaires powołanemu przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w Warszawie. Decyzja ta przez część polskiej emigracji odebrana została jako kapitulacja. Dyplomata widział, jak wszyscy żołnierze Prugara-Ketlinga byli zmęczeni tą sytuacja i domagali się jakiegoś rozwiązania. Część z nich chciała natychmiast wracać do Polski, inni myśleli o emigracji.

W emigracyjnych kręgach rozpętano nagonkę na Ładosia. Niektórzy działacze zarzucali mu, że jest sowietofilem i że chce „przypodobać się" nowym władzom w Warszawie.

W swojej książce Sebastian Ładoś pisze nawet o donosach na swojego krewnego nadsyłanych do francuskiej policji, w których znajdowały się informacje o wożeniu przez niego złota dla francuskiej partii komunistycznej.

Ładoś od początku nie miał złudzeń co do przyszłego kształtu Polski, po wojnie jednak realizował politykę swojej partii. Był przedstawicielem PSL w Europie Zachodniej i to zobowiązywało go do posłuszeństwa względem premiera Mikołajczyka, z którym jednak coraz bardziej nie było mu po drodze. O niechęci do współpracy z premierem pisał pozostający w Szwajcarii dziennikarz Jerzy Stempowski w „Historii Ładosia".

Po referendum w 1946 r. Ładoś notował: „Przy pomocy terroru i »cudów nad urną« przeprowadzono tzw. wybory. Ogłoszono ich sfałszowane wyniki. Można przy pomocy policji i bagnetów władzę zdobyć. Ale bagnety mają to do siebie, że można nimi wiele zrobić, ale siedzieć na nich nie sposób".

Aleksander Ładoś pozostał na emigracji z siostrą. Ich matka umarła zaraz po wojnie. W Sinceny, we Francji, prowadził małe gospodarstwo. W 1954 r. przenieśli się do Lumigny, gdzie właściciele pozwolili im zamieszkać w pomieszczeniach gospodarczych swojego zamku. Żyli w biedzie, hodując kury i uprawiając truskawki. Wrócili do Polski dopiero w 1961 r., dwa lata przed śmiercią Aleksandra, który był już wtedy chory na raka. W Polsce finansowo pomagała im rodzina, m.in. aktorka teatru Ateneum w Warszawie, Irena Ładoś.

Inni polscy dyplomaci z Berna po zwolnieniu z pracy w konsulacie żyli podobnie. Ryniewicz wyemigrował po wojnie do Argentyny, gdzie założył myjnię samochodową. Udzielał się w środowisku tamtejszej Polonii. Zmarł w 1987 r. Juliusz Kühl wyjechał do Kanady. Prowadził firmę budowlaną i handlował zegarkami. Konstanty Rokicki umarł w Szwajcarii w 1958 r. Jak pisał ambasador Jakub Kumoch: „Został zakopany w sekcji dla ubogich na cmentarzu w Lucernie".

W 2018 r., po zidentyfikowaniu jego szczątków, został pochowany z należytymi honorami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Życie toczone piłką

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI/EAST NEWS

Tomasz Z. Zapert

2 marca mija setna rocznica urodzin Kazimierza Górskiego. Najsławniejszego trenera naszego futbolu

W Polsce otacza go powszechny kult, wciąż funkcjonują jego bon moty w rodzaju: „Jeżeli oni po przerwie nie strzelą drugiej bramki, to bardzo trudno im będzie strzelić trzecią". W Grecji, doprowadzając na piłkarski olimp Panathinaikos Ateny oraz Olympiakos Pireus, osiągnął pośród kibiców status Zeusa. Wydawało się, że w życiorysie zmarłego przed 15 laty szkoleniowca nie ma już niczego do odkrycia. Mirosław Wlekły w wyczerpującej „pierwszej pełnej biografii Kazimierza Górskiego" – tak brzmi podtytuł książki – podważa tę tezę. Odkurzając zwłaszcza okołosportowe epizody curriculum vitae opisywanego.

Rok 1972, igrzyska olimpijskie w Monachium. O rozmowę prosi Górskiego dziennikarz Wolnej Europy Wojciech Trojanowski, w międzywojniu najpopularniejszy sprawozdawca sportowy Polskiego Radia. Selekcjoner odmawia. Dwa lata później, w trakcie czempionatu globu, wymigał się od pomocy Ernestowi Wilimowskiemu, swemu boiskowemu idolowi, któremu koło historii wypaczyło życie. Asekurantyzm czy obawa przed esbekami potajemnie towarzyszącymi mu w reprezentacji?

KAZYMYR HURSKYJ

We Lwowie, mieście semper fidelis Górski spędził pierwsze 23 lata życia i zainfekował się piłką nożną. Jako dzieciak kopał szmaciankę między innymi z późniejszym piosenkarzem – Zbigniewem Kurtyczem – i satyrykiem Marianem Załuckim. Pasję rozwijał w szkole, chociaż jej dyrektor klarował uczniom, że powinni dbać o tężyznę fizyczną, lecz „muszą to być jednak zabiegi szlachetne na wzór antycznej rywalizacji, nawiązujące do ideałów greckich olimpiad, turniejów rycerskich w średniowieczu, a nie ordynarna kopanina po łydkach, wybijanie sobie zębów i łamanie krzyży". Gdy nastoletni Górski wstępuje do Robotniczego Klubu Sportowego, wpada w tarapaty. „Gimnazjalistom zabrania się przynależności do organizacji społeczno-politycznych, w tym klubów sportowych, a dyrekcja szkoły, do której chodzi Kazio, surowo tego zakazu przestrzega". Dlatego w meczach Robotniczego Klubu Sportowego występował pod pseudonimem Sarenka, nadanym przez rówieśników z powodu eterycznej sylwetki i delikatnych manier.

Marzenia o Ekstraklasie przerywa wojna. Zajęte przez Sowietów miasto rodzinne z dnia na dzień ubożeje. Narasta indoktrynacja polityczna. NKWD tworzy listy proskrypcyjne łagierników. Do sportu czerwona władza odnosi się jednak przychylnie. „Wszystkie kluby we Lwowie działają na wzór radziecki. Dynamo zrzesza milicjantów, Piszczewnik – pracowników przemysłu spożywczego, Lokomotiw – kolejarzy, a Spartak – spółdzielców. [...] Górski pracuje jako mechanik. Dwa razy w tygodniu dostaje zwolnienie na trening. Występuje w mistrzostwach zrzeszenia Spartak.

eprasa.pl 2c0af773a0

Podróżuje po Związku Radzieckim. […] W Kijowie poznaje Nikitę Chruszczowa. Pierwszy sekretarz KC WKP(b) Ukrainy chce rozmawiać z piłkarzami ze Lwowa, wypytuje. […] jest wyrozumiały [...], każe odpowiadać po polsku".

Indagowany po latach o sportową motywację we Lwowie „pod pierwszymi Sowietami" wyjaśniał: „Ojciec, żołnierz z pociągu pancernego Obrońców Lwowa 1918 roku, należał do ludzi poszukiwanych przez nowe władze. Nie byliśmy pewni dnia ani godziny. [...] Gra w piłkę stwarzała szansę przeżycia, przetrwania, uniknięcia zsyłki". Zapewne gwarancje bezpieczeństwa wzrosły, kiedy będąc na agitacyjnej prelekcji, poznał Wandę Wasilewską.

W czerwcu roku 1941 nadchodzą Niemcy. Antyżydowskie ekscesy Ukraińców nie przyczyniają się do oddania im władzy w Lembergu, jak się teraz określa gród nad Pełtwią. Dostają za to zgodę Berlina na działalność sportową. Dawne kluby ukraińskie z Małopolski Wschodniej: Ukraina Lwów, Sian Przemyśl, Skała Stryj, Watra Drohobycz – znów grają. A Garbarnia Lwów zostaje trzecim przystankiem na futbolowej drodze Kazymyra Hurskyja – takie personalia widnieją w meczowych sprawozdaniach.

2 lipca 1944 r., już pod polskimi personaliami, zostaje wybrany do jedenastki Lwowa konkurującej z zespołem Kona (to „skrót [nazwy] jakiejś formacji wojskowo-sportowej [...], a w składzie drużyny spotkałem nazwiska dobrych niemieckich, austriackich i węgierskich piłkarzy sprzed wojny" – wspominał trener lwowian, Wacław Kuchar). Górski strzela gola. Polacy, żywiołowo dopingowani przez widownię, zwyciężają.

KAZIMIR MAKSIMOWICZ

Rewanż nie dochodzi do skutku, bo trzy tygodnie później do miasta ponownie wkracza Armia Czerwona. Rozpoczynają się aresztowania polskich konspiratorów zaangażowanych w akcję „Burza". Górski należy do generacji Kolumbów, lecz w podziemiu nie działa. Gdyby było inaczej, trafiłby raczej za Ural niż do Towarzystwa Sportowego „Dynamo". „Zachowają się pożółkłe dokumenty z tego okresu, spisane po rosyjsku: »wydane towarzyszowi Gurskiemu Kazimirowi Maksimowiczowi«. […] Kolejne zaświadczenie stwierdza, że służy jako milicjant NKWD w siódmym oddziale miasta Lwowa. Piłkarze Dynama nie mają wyboru, wszyscy z automatu dostają angaże funkcjonariuszy". Akces do klubu procentuje deputatami żywnościowymi, a nawet możliwością zakupów w sklepach dla prominentów.

13 sierpnia 1944 r. dochodzi do konfrontacji Dynama ze Spartakiem. W 17. minucie pada pierwsza bramka we Lwowie po okupacji niemieckiej. Autorstwa Górskiego. W kolejnych potyczkach drużyny już jednak nie występuje.

„Lepszy Polak na zachodzie – niźli grób na wschodzie" – mawiano wtedy za Bugiem. Lwowianie, pomni doświadczeń z Sowietami, masowo uciekają spod ich drugiej okupacji. Górski do Lublina.

Tam wstępuje na ochotnika do I Armii Wojska Polskiego. W styczniu 1945 r. trafia na front. Niebawem dociera do zgliszcz Warszawy. Dalszą wojaczkę uniemożliwia ciężkie przeziębienie. W szpitalu dowiaduje się, że powstaje żołnierska drużyna piłkarska. Gdy futbolowa przeszłość pacjenta wychodzi na jaw, otrzymuje rozkaz selekcji kandydatów. Skompletowana ekipa dostaje pierwsze zadanie. Doprowadzenia do stanu użyteczności boiska Legii, założonej podczas pierwszej wojny światowej przez podkomendnych Józefa Piłsudskiego. Ta tradycja ciąży władzy ludowej, przemilcza ją, niemniej zespół nadal symbolizuje mundur. W zenicie bierutowszczyzny Legia stanie się Centralnym Wojskowym Klubem Sportowym. Budującym potęgę dzięki pasożytnictwu, czyli sprowadzaniu z kraju najzdolniejszych zawodników, oferując im odbycie obowiązkowej służby wojskowej na poligonie, pardon, stadionie, przy ul. Łazienkowskiej 3. Ta praktyka zagwarantuje legionistom nienawiść kibiców od Tatr do Bałtyku. Z wyjątkiem stolicy. Górski kończy karierę piłkarską w poczuciu niespełnienia (na debiucie reprezentacyjnym – 0:8 z Danią! – się skończyło). Z boiska przenosi się na ławkę trenerską. Stosowne do tego wykształcenie zdobędzie później.

PODOPIECZNI Z PIÓREM

W nowej roli debiutuje pracą z narybkiem Legii, m.in. golkiperem in spe... Ryszardem Kapuścińskim. Po latach wspomni szkoleniowca: „To człowiek o niezwykłej osobowości, rzadko spotykanej. Wybitny fachowiec, a przy tym człowiek prostolinijny, prawy, naturalny i skromny". Kilkanaście lat później trener Górski ma do czynienia z innym dziennikarzem. Romuald Karaś piłkarskie abecadło poznał w Garbarni Kurów, występującej w rozgrywkach okręgowych, śni o grze w Lubliniance, aspirującej do II ligi. „Przyprowadza go Stanisław Kukuryka, twórca Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, późniejszy minister budownictwa. […] Kazimierz liczy się z Kukuryką, bo ten sprowadził go do klubu. Ustawia Karasia na środku boiska i każe mu biec w kierunku bramki. Kiedy kandydat zbliża się do pola karnego, podaje mu piłkę.

– Strzelaj! – krzyczy.

Karaś [...] kopie mocno, ale bramkarz broni, […] trener każe mu się przebierać.

– Dlaczego? Strzeliłem silnie i celnie – protestuje Karaś.

– Nie ta dźwignia – pod nosem odpowiada Kazimierz. Tłumaczy, że dziennikarz ma niewłaściwie zbudowane nogi, a strzał był sygnalizowany. – Z góry wiedziałem, w które miejsce strzelisz. To wada fizyczna. Już jej nie wykorzenisz".

Marymont Warszawa, Gwardia Warszawa, Lublinianka, Motor Lublin, ŁKS, Legia – z polskimi zespołami Górskiemu wiedzie się umiarkowanie. Z kolejnymi rocznikami reprezentacji młodzieżowych także. Nominacja na stanowisko selekcjonera kadry narodowej budzi wątpliwości. Czy bez legitymacji PZPR byłaby możliwa? Bodaj jedyny przejaw aktywności tow. Górskiego stanowiło podpisanie – późnym latem 1956 r. – rezolucji domagającej się przywrócenia do łask Władysława Gomułki. W politykę trener dał się wciągnąć dopiero na emeryturze. W III RP kandydował do parlamentu najpierw z rekomendacji Zrzeszenia Chrześcijańsko-Narodowego, a potem Polskiej Partii Przyjaciół Piwa (na liście Samoobrony). Przegrał. Porażkę poniósł, także prezesując, u progu ustrojowej transformacji, Polskiemu Związkowi Piłki Nożnej. Ziścił się wtedy scenariusz „Piłkarskiego pokera". To ponoć reżyser tego filmu – Janusz Zaorski – zaproponował, po sukcesie „Orłów Górskiego" na mundialu w RFN, zmianę nazwy miasta Kazimierza. Z Dolnego na Górski.

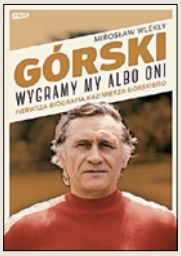

MIROSŁAW WLEKŁY
„GÓRSKI. WYGRAMY MY ALBO ONI"
ZNAK 2021

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Kaci Polaków

Najważniejsze jest to, żeby ofiary nie były anonimowe. Ważne jest jednak również to, żeby anonimowi nie byli sprawcy. Ofiary zasługują na wieczną pamięć i szacunek. A sprawcy – na wieczne potępienie.

Maciej Maciejowski w ciekawej książce „Sprawcy operacji (anty)polskiej NKWD" zamieścił 277 biogramów. Znalazły się w nich informacje o funkcjonariuszach bolszewickiej bezpieki, którzy w latach 1937–1938 na rozkaz Stalina dokonali ludobójstwa na Polakach mieszkających w Związku Sowieckim.

Kim byli ci ludzie? Maciej Maciejowski uważa, że tworzyli – używając terminu socjologicznego – „grupę żarłoczną". Grupa taka wymagała od swoich członków „maksymalnego zaangażowania, dyspozycyjności, pełnego poświęcenia i całkowitej lojalności wobec zwierzchników i patronów". A więc wobec Stalina oraz Nikołaja Jeżowa i innych funkcjonariuszy NKWD wysokiego szczebla.

Przeglądając biogramy katów, trudno nie zauważyć, że olbrzymia część z nich sama została zamordowana pod koniec lat 30. lub na początku lat 40. Luzie ci padli wówczas ofiarą wewnętrznej czystki w bezpiece, w 1940 r. stracony został sam Jeżow. Logika wielkiego terroru była bezwzględna – „grupa żarłoczna" sama została pożarta.

Gdy Stalin uznał, że terror nie tylko spełnił już swoją rolę, lecz także przybrał zbyt kolosalne rozmiary, postanowił go wyhamować. W tym celu winę na „nieprawidłowości", do których miało dojść w „pracy organów", zrzucił na „klikę Jeżowa". Rozprawą ze swoim poprzednikiem i jego ludźmi zajął się nowy szef bezpieki – Beria.

„Likwidacja dużej części wykonawców Wielkiego Terroru – pisze Maciejowski – pozwoliła Stalinowi osiągnąć kilka korzyści. Dokonał kolejnej »wymiany« kadr, tym razem w NKWD, rozbił też tworzące się w nim koterie. Zapewne w swoim mniemaniu zlikwidował również prewencyjnie wszelkie spiski i machinacje w NKWD. Stalin wzmocnił tym samym kontrolę nad organem państwa, który był głównym narzędziem jego politycznych działań i zamierzeń. Doprowadzając do zniszczenia wykonawców, zacierał ponadto ślady zbrodni. Rychły wybuch II wojny światowej przyćmił tragedię setek tysięcy ofiar Wielkiego Terroru oraz będącej jego częścią operacji (anty)polskiej".

MACIEJ MACIEJOWSKI „SPRAWCY OPERACJI (ANTY)POLSKIEJ 1937–1938" LTW

Na szczęście wiedza o tym dramacie powoli się przebija. Między innymi dzięki takim książkom jak praca Macieja Maciejowskiego. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dzielny kapitan Kloss

Chyba żaden z seriali epoki PRL nie osiągnął takiej popularności jak „Stawka większa niż życie". Mało kto jednak pamięta, że produkcja początkowo pojawiła się na ekranie jako spektakl Teatru Telewizji odtwarzany na żywo, a większość odcinków miała zupełnie odmienne scenariusze niż późniejszy serial. Należało do nich widowisko „Cicha przystań" (premiera 23 lutego 1967 r.), opowiadające o współpracy Hansa Klossa z agentką wywiadu holenderskiego (!), by tuż po wojnie zdemaskować ukrywających się w Szwajcarii hitlerowskich zbrodniarzy. Jednak pojawiały się już także postacie znane z serialu, choćby Hermann Brunner czy kuzynka Eliza. Początkowo cykl teatralny zaplanowano na sześć odcinków, ale po ich wielkim sukcesie pojawiło się osiem następnych. Niebawem zapadła też decyzja o realizacji serialu telewizyjnego i nikt już sobie nie wyobrażał, że kapitana Klossa mógłby zagrać ktoś inny niż Stanisław Mikulski (Brunnera oczywiście Karewicz).

O sukcesie cyklu teatralnego i serialu zadecydował głównie atrakcyjny scenariusz. Jego twórcy wzorowali się na pierwszym filmie o Jamesie Bondzie, „Dr No". Do tego dochodziły: dobra realizacja, znakomita praca operatorów oraz intrygująca, trzymająca w napięciu muzyka.

W dość umiejętny sposób potraktowano też sprawy ideologiczne. Nigdzie właściwie nie pokazano, czyim agentem był dzielny kapitan Abwehry, a na ekranie pojawiał się zresztą także w mundurze majora LWP. Obecność Sowietów zredukowano do minimum, a sugestie o współpracy Klossa z komunistycznym ruchem oporu nie były zbyt nachalne. Agentowi zdarzały się nawet przypadki współpracy z angielskim wywiadem, chociaż i tak to właśnie on okazywał się najskuteczniejszy. A do tego te pogawędki z Hermannem Brunnerem…

W polskiej telewizji funkcjonował wówczas tylko jeden program, nic zatem dziwnego, że podczas emisji premierowych odcinków wyludniały się ulice, a następnego dnia wszyscy komentowali kolejne przygody agenta J-23. „Stawka" przebiła swoją popularnością wszelkie zachodnie seriale emitowane wówczas przez TVP, nie mówiąc już o sowieckich „produkcyjniakach". I odniosła też ogromny sukces na ekranach „bratniego obozu", a Mikulski stał się prawdziwą gwiazdą.

Mit serialu był tak wielki, że kilka lat temu zrealizowano film fabularny, „Hans Kloss. Stawka większa niż śmierć". Cieszył się on sporym zainteresowaniem, chociaż większość widzów uważała, że Tomasz Kot sprawdził się jako Kloss, ale Piotr Adamczyk jako Brunner nie dorównał Karewiczowi. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Poruszający wywiad z Żołnierzem Wyklętym

– Ryszardem Staszkiewiczem „Łosiem"

Piotr Lipiński – **WiN w ubeckiej matni**
Sławomir Cenckiewicz – **„Afera Bergu"**
Maciej Rosalak – **Zagłada Indian w USA**
Mirosław Szumiło – **Tragedia traktatu ryskiego**
Piotr Zychowicz – **Zagłada kresowego gniazda**
Tomasz Stańczyk – **Czy Mińsk mógł być w II RP?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Bratnie partie – PO i PiS**
Jakub Ostromęcki – **Fałszywe śledztwo FBI**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2c0af773a0

Z Olgą Romanową, szefową Rusi Siedzącej, organizacji sprawującej opiekę nad więźniami
rozmawia Gabriel Michalik

Areszt, do którego trafił Nawalny, wymyślił Beria, gdy aresztował Jeżowa FOT. A. ZEMLIANICHENKO/AP/EAST NEWS

Kraj kultury więziennej

GABRIEL MICHALIK: Co czwarty Rosjanin siedzi, siedział lub będzie siedział. Prawda czy fałsz?

OLGA ROMANOWA: Legenda, ale jest w niej ziarno prawdy. Więzienie to nie tylko osadzeni, lecz także strażnicy, policjanci, prokuratorzy, sędziowie i funkcjonariusze rozmaitych struktur siłowych, posyłających ludzi za kraty. Jeśli odjąć kobiety, których odsetek w więzieniach jest w zasadzie stały i wynosi ok. 8 proc., to okaże się, że istotnie co czwarty Rosjanin ma z więzieniem coś wspólnego.

Jesteśmy krajem wielkiej kultury więziennej. Siedział prawie każdy z ważnych klasyków rosyjskiej literatury. Doświadczenie więzienia jest dla Rosjanina tak organiczne, że na co dzień umyka nam jego wpływ na język, mentalność i kulturę. Putin mówi do Rosjan więziennym slangiem, czym zresztą w swoim czasie bardzo spodobał się ludziom: „Swojak, gada jak u nas na podwórku".

Nie ma w Rosji ani jednej znaczącej biografii bez więzienia. Chcesz być wielkim Rosjaninem – idź siedzieć! Na tym tle nie sposób zaprzeczyć, że Nawalny dobrze zrobił, że siedzieć poszedł...

Jest w tym pewna zagadka. To już nie czasy Nelsona Mandeli. Przy dzisiejszych środkach łączności Nawalny mógłby zdziałać więcej z Berlina niż zza krat. Jego przyjazd w obliczu pewności uwięzienia sprzyja podejrzeniom, że Nawalny i Kreml grają w jednej drużynie.

Za granicą czy z zagranicy opozycjonista może robić niemal wszystko. Sama jestem w Berlinie już trzeci rok, a moja Ruś Siedząca działa w najlepsze. Nie da się tu zrobić tylko jednego – być pierwszym. A właśnie w grze o bycie pierwszym Nawalny postawił swoje życie.

Co z nim będzie dalej?

Zdecyduje Putin. Nawalny znajduje się teraz w bardzo szczególnym miejscu. Areszt śledczy Matroska Tiszyna to w istocie nie jeden areszt, ale dwa, całkiem odrębne. Ten, w którym siedzi Nawalny, wymyślił Beria, gdy aresztował Jeżowa. Nie chciał, aby główny czekista znalazł się w kryminale zarządzanym przez czekistów. Kazał zorganizować dla Jeżowa celę w budynku administracji, usytuowanym na wewnętrznym dziedzińcu aresztu. Ta specjalna jednostka zajmuje obecnie dwa najwyższe piętra bloku administracji. Jest tam tylko 20 cel, pełno kamer, a strażników dwa razy więcej niż osadzonych. W wewnętrznej Matroskiej Tiszynie nie istnieje tajemnica adwokacka – osadzeni spotykają się z obrońcami przez grubą szybę, rozmowa odbywa się przez słu-

eprasa.pl 2c0af773a0

chawki podsłuchiwanego telefonu; każdy papierek, który trafia od adwokata do osadzonego i odwrotnie, jest skanowany.

Trzyma się tam osobistych wrogów Kremla, zwłaszcza tych, którzy mają wiedzę niebezpieczną dla rządzących: siedział tu Siergiej Mawrodi, twórca piramidy finansowej, Władimir Barsukow-Kumarin, gangster, znajomy Putina jeszcze z czasów petersburskich. Siedzieli kremlowscy egzekutorzy, kryminalni dygnitarze – wszyscy ci, którzy mieli milczeć.

Wprawdzie po uprawomocnieniu się wyroku Nawalny powinien jak najszybciej znaleźć się w kolonii karnej, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby fabrykować kolejne akty oskarżenia i zachowywać status oskarżonego bez końca. Putin może go tam trzymać jako kartę przetargową w negocjacjach z Zachodem albo jako gwarancję własnego bezpieczeństwa.

A jeśli spodoba mu się w końcu wysłać Nawalnego do kolonii?

To może oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo dla Aleksieja. Największe ryzyko „nieszczęśliwego wypadku" towarzyszy konwojowaniu do kolonii. Po wszystkim sprawca będzie zapewne schwytany i „ukarany". Jak? Na przykład tak: dwa lata temu, tu w Berlinie, w parku Moabit, niejaki Wadim Krasikow, który winien był przebywać w kolonii karnej za dwukrotne zabójstwo, zastrzelił byłego czeczeńskiego dowódcę Zemlimhana Hangaszwilego. Jak się okazało, karę za wcześniejsze zbrodnie odbywał w specjalnym obozie szkoleniowym FSB. Gdy postanowiono zabić Hangaszwilego, Krasikow dostał paszport, a wniosek o jego wizę Schengen wysłano faksem z Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej.

Wracając do prognoz odnośnie do Nawalnego – myślę, że dłużej posiedzi w Matroskiej Tiszynie, ale później, w ślad za zmieniającą się sytuacją polityczną i pozycją Nawalnego, będziemy zapewne świadkami jego etapowania, a może i pobytu w kolonii.

Czym są kolonie karne? Sowieckie łagry po drobnym liftingu czy to już całkiem nowa instytucja?

Jest to, mówiąc metaforycznie, nadal ten sam potworny smok, którego znamy z czasów stalinowskich. Narodził się w Afryce podczas wojny burskiej, żył na Kubie, w Hiszpanii, w Ameryce itd., a najbardziej spektakularnie zaistniał w Sowietach i w hitlerowskich Niemczech. W Niemczech – wiadomo, jak się to skończyło, a w Rosji nie skończyło się ostatecznie po dziś dzień.

Owszem, smok zestarzał się, stępiły mu się kły i pazury, ogień w pysku zgasł; gorzej trawi, zwłaszcza że karmią go surowym mięsem, a kiedyś dostawał ludzi odpowiednio spreparowanych. W głębi serca to jednak ciągle jest on, ten sam.

Jeżdżę po więzieniach na całym świecie. Jeśli chodzi o Europę, to nie odwiedzałam jeszcze tylko więzień polskich i bułgarskich. Przy znacznych różnicach pomiędzy poszczególnymi krajami są to jednak instytucje zupełnie niepodobne do rosyjskich kolonii karnych. Na przykład więzienia w Niemczech na terenie dawnej NRD budowano na wzór sowieckich, ale nawet na tej bazie materialnej udało się tam teraz zorganizować zwykłe, nudne, europejskie więzienia. Znaczy się – można.

Dawniej łagry dzieliły się na czerwone i czarne. W pierwszych władzę sprawowała administracja, w drugich rządzili zorganizowani w „kryminalny komitet" więźniowie. Czy to aktualny podział?

Coraz bardziej rozmyty. Kolonia, jako zamknięty system, odgrodzony od czynników zewnętrznych, jest idealnym środowiskiem do malwersacji i korupcji. Administracja chce żyć spokojnie i kraść w najlepsze. Jeśli z kolonii wypływa za dużo skarg osadzonych, to przyjeżdża kontrola i system się otwiera. Żyć więc trzeba tak, żeby skarg nie było. Najłatwiej to załatwić przez „czarnych", czyli komitet kryminalny. Oni potrafią zniechęcić osadzonych do zbędnej aktywności. „Czarnym" płaci się, umożliwiając im działalność, również biznesową. Administracja nie przeszkadza na przykład w zaopatrywaniu osadzonych w narkotyki czy w telefony komórkowe, które służą do obsługi więziennych call center [pisaliśmy o tym w „DRz" nr 51/2020 – przyp. red.]. Te relacje stały się tak ścisłe, że trudno ustalić, kto do której władzy należy. Na wolności podobnie: mamy Putina, niby-czekistę, ale obok niego stoją: były więzień kryminalny Aliszer Usmanow – oligarcha do zadań specjalnych, i Jewgienij Prigożyn, „nadworny kucharz Putina", właściciel prywatnych armii realizujących politykę Kremla w Afryce, też kryminalista. I ani ten czekista nie jest do końca „czerwony", ani ci przestępcy nie są do końca „czarni".

W końcu nawet nie wiadomo, czy więzienie zaraża się wolnością czy wolność więzieniem. Pasowanie na wora w zakonie odbywa się ostatnio za pośrednictwem Skype'a. Miałam okazję oglądać taką ceremonię. Patrzę i rozumiem, że widziałam to już wiele razy, tylko – gdzie? Nagle olśnienie! Przecież to jest kropka w kropkę rytuał przyjmowania nowego członka do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego!

W końcu też organizacji przestępczej...

... stworzonej przez byłych katorżników. I tu koło się zamyka.

Sowieckie łagry były rezerwuarem bezpłatnej siły roboczej. A dzisiejsze?

To się nie zmieniło. Tyle że w Związku Sowieckim praca więźniów służyła wielkim budowom komunizmu, zwykle bezsensownym, ale jednak mającym wymiar ogólnospołeczny. Dzisiaj służy napychaniu kieszeni tych, którzy zarządzają więzieniami.

Przykład z kwietnia ubiegłego roku: kolonia karna w Angarsku w obwodzie irkuckim. Wybucha bunt, płoną baraki, płoną przywięzienne zakłady drzewne. Co się okazuje? Od dwóch lat trwał wakat na stanowisku naczelnika irkuckiego obwodu służby więziennej. Wokół Angarska las, niedaleko chińska granica. Gdy w końcu przysłano nowego naczelnika, funkcjonariusz zapowiedział kilku osadzonym, że zostaną zgwałceni. Elementarna znajomość życia za kratami podpowiada, że właśnie tak najefektywniej sprowokować bunt. Śledziłam rozwój wypadków, rozmawiałam z osadzonymi w trakcie wydarzeń, od nich to wiem.

Po wszystkim ukarano domniemanych prowodyrów – tylko osadzonych, oczywiście. Zakłady drzewne spłonęły doszczętnie, a wraz z nimi dowody na to, co administracja ukradła przez poprzednie lata.

Przy wszystkich okropieństwach rosyjskich kolonii mnie ujął następujący zwyczaj – w odróżnieniu od europejskich więzień widzenia trwają tam często nie godzinę czy dwie, ale na przykład trzy dni. Jeden z więźniów politycznych opowiadał mi, że w trakcie odbywania kary odwiedzała go cała rodzina, przenosił się wówczas do specjalnego mieszkania na terenie kolonii i żył jak na wolności.

Wygląda to może optymistycznie, ale w praktyce jest tak: widzenia odbywają się bardzo rzadko; w zależności od rodzaju kolonii – raz na kwartał albo nawet raz do roku. Kolonie są usytuowane daleko od wielkich miast. Osadzony mieszkał, powiedzmy, w Moskwie, a karę odbywa gdzieś pod Irkuckiem. Widzenie to wielkie wyzwanie logistyczne dla rodziny. Gdy już do niego dojdzie, całe szczęście, że trwa długo. Ale na widzenie trzeba sobie zasłużyć, to jest nagroda za brak konfliktu z kierownictwem, którą administracja dysponuje bardzo nierozrzutnie.

eprasa.pl 2c0af773a0

Kiedy przed laty, w złotej erze Miedwiediewa, mieszkałem w Rosji, często słyszało się o odważnych eksperymentach z zakresu resocjalizacji. Dzieje się coś w tej mierze?

Z resocjalizacją jest ten problem, że wielu rosyjskich więźniów wręcz nie należy resocjalizować. Na przykład: Jak i po co resocjalizować więźnia politycznego? Albo taka sytuacja: bank splajtował, właściciele i kierownictwo wylecieli z kasą na Cypr lub inne wyspy szczęśliwe, na miejscu zostali kurier i referentka. Wsadza się ich, bo kogoś trzeba wsadzić. I co? Resocjalizować kuriera, bo miał pecha pracować w tym właśnie banku? Inna historia, całkiem świeża: rodzina z okolic Astrachania – pięcioro dzieci, w tym dwoje niepełnosprawnych. Żeby wykarmić dzieci, matka z ojcem łowili ryby. Posadzono ich za kłusownictwo. Jak zresocjalizować tych ludzi – zrobić ich milionerami?!

Ci, którzy chcieli zmieniać na lepsze rosyjski system penitencjarny, wyjechali już z Rosji. Nie wszyscy, bo przecież zawsze trafią się jacyś romantycy. Mamy takich i w Rusi Siedzącej, na przykład starają się przebić do psychologów więziennych. Z marnym skutkiem. Psychologów jest mało; bywa, że jeden na 1,5 tys. osadzonych. Nie ma nawet szansy na indywidualną pracę z więźniami. Zamiast tego pracują ze strażnikami, aby ci do reszty nie zwariowali, a zapewniam, że jest tam od czego zwariować.

Taki obrazek: kolonia karna na Uralu. Do najbliższego miasta 300 km. Baraki, drut kolczasty, za drutem podwórko i domy mieszkalne funkcjonariuszy. Dzieci strażników grają w piłkę. Strażnik stanął koło mnie i się rozmarzył: „Wam to dobrze, odsiedzicie swoje i wyjedziecie na zawsze, a my tu na zawsze zostajemy".

Przecież nikt go nie trzyma siłą!

I tak, i nie. Do służby więziennej trafia się w wyniku selekcji negatywnej. Jesteś zdolny, bystry – idziesz do uczelni FSB albo do akademii wojskowej, mniej zdolny – do policji, a do pracy w więzieniu idzie kontyngent najsłabszy. Żyją w swoim własnym świecie. Zdarzyło się dziewięć lat po uwięzieniu Michaiła Chodorkowskiego, że dostarczałam do jednej kolonii książki, między innymi książkę Chodorkowskiego „Więzienie i wolność". Naczelnik ogląda (oni są zawsze bardzo wyczuleni na książki przekazywane więźniom) i pyta: „A ten literat Chodorkowski to kto? Też siedział?". A w tamtym czasie każde dziecko wiedziało, kim jest Michaił Chodorkowski!

W wielu miejscowościach, w których są kolonie karne, więzienie jest jedynym dużym zakładem pracy. Całe życie okolicy podporządkowało się więzieniu. Rejon Tambowa – czarnoziem, chłopi nie biedują, a kawałek dalej wsie w pobliżu kolonii pozostają wyspami nieurodzaju. Czarnoziem leży odłogiem, zwierząt gospodarskich brak. Zapytałam miejscowego, dlaczego sobie chociaż kozy nie sprawi. – Kozę – powiada – doić trudno, więzienie – łatwiej.

A zatem do tych mas zbędnych ludzi, zbędnych i świadomych swojej zbędności, wciągniętych w rosyjską machinę penitencjarną, trzeba jeszcze doliczyć sąsiadów więzień.

W Rosji nie działają „windy społeczne". Jest generał, ma syna. Kto więc będzie generałem – pan, ja? Wiadomo, że ten syn. W służbie więziennej można się urządzić, przewegetować. Z podobnych przyczyn część osadzonych świadomie wybrała więzienie jako miejsce kariery – worem w zakonie łatwiej zostać niż ministrem, a w każdym razie nie jest to niemożliwe.

A skąd pani się wzięła w armii Rosjan żyjących z więzienia i wokół więzienia?

Byłam dziennikarką, gwiazdą telewizyjną. W 2004 r. zaczęły się czystki. Mnie wylali dopiero w 2006 r. A rok później aresztowano mojego męża. Nic nadzwyczajnego, próba siłowego przejęcia przedsiębiorstwa, codzienność rosyjskiego biznesu.

Dopóki byłam dziennikarką, dopóty wydawało się, że dobrze znam Rosję. Do dziś mi wstyd, że tak myślałam. Aż stanęłam w kolejce pod aresztem i okazało się, że jest też taka Rosja, której istnienia w ogóle nie podejrzewałam.

Więzienie ma kobiecą twarz. W środku siedzą mężczyźni, ale na zewnątrz całą stroną organizacyjną zajmują się ich kobiety. Mam dziennikarskiego nosa, potrafię wejść tam, gdzie inni nie wejdą, załatwiać sprawy nie do załatwienia, więc byłam tam przydatna. Popatrzyłam na kolejkę do bramy aresztu i myślę: A po co my tu wszystkie stoimy? Zaczęłam organizować obieg informacji i logistykę – tego człowieka jutro wypuszczą, tego będą konwojowali, dla tego mamy paczkę, takie a takie są sprawy do dyrektora aresztu; nie idziemy wszystkie po kolei, tylko idzie delegacja. Spotykałyśmy się w barze opodal aresztu. Kobiety, które wtedy poznałam, nadal są kręgosłupem Rusi Siedzącej. Potem dołączyli do fundacji ludzie bez doświadczenia w więzieniach, ale pełni entuzjazmu. Dzisiaj to już całkiem spora organizacja. Męża w końcu wypuścili, częściowo uniewinnili, poszedł swoją drogą. A ja już zostałam przy więzieniach.

Dlaczego wyjechała pani z Rosji?

To się stało trzy lata temu. Lada dzień miałam być aresztowana. Nie boję się więzienia, znam je dobrze. Wiedziałabym, co tam robić. Natomiast sytuacja, w której Ruś Siedząca zajmowałaby się opieką nad swoją uwięzioną szefową, byłaby po prostu idiotyczna. Potem sprawę, przez którą wyjechałam, umarzano i wznawiano wiele razy. Po 20. piśmie przestałam liczyć. W międzyczasie doszły jednak kolejne sprawy karne. Teraz jestem na przykład oskarżona z nowego paragrafu, wprowadzonego do obiegu prawnego 1 kwietnia 2020 r. Tak zwane prawo COVID-owe.

Za nawoływanie do demonstracji w obronie Nawalnego?

A gdzież tam! Monitorowaliśmy sytuację epidemiczną w koloniach. W kolonii pod Nowogrodem Wielkim wykryliśmy, że na całe więzienie mają tylko jeden termometr. A właściwie nawet i jego nie mają, bo termometr przechowują w biurze przepustek. Napisałam o tym, więc mnie oskarżono o „propagowanie COVID-u".

Tęskni pani za Rosją?

Tęsknię na przykład za Woroneżem i za Tagiłem. Za Moskwą i za Petersburgiem nie, bo mam je tutaj, w Berlinie. Natomiast to, czym się zajmuję, lepiej robić daleko od FSB.

A co tak panią trzyma przy więzieniach?

Jeśli raz się tym zająłeś, to więzienie już cię nie wypuści. Wyciąga z każdego to, co w człowieku najważniejsze. Z jednego dobro, z drugiego zło. Nie ma tam półtonów. Gdy pobędę kilka dni w więzieniu i wychodzę na wolność, trudno mi zrozumieć, jak wy tu w ogóle żyjecie. Nie widzę, gdzie jest prawda, a gdzie kłamstwo; co jest dobrem, a co złem. W kolonii wszystko jest bezwarunkowe, jaskrawe i dobrze widoczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

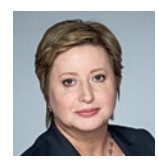

Olga Romanowa – szefowa organizacji Ruś Siedząca, monitorującej więzienia oraz kolonie karne i broniącej praw więźniów.

eprasa.pl 2c0af773a0

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. AHMAD AL-RUBAYE/AFP/EAST NEWS

Papież w Iraku

Witold Repetowicz

Intensywność programu papieskiej pielgrzymki do Iraku budzi obawy, bo w kraju tym jest wciąż niespokojnie. Ojciec Święty w ciągu trzech dni, od 5 do 7 marca, ma odwiedzić sześć miejsc rozsianych po całym kraju. Państwo Islamskie zrobi wszystko, by pielgrzymkę zakłócić, zwłaszcza że papież przyjedzie też do Mosulu, gdzie w 2014 r. proklamowano kalifat

Tak bogaty program byłby ryzykowny nawet w normalnych warunkach, zważywszy na wiek Franciszka, a co dopiero w takich, jakie panują w Iraku. Większość przywódców tam przyjeżdżających ogranicza swoje wizyty do Bagdadu i Irbilu (stolicy Regionu Kurdystanu), ewentualnie jakiejś bazy wojskowej. W dodatku są one zwykle niezapowiadane, a w tym przypadku wiadomo, kiedy przyjeżdża Ojciec Święty, ale od dawna znany jest też cały jego plan pobytu. To zwiększa ryzyko ataku, którego Państwo Islamskie z całą pewnością będzie chciało dokonać. Celem może być zarówno sam papież, jak i zgromadzenia z jego udziałem. Nie jest jednak wykluczone, że ISIS skorzysta z tego, iż cała uwaga sił bezpieczeństwa będzie skoncentrowana na pielgrzymce, i przeprowadzi dużą akcję w innym miejscu, by przyćmić papieskie przesłanie. Cel takiego ataku niekoniecznie musi być w Iraku. Dżihadyści, postrzegając obecność papieża w Mosulu, w którym proklamowali w 2014 r. swój „kalifat" za zniewagę, mogą uznać, że właściwą odpowiedzią jest zamach na chrześcijański obiekt w Europie.

PLAN WIZYTY

Tyle że każde z miejsc, które Franciszek zamierza odwiedzić, ma ogromne znaczenie dla osiągnięcia dwóch podstawowych celów pielgrzymki, którymi są wsparcie miejscowych chrześcijan oraz poparcie dla wizji Iraku jako miejsca pokojowej koegzystencji wielu religii. Pierwszego dnia papież odwiedzi bagdadzki kościół Matki Boskiej Zbawicielki, w którym w 2010 r. terroryści zamordowali 52 osoby i ranili 78. Drugi dzień pielgrzymki papież ma rozpocząć od wizyty w Nadżafie, czyli religijnym centrum szyitów, z których religijnym przywódcą, ajatollahem Alim as-Sistanim, ma się tam spotkać. Tego samego dnia Franciszek ma się jeszcze udać dalej na południe, do ruin starożytnego miasta Ur, miejsca narodzin proroka Abrahama, gdzie ma dojść do spotkania wieloreligijnego. Ma to być podkreślenie roli Iraku jako kolebki monoteizmu i kraju koegzystencji religii wywodzących się z Abrahamowego pnia. Warto dodać, że według tradycji szyickiej w meczecie w sąsiadującej z Nadżafem Kufie znajduje się źródło, które spowodowało wspominany i w Biblii, i Koranie potop. Tutaj Noe miał zbudować swoją arkę, a jeszcze wcześniej pierwszą świątynię stworzyć miał praojciec Adam. Nawiasem mówiąc, w tym miejscu znajdowała się też Al-Hirah, czyli stolica królestwa arabskich Lachmidów, którzy w VI w. przyjęli chrześcijaństwo.

Z Ur papież ma wrócić do Bagdadu i jeszcze tego samego dnia odprawić mszę w katedrze św. Józefa. Trzeciego dnia rano Ojciec Święty ma polecieć do stolicy Kurdystanu – Irbilu, a następnie, prosto z lotniska, do Mosulu. Tam ma pomodlić się w miejscu, gdzie stał jeden z kościołów zburzonych przez Państwo Islamskie sześć lat temu. Kolejnym celem będzie chrześcijańskie miasteczko Karakosz znajdujące się na Równinie Niniwy, uznawanej za główny ośrodek chrześcijaństwa w Iraku. Miasto to również było okupowane przez ISIS. Tego samego dnia papież odprawi jeszcze mszę na irbilskim stadionie.

Iraccy chrześcijanie niewątpliwie potrzebują wsparcia. Na początku XX w. odsetek chrześcijan na terenie dzisiejszego Iraku wynosił 12 proc. W Mosulu w 1912 r. chrześcijanie stanowili 17 proc. mieszkańców, a w tzw. kaza Mosul obejmującej okolice, w tym Równinę Niniwy – 23,5 proc. Odsetek chrześcijan zaczął

eprasa.pl 2c0af773a0

spadać po dojściu do władzy w latach 60. partii Baas, którą kierował później Saddam Husajn. W 1987 r. chrześcijan w Iraku było 1,4 mln, czyli już tylko 8 proc. W przededniu amerykańskiej inwazji było ich nadal tylko 1,5 mln mimo znacznego przyrostu naturalnego w całym Iraku. Procentowo oznaczało to spadek do niespełna 6 proc. W 2006 r. oceniano, że liczba chrześcijan w Iraku spadła o połowę, a po pojawieniu się Państwa Islamskiego, które wygnało chrześcijan z Mosulu i części Równiny Niniwy, kościoły zaś burzyło na zajętych przez siebie terenach, z Iraku wyjechało kolejnych 200 tys. Dzisiaj w 40-milionowym Iraku jest ich maksimum 500 tys., choć niektóre szacunki mówią o zaledwie 200 tys. W Bagdadzie można czasem odnieść wrażenie, że jest tam więcej kościołów niż chodzących do nich wiernych.

CORAZ WIĘCEJ POWODÓW DO NIEPOKOJU

Po raz pierwszy plan pielgrzymki do Iraku powstał w 1999 r., gdy papieżem był Jan Paweł II. Rządzący wówczas Irakiem Saddam Husajn nie był tym jednak zainteresowany, gdyż w tym czasie próbował kreować się na lidera świata islamu. Służyła temu prowadzona w Iraku od 1993 r. kampania religijna znana pod nazwą al-hamlah al-imaniyah. Dlatego iracki dyktator odrzucił starania Stolicy Apostolskiej pod pretekstem braku możliwości zapewnienia bezpieczeństwa Ojcu Świętemu. Paradoksalnie teraz pielgrzymka się odbędzie, choć obecnie Irak ma opinię znacznie mniej bezpiecznego, a w dodatku szaleje pandemia. Paradoksem jest również to, że w dość powszechnej opinii w dzisiejszym Iraku islam odgrywa znacznie większą rolę polityczną niż za czasów Saddama, a mimo to właśnie teraz Irakowi zależało na tej pielgrzymce równie mocno co Stolicy Apostolskiej. Władze tego kraju chcą poprawić jego międzynarodowy wizerunek. Chodzi o pokazanie, że Irak nie jest państwem upadłym oraz że jest w nim miejsce również dla wyznawców innych religii niż islam.

Doniesienia znad Eufratu i Tygrysu są jednak niepokojące. Faktem jest, że po tym, jak 9 grudnia 2017 r. ogłoszono w Iraku zwycięstwo nad Państwem Islamskim, liczba zamachów radykalnie spadła. W drugiej połowie 2019 r. sytuacja zaczęła się jednak znów komplikować, gdyż ISIS nigdy nie było wyłącznym problemem bezpieczeństwa. Polityka Donalda Trumpa wobec Iranu uczyniła z Iraku arenę amerykańsko-irańskiej konfrontacji. W praktyce oznaczało to ataki proirańskich oddziałów Haszed Szaabi na bazy USA. Kulminacją było zabicie przez Amerykanów w styczniu 2020 r. irańskiego gen. Kasema Sulejmaniego, co tylko zaostrzyło sytuację. Błyskawicznie skorzystało z tego Państwo Islamskie, którego aktywność w pierwszej połowie 2020 r. dramatycznie wzrosła. Przeprowadzona latem operacja antyterrorystyczna nieco poprawiła sytuację, ale nie był to wciąż jedyny problem. Przez Irak od jesieni 2019 r. zaczęły się bowiem przetaczać krwawe protesty antykorupcyjne. Ponadto do irackiego Kurdystanu przeniosła się wojna między Turcją a Partią Pracujących Kurdystanu (PKK), prowadzącą od lat 80. partyzancką walkę przeciwko Ankarze.

Im bliżej wizyty papieża w Iraku, tym więcej jest powodów do niepokoju. 21 stycznia ISIS zdołało przeprowadzić w Bagdadzie najbardziej krwawy od trzech lat zamach, w którym zginęły 32 osoby, a 110 zostało rannych. Z kolei w pierwszej połowie lutego Turcja przeprowadziła nieudaną operację w górach irackiego Kurdystanu przeciwko PKK. Wprawdzie zakończyła się ona 15 lutego, a przedstawiciele władz Kurdystanu zapewniali, że walki toczą się na tyle daleko od Irbilu, iż nie wpłynie to na bezpieczeństwo papieża, niemniej tego samego dnia (tj. 15 lutego) na tamtejsze międzynarodowe lotnisko spadło kilka pocisków typu Katiusza. Zginęła jedna osoba, a kilka zostało rannych. A to jeszcze nie wszystko, bo w znajdującym się w sąsiedniej prowincji Niniwa Sindżarze trwa koncentracja oddziałów szyickich, które przygotowują się do odparcia ewentualnej inwazji tureckiej.

Z całą pewnością pielgrzymki nie zakłócą proirańskie oddziały szyickie, które już w przeszłości dbały o swój wizerunek „wspierających chrześcijan". Rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana, choć dla chrześcijan z Niniwy, którzy po wyparciu ISIS wracali do swoich zrujnowanych domów, obecność Haszed Szaabi na tych terenach była poniekąd mniejszym złem. To właśnie te oddziały wyparły ISIS w latach 2016–2017 z wielu chrześcijańskich miasteczek, co pozwoliło tamtejszym mieszkańcom na powrót, ale jednocześnie spowodowało obwieszenie tych terenów szyickimi transparentami, w tym wizerunkami irańskich ajatollahów.

PAPIEŻ ZATRZYMA EXODUS?

Chrześcijaństwo jest obecne w Iraku od czasów apostolskich. W VIII w. zgodnie z legendą to nestoriański mnich przekazał abbasydzkiemu kalifowi Mansurowi przepowiednię, która skłoniła go do założenia Bagdadu. Nestorianizm, czyli Kościół Wschodu, powstał w wyniku schizmy po soborze efeskim w 431 r. na tle sporu o odrębność boskiej i ludzkiej natury Jezusa. W 1552 r. w Kościele Wschodu doszło jednak do kolejnej schizmy, po której jego część zawarła unię z Rzymem, tworząc Chaldejski Kościół Katolicki z patriarchą Babilonu na czele. Obecnie jest nim rezydujący w Bagdadzie Louis Raphaël I Sako, który w 2018 r. został podniesiony przez Franciszka do godności kardynalskiej. Właśnie do Kościoła chaldejskiego należy większość miejscowych chrześcijan, choć są też inne denominacje.

Jednym z celów papieskiej pielgrzymki ma być zatrzymanie exodusu chrześcijan z Iraku. Premier Iraku wzywał przy tym niedawno chrześcijan, którzy wyemigrowali, do powrotu. Na razie bezskutecznie, ale głos papieża rozbrzmiewający w miejscach, gdzie niegdyś społeczność chrześcijańska była bardzo liczna, być może coś zmieni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. FAMILY LIFE INTERNATIONAL NZ

Z Johnem-Henrym Westenem, redaktorem naczelnym portalu Life Site News
rozmawia Piotr Włoczyk

Polacy, szykujcie się na kłopoty

PIOTR WŁOCZYK: W lutym YouTube całkowicie usunął profil prowadzonego przez pana portalu Life Site News (LSN). Tym sposobem w języku angielskim coraz większą karierę zaczyna robić neologizm „deplatformowanie" (ang. deplatforming).

JOHN-HENRY WESTEN: Niestety, tak wygląda nasza nowa rzeczywistość, w której konserwatywne, katolickie treści usuwane są z największych platform społecznościowych. To najbardziej jaskrawy przykład tzw. kultury unieważniania (ang. cancel culture), czyli po prostu wykluczania ludzi o innych poglądach. Obecnie głośno jest o sytuacji prowadzonego przeze mnie LSN, ale ten problem dotyka przecież wiele innych mediów i instytucji promujących tradycyjne wartości. Kiedy lewicowi giganci zablokowali w mediach społecznościowych prezydenta USA, wiedzieliśmy, że zaczyna się nowy etap ataku na prawicę. Byliśmy na YouTube od dekady. Od dwóch lat mocno rozwijaliśmy ten kanał komunikacji z odbiorcami. Niemal przez cały ten czas nie mieliśmy problemów, ale wszystko się zmieniło po wyborze Bidena.

Za Baracka Obamy to nie wyglądało tak źle. Dlaczego dopatruje się pan związku między wyborem Bidena a nasileniem się blokad?

Bo rewolucja przyspiesza, a giganci czują, że będą jeszcze bardziej bezkarni. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że po wyborze Bidena to my znajdziemy się na celowniku wielkich korporacji medialnych, takich jak Google (właściciel YouTube), Facebook czy Twitter. Jak widać, puściły już wszystkie hamulce, te korporacje przestały się przejmować jakimikolwiek pozorami.

YouTube tłumaczył, że wasze konto zostało zawieszono, ponieważ LSN miał siać na tej platformie „medyczną dezinformację". Czytelnikom należy się tu słowo wyjaśnienia: na pana portalu ukazują się materiały krytykujące sensowność lockdownów, a także promują państwo głosy bardzo sceptyczne wobec szczepień przeciw koronawirusowi.

Tak widzimy naszą misję. Publikujemy opinie lekarzy, którzy mają wątpliwości na temat szczepionek na koronawirusa, które – co nie jest tajemnicą – były testowane w ekspresowym tempie. To na swój sposób zabawne, że szefowie YouTube wiedzą lepiej, co można mówić na temat koronawirusa, a czego mówić nie można. Zabijamy debatę, wyrzucamy na śmietnik krytyczne myślenie, jeżeli nie można pokazać opinii ekspertów, którzy mają wątpliwości na temat.

Nie możemy tego traktować jak religii, skoro tysiące lekarzy mówi wprost, że lockdowny przynoszą naszemu zdrowiu więcej szkód niż pożytku.

W jakim sensie?

Spójrzmy na statystyki. Liczba samobójstw idzie w górę, tak samo jak przypadki maltretowania dzieci. A co z leczeniem raka? Z powodu lockdownów diagnostyka nowotworowa kompletnie leży. Ewidentnie więc lekarstwo jest dużo gorsze niż sama choroba. I nikt rozsądny nie mówi, że koronawirus to żadne niebezpieczeństwo. Trzeba jednak do tego podchodzić rozsądnie. Reakcje rządów na koronawirusa są wyniszczające nie tylko dla gospodarek, lecz także dla zdrowia społeczeństw. My po prostu nie boimy się debaty na ten temat.

NARAL Pro-Choice America, jedna z największych lobbingowych organizacji proaborcyjnych, napisała w oświadczeniu dotyczącym wyrzucenia pana portalu z YouTube, że „to zwycięstwo przyszło zbyt późno".

Trudno się dziwić ich radości. Nie oszukujmy się – prawdziwym powodem zlikwidowania konta była nasza postawa wobec aborcji i wartości rodzinnych. Opowiadamy się za wszystkim tym, co nie mieści się w głowach ludziom zarządzającym tymi molochami społecznościowymi. Google, Facebook i Twitter są skrajnymi entuzjastami „prawa do aborcji", a także są przeciw tradycyjnym

eprasa.pl 2c0af773a0

wartościom rodzinnym. Ten zestaw przekonań to dla nich religia, więc w oczywisty sposób chcą szerzyć tę swoją antyewangelię. I takie są efekty.

Smutne w tym wszystkim jest to, że Ameryka rozpina nad tymi korporacjami parasol ochronny, którego nie powinny one mieć. Te wielkie platformy są w USA właściwie poza zasięgiem pozwów. Twierdzą, że nie są agencjami informacyjnymi, a tylko pośredniczą w wymianie opinii i nie ingerują w to, o ile wszystko jest legalne. Kiedy jednak cenzurują materiały, które są jak najbardziej legalne, wtedy ewidentnie zachowują się jak agencje informacyjne i powinna istnieć możliwość pozwania ich do sądu, tak samo jak nas. To się musi zmienić.

Cenzura w Internecie to dla pana nie pierwszyzna, choć do tej pory jej skala była jednak inna.

To prawda. Nie od wczoraj jesteśmy cenzurowani przez gigantów społecznościowych. Twitter wielokrotnie zawieszał nasze konto, w jednym przypadku aż na pół roku. Dlaczego tak się stało? Ponieważ dokonaliśmy jednej z najgorszych „zbrodni" w oczach lewackich korporacji. Zignorowaliśmy wezwania Twittera, by nazywać ludzi tak, jak sobie tego życzą, i zamiast tego napisaliśmy, że mężczyzna pozostaje mężczyzną, nawet jeżeli twierdzi, iż jest kobietą. Zawsze tak robimy i nie ma takiej siły, która zmusiłaby nas do zaakceptowania ideologii, dla której biologia nic nie znaczy.

Jak źle jest pod tym względem na Facebooku?

Nie sposób zliczyć, ile razy nas tam cenzurowano. Facebook nie usunął jeszcze naszego profilu, ale regularnie opatruje nasze materiały tekstami w stylu: „Fałszywe informacje". Czasem nie pozwala dzielić się naszymi artykułami, co oczywiście ogranicza nasz zasięg. To nauczyło nas bardzo ważnej rzeczy. W języku angielskim mamy powiedzenie: „Nie buduje się domu na ziemi należącej do kogo innego". Obecnie mamy konta właściwie wszędzie, wiedząc, że giganci mogą nas w każdej chwili wyrzucić ze swojej „ziemi".

Czy takie platformy jak np. Parler rzeczywiście mogą być odpowiedzią na ten problem?

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Parler zanotował wręcz astronomiczny wzrost, ale to raczej nie jest systemowa odpowiedź na problem cenzury. Pamiętajmy bowiem, że takim firmom grozi wykupienie. Cenzorzy nie tolerują konkurencji. Trzeba promować bezpośrednie wchodzenie na strony, którym ufamy. Może kiedyś sami zbudujemy własną platformę społecznościową? To by było najlepsze rozwiązanie, ale potrzeba na to ogromnych funduszy.

Gdzie jest granica cenzury w mediach społecznościowych?

Coraz więcej konserwatywnych mediów będzie stamtąd wyrzucanych, ale na pewno zostaną tam takie redakcje, które idą na kompromisy. Amerykańska lewica kocha katolików, którzy „nawracają się" na lewicowe postulaty. Najlepszym przykładem jest Joe Biden, który nie ma problemu z przyznawaniem się do katolicyzmu, ale równocześnie popiera wszystkie najważniejsze lewackie szaleństwa, łącznie z „prawem do aborcji" aż do urodzenia. Z kolei przykładem mediów, którym na pewno nic nie grozi ze strony gigantów, jest choćby magazyn „America" wydawany w USA przez jezuitów. To medium nigdy nie będzie miało problemów, bo poszło na kompromis z lewicą. Tak samo słynny o. James Martin też nie zostanie zbanowany, bo jego poglądy na temat LGBT bardzo cieszą szefów mediów społecznościowych.

Zniknięcie LSN z Facebooka czy Twittera byłoby dla was – jak podejrzewam – tym boleśniejsze, że docieracie w ten sposób do ludzi o innych poglądach. A to przecież ważniejsze od przekonywania osób już przekonanych.

Oczywiście, używamy Facebooka i Twittera, żeby szerzyć prawdę. Zawsze namawiam pro-liferów do angażowania się, do dialogowania z lewicą, do pokazywania, że życie jest święte, a tradycyjna rodzina to najlepsze środowisko do życia.

Ale w tej drugiej sprawie nie mogę się z panem zgodzić. Równie ważne jest ciągłe apelowanie do sumień tych, którzy są „przekonani", bo to się może zmienić w każdej chwili. Widzimy potęgę „nowej moralności", jak ludzie odchodzą od Kościoła, jak małżonkowie się zdradzają, jak można zagłuszyć krzyk własnego sumienia w sprawie aborcji. Często dostaję pytania w stylu: „Czy jako katolik mogę iść na ślub mojego syna, który jest homoseksualistą?". Nie można zakładać, że ktoś, kto chodzi do kościoła, nie zacznie błądzić. Trzeba przypominać wszystkim dookoła, że w kwestiach fundamentalnych nie wolno nam iść na kompromisy.

Jak z pańskiej perspektywy wyglądają pierwsze tygodnie rządów Joe Bidena? Jaka będzie ta prezydentura?

Zaczęło się dziać to wszystko, czego się obawialiśmy i przed czym przestrzegaliśmy przed wyborami, poczynając od popierania genderowego szaleństwa w szkołach podstawowych. Niestety, z wielką przykrością muszę powiedzieć, że amerykańscy biskupi w większości stanęli po stronie Bidena, przeciwko Trumpowi. Kościół w Ameryce niestety bardzo błądzi. Ci biskupi być może myśleli, że nie będzie tak źle, skoro prezydent przyznaje się do katolicyzmu. Kiedy w listopadzie zeszłego roku arcybiskup metropolita waszyngtoński Wilton Gregory pojechał do Rzymu, by otrzymać od papieża Franciszka kapelusz kardynalski, powiedział, że Biden to katolik i nie odmawiałby mu Komunii Świętej! Czy można wyobrazić sobie coś bardziej jawnie antychrześcijańskiego jak promowanie aborcji jako prawa człowieka? Tym bardziej że Biden naciska też na inne kraje w tej sprawie.

W Polsce prawo antyaborcyjne zostało właśnie zaostrzone. Polacy powinni się spodziewać w tym kontekście problemów ze strony nowej administracji?

Szykujcie się na poważne problemy. Aborcja i prawa LGBT to dziś dla demokratów absolutne priorytety. Szczególnie aborcja, która stała się dla tych ludzi czymś w rodzaju świeckiego sakramentu...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

John-Henry Westen – jest kanadyjskim publicystą katolickim, współtwórcą i redaktorem naczelnym portalu Life Site News zajmującego się tematyką pro-life i ochrony rodziny.

eprasa.pl 2c0af773a0

Odejście kardynała

Tomasz Rowiński

To, jak wiele emocji wzbudziło odejście Roberta Saraha, świadczy o tym, jak ważną postacią w Kościele stał się kardynał, który ostrzegał przed ekspansją islamu, plagą aborcji oraz instytucjonalizacją homoseksualizmu

Gwinejski hierarcha przez lata swojej posługi na stanowisku prefekta Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów wyrósł na prawdziwego duchowego przewodnika dla rzesz katolików rozumiejących, że tendencje rewolucyjne przenikające Kościół to droga w złą stronę.

Odejście Saraha z zajmowanego stanowiska nie jest niczym zaskakującym. W czerwcu 2020 r. ukończył 75 lat i złożył dymisję, co jest zwyczajną drogą, jeśli chodzi o posługę na kościelnych urzędach. Kardynał Sarah choć nie otrzymał oficjalnego przedłużenia misji, to jednocześnie realnie pracował osiem dodatkowych miesięcy w niełatwych dla liturgii czasach ograniczeń sanitarnych. Teraz, gdy Gwinejczyka już nie ma w kurii, pojawiły się głosy budujące obraz kard. Saraha jako konkurenta i rywala papieża Franciszka, który musiał odejść.

Na łamach „The Wall Street Journal" Francis X. Rocca wymienia „dowody" na to, że afrykański kardynał został usunięty. Autor zauważa, że przecież wielu kardynałów pracuje w Watykanie dłużej niż do 75. roku życia, przypomina o rzekomym konflikcie pomiędzy Sarahem i Franciszkiem w sprawie kapłaństwa dla żonatych mężczyzn, mówi też o innym stosunku papieża i kardynała do homoseksualizmu, liturgii oraz islamu. Jednak to, co Rocca kreśli ostrą kreską, w rzeczywistości jest zniuansowane, a nawet nieoczywiste.

Zresztą nie trzeba szukać takich komentarzy za oceanem. Wirtualna Polska poinformowała czytelników, że odchodzi postać „kontrowersyjna". Powodem tej kontrowersyjności miałby być „konserwatyzm" Saraha polegający na tym, że kardynał ostrzegał przed ekspansją islamu, plagą aborcji, a instytucjonalizację homoseksualizmu określił mianem cywilizacyjnego regresu. Materiał WP ma zresztą inne smaczki – można z niego wywnioskować, że odejście Saraha z kongregacji należy przyjąć z ulgą, ponieważ Gwinejczyk jakoby stracił z tego powodu szansę na zostanie w przyszłości papieżem, a to sprawy bez związku. Czytelnik może też zrozumieć, że kard. Sarah oszukał Benedykta XVI, czyniąc go współautorem książki „Z głębi naszych serc", którą napisali w obronie celibatu kapłańskiego. O tym, że kardynał przedstawił uwiarygadniającą go korespondencję z Benedyktem XVI, o tym, że wkład tego ostatniego w książkę wcale nie był mały, czy że na papieża seniora wywierano naciski, niczego się nie dowiemy.

NARRACJA LIBERAŁÓW

Jest w tym pewien paradoks. Jeszcze za czasów pontyfikatu Benedykta XVI można było przeczytać w publicystyce katolickiej o nadziejach, jakie Kościół powinien wiązać z wierzącymi, którzy przyjdą ze wschodzących ludów chrześcijańskich. Kiedy ci się rzeczywiście pojawili – na synodach czy w kongregacjach – mówi się im, żeby siedzieli cicho, jak to zrobił kilka lat temu kard. Kasper, lub żegna się ich, jak gdyby odchodzili w niesławie. Rzeczywistość dotycząca kard. Saraha jest zupełnie inna niż cytaty podawane za Agencją Reutera czy dziennikiem „Daily Mail", świeckimi mediami powtarzającymi zręczne narracje kościelnych liberałów, według których Sarah i ci, którzy go słuchają, to grupy skrajne i przeznaczone do marginalizacji.

Kardynał Robert Sarah pracował w Kurii Rzymskiej od roku 2001, kiedy to św. Jan Paweł II mianował go prefektem ds. ewangelizacji narodów, w latach 2010–2014 szefował Papieskiej Radzie Cor Unum zajmującej się działaniami humanitarnymi. Szefem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów mianował Saraha nie kto inny, jak sam papież Franciszek. Czy to oznacza,

eprasa.pl 2c0af773a0

Kardynał Robert Sarah pracował w Kurii Rzymskiej od roku 2001, kiedy to św. Jan Paweł II mianował go prefektem ds. ewangelizacji narodów

FOT. PIERPAOLO SCAVU/ZZO/EIDON/MAXPPP/FORUM

że współpraca papieża i kardynała układała się bezkonfliktowo? Oczywiście, że nie, jednak jest oczywiste, że dziś obraz tych relacji wyostrza się i przemalowuje na niekorzyść kardynała. Sytuację dość jawnego napięcia można było obserwować, gdy kard. Sarah ogłosił, że trzeba wrócić do idei „reformy reformy" papieża Benedykta. Chodziło o to, by nową liturgię katolicką, nieco sztucznie wypreparowaną przez papieską komisję po Soborze Watykańskim II, nasycić elementami liturgii przedsoborowej i wzmocnić jej sakralność. Sarah konkretnie zaproponował, by od Adwentu A.D. 2016 księża starali się odprawiać ad orientem. Potocznie – tyłem do ludu, w tradycji Kościoła, razem ze wszystkimi wiernymi w stronę Boga obecnego na ołtarzu i w tabernakulum.

Papież tę inicjatywę Roberta Saraha spacyfikował, wezwał kardynała na rozmowę, którą ówczesny rzecznik Watykanu ks. Federico Lombardi uznał za niebyłą. Dalszą reakcją były kadrowe zmiany w Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. A jednak sam kard. Sarah został na stanowisku, a przecież nie musiało tak się stać, co pokazują losy innego ratzingerysty na wysokim stanowisku, czyli kard. Gerharda Müllera, byłego prefekta Kongregacji ds. Nauki Wiary. Pozycja Saraha, choć od tamtego czasu była nieco izolowana, równocześnie okazała się odskocznią sprzyjającą pracy twórczej. Książki, które wydał od tego czasu kardynał, zdobyły popularność i wzmocniły, chętnie przyjmowany przez wielu katolików, autorytet Gwinejczyka. Co ważne, w czasie swojej posługi Sarah nie zachowywał się nielojalnie wobec papieża Franciszka, nie użalał się nad swoją sytuacją, jak to zdarzyło się Müllerowi. Można zatem powiedzieć, że pomimo różnic w opiniach Franciszek miał na tyle dużo zaufania do Saraha, że zostawił go na stanowisku w trudnym okresie sanitarnego reżimu, gdy Kościół musiał wypracować nadzwyczajne metody działania. Można oczywiście sądzić, że gdyby Sarah należał do bliskiego kręgu ludzi papieża, zostałby w kongregacji dłużej. To jednak tylko gdybania.

Następca kard. Saraha nie został przedstawiony zaraz po jego dymisji, co raczej oznacza, że papież nie prowadził jakiejś dynamicznej akcji przeciw Gwinejczykowi i tradycjonalistom, z którymi kardynał bez wątpienia sympatyzuje. Czy to znaczy, że takiej akcji nie będzie w przyszłości – tego nie wiadomo, wszak Franciszek jest papieżem niespodzianek – na dobre i złe. Relacje papieża i kardynała z perspektywy czasu wydają się po prostu niejednoznaczne, np. kiedy obserwuję obecny sprzeciw Stolicy Apostolskiej wobec pewnych pomysłów Kościoła w Niemczech dotyczących majstrowania przy kapłaństwie sakramentalnym, nabieram podejrzeń, że np. książka Saraha i Benedykta XVI w obronie celibatu kapłańskiego po synodzie amazońskim mogła być Franciszkowi na rękę. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się on niechętny, by manipulować przy święceniach. Co zatem z medialną nagonką na jej autorów? Mogła być ona elementem gry, jaką przeciwko „konserwatystom" część mediów prowadzi od lat. Równocześnie przypisując papieżowi zawsze najbardziej rewolucyjne interpretacje jego działań, tak by stanowisko tradycyjnie katolickie wyglądało na antypody pozycji przyjmowanych przez papieża. Odważna akcja Saraha z końca roku 2019, gdy wydano „Z głębi naszych serc", pokazała jawnie złą wolę, a nawet kłamstwa postępowych klakierów papieża.

„BÓG I NIC"

Czy niedawna dymisja to koniec kariery afrykańskiego kardynała, który jest właściwie katolikiem w pierwszym pokoleniu? Przypomnijmy, że urodził się on w maleńkiej wiosce przy granicy z Senegalem, został ochrzczony dopiero w wieku dwóch lat, gdy decyzję o staniu się katolikami podjęli jego rodzice. Swoją podstawową formację zawdzięcza gorliwości księży ze Zgromadzenia Ducha Świętego, którzy pracowali w regionie jego zamieszkania. W książce „Bóg i nic" Sarah pisał: „Ci ludzie Boga zgadzali się na wielkie ofiary i podejmowali wiele wyrzeczeń, bez słowa skargi, z niewyczerpaną wielkodusznością […]. Opuścili Francję, swoje rodziny i bliskich, żeby zanieść miłość Boga na krańce świata […]. Chcę złożyć hołd ofiarnemu darowi ze swojego życia, ascezie, pokorze tych zakonników […]. Odnajdowałem [u nich] owo pragnienie głębokiego poszukiwania Chrystusa w trwaniu na co dzień serce przy sercu. Sposób, w jaki nawiązywali kontakt z ludnością, był wzorem delikatności i inteligencji praktycznej. Bez zażyłej bliskości z Niebem zadanie misyjne nie mogłoby przynosić owoców […]. Moi rodzice uwierzyli w Boga, gdyż byli olśnieni żywotnością świadectwa francuskich misjonarzy". Ten sam duch zdaje się być drogowskazem kard. Saraha także w jego dojrzałym życiu.

Nie sądzę, by kard. Robert Sarah postrzegał swoją posługę jako karierę. Można sądzić, że dla Saraha ważniejszy jest Kościół, w którym trwają pogłębiona duchowość, życie etyczne, ukierunkowanie na służbę Bogu, wreszcie przylgnięcie do Chrystusa jako Zbawiciela niż Kościół wewnętrznie rozpolitykowany, rozdzierany walkami o środki i władzę. Jest on kimś, kto wydaje się przekonany, że Kościół posiada niezbędne środki do osiągnięcia swojego celu – doprowadzenia ludzi do zbawienia, a majstrowanie przy tych środkach – według oczekiwań świata – przyniesie raczej szkodę niż pożytek. Niemniej jednak jeszcze przez ponad cztery lata, czyli do 80. roku życia, kard. Sarah pozostanie potencjalnie ważną postacią ewentualnego konklawe. Konklawe zaś zawsze jest pewną tajemnicą, wiele razy okazało się niespodzianką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. VIETNAM NEWS AGENCY/HANDOUT/GETTY IMAGES

PODWÓZKA AIR FORCE ONE

Doradca Donalda Trumpa Matthew Pottinger zdradził w rozmowie z BBC, że były prezydent zszokował dyplomatów podczas spotkania z dyktatorem Korei Północnej. Na koniec spotkania Trump złożył Kim Dzong Unowi propozycję podwiezienia go Air Force One do domu. Wiedział, że Kim z Hanoi ma wracać pociągiem, co oznacza wielogodzinną podróż. Rzucił więc: „Mogę odwieźć cię do domu, jeśli chcesz". Kim Dzong Un z propozycji nie skorzystał.

BEZPRAWNIE, ALE LEGALNIE

Rządy na różne sposoby próbują „walczyć z pandemią". W Holandii władze uznały, że dobrą metodą będzie wprowadzenie godziny policyjnej – pierwszy raz od drugiej wojny światowej. Wywołało to olbrzymie protesty. Grupa protestujących zaskarżyła decyzję rządu do sądu. Haski sąd stwierdził, że godzina policyjna „jest daleko idącym naruszeniem prawa do swobodnego przemieszczania się i prywatności" oraz pośrednio ogranicza prawo do zgromadzeń. Natomiast chwilę później sąd apelacyjny uznał, że specustawa pozwala rządowi wprowadzać godzinę policyjną, bez konieczności przechodzenia procesu legislacyjnego. Nie wiadomo, co Holendrzy z tego zrozumieli.

UCZYLI ROBIĆ BOMBY I ZGINĘLI

W meczecie w afgańskiej wiosce w prowincji Balch doszło do silnej eksplozji. Tak zakończyła się sesja szkoleniowa, w której brało udział sześciu ekspertów od konstrukcji bomb. Eksperci ci mieli dzielić się wiedzą z innymi. Po efekcie szkolenia można zakładać, że co najmniej jeden ze specjalistów przeceniał swoje możliwości. W sumie w eksplozji zginęło ok. 30 osób.

CHCIAŁ BYĆ MAGNETYCZNY

12-latek z Wielkiej Brytanii trafił na stół operacyjny, bo połknął 54 magnesy. Przyznał się, że chciał sprawdzić, czy w ten sposób jego ciało stanie się „magnetyczne" i zacznie przyciągać metale.

NAGŁE POSTARZENIE

Tylko celebryci mają łatwiej i mogą – dzięki zaprzyjaźnionym rektorom i innym – wcisnąć się w kolejkę do szczepień. Inni muszą się nakombinować. 34- i 44-latki z Florydy (USA) przebrały się za staruszki i stawiły się w ośrodku wykonującym szczepienia. Chciały w przyspieszony sposób, „na babcię", otrzymać drugą dawkę szczepionki. Zostały jednak zdemaskowane i przekazane policji. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ojcowie z prawem weta?

W amerykańskim stanie Tennessee prawodawcy z Partii Republikańskiej zgłosili niedawno projekt nowego prawa, które – jeśli zostanie zaakceptowane – da biologicznym ojcom nienarodzonych jeszcze dzieci prawo do zgłoszenia wiążącego prawnie sprzeciwu, jeżeli ich partnerka chciałaby usunąć ciążę.

Dlaczego ojciec nie ma mieć nic do powiedzenia, jeśli matka chce zabić jego nienarodzone dziecko w sytuacji, gdy on bardzo chciałby, aby jego potomek jednak przyszedł na świat? To pytanie w ostatnich latach zadawali głośno prawnicy, filozofowie oraz politycy w wielu krajach globu. W większości państw rozwiązania dotyczące problematyki aborcyjnej mówią jedynie o uprawnieniach matki z zupełnym pominięciem ojców. Pod koniec XX w. mężczyźni wielokrotnie próbowali jednak wywalczyć prawo do weta przed brytyjskimi sądami. Bezskutecznie. Podobnie na niekorzyść bezwolnych samców orzekały sądy amerykańskie, stojąc na stanowisku, że matka nie musi nawet powiadamiać ojca o tym, że zdecydowała się zabić wspólne dziecko.

Oczywiście proaborcyjne aktywistki w Tennessee natychmiast uznały proponowane przepisy za „ekstremalne" i „niekonstytucyjne". Ponadto wszelkiej maści „adwokatki równouprawnienia" w różnych krajach świata nie widzą nic dziwnego w tym, że w większości państw ojcowie nie mogą po prostu zrezygnować z ojcostwa nienarodzonych dzieci i czy chcą, czy nie, muszą przez lata płacić alimenty na wychowanie niechcianego potomka, nawet jeżeli w danym kraju aborcja jest legalna i jeśli ojcowie zadeklarowali, że absolutnie nie chcą narodzin dziecka. W świecie lewaków nigdy nie było jednak logiki. I to dlatego właśnie prawo do obrony życia jest dziś przez proaborcjonistki uważane za „ekstremalne". ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Nowoczesne budownictwo mieszkaniowe – plany deweloperów na rok 2021

Bartosz Dąbrowski

Prefabrykacja i budownictwo modułowe na dobre zagościły już w dyskusjach dotyczących nowoczesnych rozwiązań w budownictwie. Obok odnawialnych źródeł energii, ładowarek do samochodów elektrycznych i innych zielonych rozwiązań jest jednym z najczęściej poruszanych tematów na wszelkiego rodzaju konferencjach branżowych.

Innowacyjne technologie przyciągają projektantów, inwestorów, deweloperów i wykonawców, zwłaszcza że budownictwo od wielu lat uważane jest za konserwatywne i mało postępowe. Co zwraca uwagę specjalistów branżowych? Przede wszystkim możliwość skrócenia czasu realizacji, zwiększenia parametrów jakościowych, a co za tym idzie – ograniczenia kosztów. Jest to dzisiaj kluczowe, ponieważ według wszystkich statystyk w Polsce brakuje mieszkań.

PREFABRYKACJA 2.0

Według najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2020 roku zostało oddanych do użytkowania 222 tys. mieszkań, czyli najwięcej od 1980 r. Swój udział miała w tym również technologia prefabrykacji, bo według szacunków już około 9 proc. mieszkań zostało wybudowanych przy wykorzystaniu tej technologii. Zwiększenie udziału prefabrykacji w realizacjach mieszkaniowych wydaje się zatem jedyną szansą na znaczne podniesienie tego wskaźnika. Warto przypomnieć, że prefabrykacja była obecna w Polsce już od lat 60. i zasadniczo spełniła swoje zadanie – dostarczyła dużej ilości mieszkań w krótkim czasie i do dzisiaj nie został pobity rekord z roku 1978, kiedy to do użytkowania zostało oddanych blisko 284 tys. mieszkań – z czego znaczna część właśnie w technologii pełnej prefabrykacji.

Korzyści wynikające z zastosowania technologii modułowych i prefabrykacji przekonały już wielu wykonawców i inwestorów, a zalety – takie jak przyśpieszenie realizacji budowy, redukcja kosztów robocizny i materiałów czy zapewnienie najwyższej jakości produkcji elementów w fabryce – pozwalają na maksymalizację zysków zarówno dla inwestora, wykonawcy, jak i w efekcie dla końcowego klienta, gdyż mieszkania wybudowane w prefabrykacji w końcowym rozrachunku mogą być po prostu tańsze.

Na rynku są już gotowe systemy projektowania budynków mieszkalnych w prefabrykacji, które jeszcze bardziej upraszczają i przyspieszają realizację inwestycji. Jednym z takich systemów jest „System budowy mieszkań HM" stworzony przez spółkę HM Factory należącą do Grupy Inwest. System ten charakteryzuje się gotowym zestawem elementów prefabrykowanych, które w łatwy sposób można wykorzystać w każdej inwestycji. Ponadto w jego skład wchodzą dwa typy gotowych budynków mieszkalnych, które każdy inwestor czy deweloper może wykorzystać na swojej działce na zasadzie „open source".

SKOK TECHNOLOGICZNY

Polska mimo stosunkowo niewielkiego odsetka wykorzystania nowoczesnych technologii w projektach budowlanych nie musi się wstydzić swoich referencji. Zrealizowanych budynków mieszkalnych czy takich w trakcie budowy i wykonanych w najnowocześniejszych technologiach nie trzeba już szukać za granicą.

Takie obiekty można zobaczyć zarówno w Warszawie, Poznaniu, Katowicach, jak i w Gdańsku. Dobrym przykładem jest obecnie powstająca dzięki współpracy instytucji Państwowych z firmami prywatnymi inwestycja w Toruniu, gdzie PFR Nieruchomości wraz z Pekabex S.A. realizuje w ekspresowym tempie 320 mieszkań z wykorzystaniem technologii prefabrykacji. Z kolei spółka ARP Prefabrykacja, która została powołana dzięki współpracy Agencji Rozwoju Przemysłu S.A. oraz HM Factory Sp. z o.o., w 2022 otworzy najnowocześniejszą fabrykę elementów prefabrykowanych. Fabryka będzie zlokalizowana w województwie świętokrzyskim i docelowo produkowane w niej elementy mają być dostarczane również dla rządowego programu Mieszkanie Plus. Wysoka wydajność i automatyzacja pozwolą na produkcję elementów niezbędnych do budowy około 4 tys. mieszkań rocznie, a linie technologiczne mają być jednymi z najnowocześniejszych w Europie.

Te przykłady pokazują, że budownictwo ocknęło się z letargu i przeżywa obecnie prawdziwy skok technologiczny. Polska ma szansę dokonać ogromnego postępu w tej dziedzinie, gdyż od lat możemy się szczycić sukcesami w nowoczesnych technologiach wykorzystywanych w budownictwie, takich jak prefabrykacja betonowa, produkcja i eksport gotowych konstrukcji stalowych, rozwój fabryk gotowych modułów mieszkalnych czy łazienek prefabrykowanych. Czas wykorzystać know-how i kompetencje przez lata budowane na rynku zagranicznym i stać się liderem nowoczesności na własnym podwórku.

MATERIAŁ PARTNERA

Grupa Inwest
HM FACTORY Sp. z o.o.

eprasa.pl 2c0af773a0

Zuckerberg niczym Kim Dzong Un?

Jacek Przybylski

Gdy rząd Australii spróbował prawnie zmusić Facebooka i Google do opłat za treści od lokalnych wydawców, platforma społecznościowa wytoczyła najcięższe działa i... ocenzurowała cały kontynent. Za pomocą bezprecedensowej blokady portal zmusił Australię do ustępstw, ale wizerunkowo sromotnie przegrał

W ostatnich latach imperium Zuckerberga zdobyło tak ogromną władzę, że stało się potężniejsze nie tylko od lokalnych czy narodowych mediów, lecz także – w wielu przypadkach – od wybieranych w demokratycznych wyborach polityków. Tak aroganckiego zachowania technologicznego giganta, jakie świat mógł obserwować w Australii, nie pamiętają jednak nawet najstarsi internauci. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, korzystający z usług Facebooka zostali pozbawieni dostępu nie tylko do treści na profilach australijskich portali informacyjnych, lecz także do informacji na niektórych rządowych stronach, w tym tych, które publikują ważne informacje zdrowotne, meteorologiczne oraz alerty służb ratunkowych. Na krótko blokada wprowadzona przez Facebooka dotknęła również niektóre strony edukacyjne oraz instytucje pomocy społecznej, które za pośrednictwem największej platformy społecznościowej na żywo transmitowały swoje treści. Użytkownicy Facebooka w Australii stracili także dostęp do wiadomości zagranicznych mediów, co znacząco ułatwiało działalność autorom wszelakich „fake newsów".

Rzecznik Facebooka oznajmił, że firma zdecydowała się zablokować na swojej platformie treści publikowane przez media w Australii ze względu na przepisy w projekcie ustawy procedowanej przez parlament tego kraju, stosując „szeroką definicję" treści newsowych.

Przedstawiciel Facebooka oznajmił także, że brak dostępu do wszystkich wiadomości był reakcją na zawarte w ustawie „fundamentalne nieporozumienie" dotyczące relacji między firmą a wydawcami prasy.

ANTYSPOŁECZNOŚCIOWY „FACEBLOCK"

„Nie damy się zastraszyć Big Techowi" – przekonywał w połowie lutego premier Australii Scott Morrison, którego rząd przygotował projekt ustawy mający zmusić takich internetowych gigantów jak Facebook i Google do płacenia wydawcom za korzystanie z ich treści. Projekt ustawy nakazywał im podpisywanie umów licencyjnych z wydawcami, a w razie braku możliwości osiągnięcia porozumienia przewidywał państwowy arbitraż, który wyznaczyłby finansowe warunki współpracy.

Australijskie władze tłumaczyły, że zmiana prawa jest potrzebna, ponieważ

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. ANDREAS GEBERT/REUTERS/FORUM

amerykańscy giganci internetowi mają nieproporcjonalnie duży udział w dochodach z reklam internetowych.

Premier Morrison podkreślił, że decyzja Facebooka o tym, aby „odprzyjaźnić" Australię, była „równie arogancka, co rozczarowująca". „Te działania tylko potwierdzają obawy wyrażane przez rosnącą liczbę krajów na temat zachowania firm Big Tech, które myślą, że są większe niż państwa i że zasady nie powinny ich obowiązywać. Firmy te mogą rzeczywiście zmieniać świat, ale to nie znaczy, że mają tym światem rządzić" – napisał Morrison w komunikacie… opublikowanym 17 lutego na swoim profilu na Facebooku. Największy na świecie portal społecznościowy odwiedza bowiem każdego miesiąca ok. 17 mln Australijczyków.

Premier Australii Zachodniej Mark McGowan oskarżył Facebook o „zachowanie w stylu dyktatora Korei Północnej". Premier Morrison wezwał także szefów technologicznego giganta do konstruktywnej współpracy z władzami oraz poinformował, że w tej sprawie jest w stałym kontakcie z przywódcami innych narodów. Arogancki ruch Facebooka bez wątpienia sprawił bowiem, że portal poniósł wizerunkowe straty nie tylko w Australii.

– To jedno z najbardziej idiotycznych, ale także głęboko niepokojących posunięć korporacji w naszym życiu – powiedział Julian Knight, przewodniczący Komisji ds. Cyfrowych, Kultury, Mediów i Sportu w brytyjskim parlamencie, który w wywiadzie dla Reutersa oskarżył Facebook o działania w stylu „szkolnego dręczyciela". Jeszcze ostrzej zachowanie Facebooka skomentował David Cicilline, demokratyczny kongresmen z Rhode Island, przewodniczący podkomisji ds. regulacji antymonopolowych w Izbie Reprezentantów USA. „Grożenie rzuceniem całego kraju na kolana, aby zgodził się na warunki Facebooka, jest ostatecznym przyznaniem się do pozycji monopolisty" – napisał Cicilline na Twitterze, podkreślając, że zachowanie władz portalu pokazuje, iż firma ta „nie jest kompatybilna z demokracją".

Nawet ci, którzy po ocenzurowaniu Donalda Trumpa dali kredyt zaufania intencjom Facebooka, Twittera etc., tym razem dostali jasny dowód, że w tym biznesie – tak jak w wielu innych – nie chodzi o ideały, ale o wielkie pieniądze. Tymczasem możliwość sterowania tym, jakie informacje docierają co miesiąc do 2,5 mld osób na całym świecie, daje Facebookowi władzę, której mogą mu pozazdrościć największe mocarstwa.

Suchej nitki na blokadzie wprowadzonej przez Facebook nie zostawiły też oczywiście australijskie media. „Faceblock" czy „Żadnych lajków dla platformy antyspołecznościowej" – to tylko niektóre z tytułów, które pojawiły się na pierwszych stronach gazet. Z upływem czasu nawet wydawcy zaczęli mięknąć pod presją giganta. Błyskawicznie zmalał bowiem ruch generowany z platformy społecznościowej.

Ostatecznie, w wyniku bezprecedensowego, trwającego aż tydzień sporu z australijskim rządem w sprawie płacenia wydawcom prasy za tworzone przez nich treści Facebook zobowiązał się, że w ciągu najbliższych trzech lat zainwestuje w media informacyjne co najmniej 1 mld dol.

We wtorek platforma społecznościowa przywróciła również dostęp do treści australijskich portali informacyjnych. „Jesteśmy zadowoleni, że australijski rząd zgodził się na szereg zmian

eprasa.pl 2c0af773a0

i gwarantuje, że odpowie na nasze główne obawy dotyczące komercyjnych umów uwzględniających stosunek wartości, jaki nasza platforma zapewnia wydawcom, do wartości, jaką otrzymujemy od nich" – ogłosił Facebook.

23 lutego australijski holding Seven West Media, właściciel kilku stacji telewizyjnych, tytułów prasowych oraz serwisów internetowych, poinformował, że podpisał z Facebookiem list intencyjny w sprawie długoterminowej współpracy w zakresie treści.

Inne, bardziej ugodowe podejście do nowych przepisów pokazał drugi amerykański gigant technologiczny, czyli Google. Co prawda początkowo koncern groził, że wycofa z kontynentu wszystkie swoje usługi, włącznie z wyszukiwarką, ale jeszcze przed uchwaleniem nowego prawa przez australijską izbę zawarł porozumienie z Seven West Media, zgodnie z którym zgodził się płacić za treści wykorzystywane na swoich platformach. Amerykański gigant technologiczny zawarł również na najbliższe trzy lata umowę z należącym do rodziny Ruperta Murdocha koncernem medialnym News Corp., do którego należą nie tylko media australijskie (np. „The Australian" czy Sky News), lecz także tytuły wydawane w Stanach Zjednoczonych („The Wall Street Journal" czy „New York Post") oraz w Wielkiej Brytanii (np. „The Times" oraz „The Sun"). Nie ujawniono publicznie wysokości opłat licencyjnych ani stawek, według których Google ma dzielić się przychodami reklamowymi z koncernem News Corp.

W czwartek 25 lutego australijska izba wyższa przyjęła zaś poprawioną ustawę, z zapisami wynikającymi z kompromisu zawartego przez technologicznych gigantów. Według ministra Josha Frydenberga nowe prawo gwarantuje, że wydawcy będą „sprawiedliwie wynagradzani". Facebook i Google muszą płacić za każde wykorzystanie linku do treści informacyjnych na ich platformach. Stawki mają być indywidualnie negocjowane przez gigantów z wydawcami, a w przypadku braku porozumienia arbitrażu podejmą się australijskie władze.

DAWID KONTRA GOLIAT

To nie pierwszy spór rządów oraz wydawców o prawa autorskie i podatki z amerykańskimi gigantami, których przychody oraz zyski rosną w niesamowicie szybkim tempie. Tylko w czwartym kwartale 2020 r. koncern Alphabet – firma matka Google – osiągnął wzrost przychodów o 23,5 proc. do 56,9 mld dol. oraz wzrost zysku netto z 10,67 do 15,23 mld dol. Z samych tylko wpływów reklamowych Google uzyskał w ciągu trzech miesięcy 46,2 mld dol.

Roczne przychody koncernu Alphabet wzrosły w roku 2020 o 12,8 proc. – do 182,527 mld dol.

Coraz więcej państw, podobnie jak Australia, uważa więc, że amerykańskie koncerny powinny płacić za treści, dzięki którym zarabiają. Od kilku lat zarówno na forum Komisji Europejskiej, jak i Rady Europejskiej oraz OECD toczy się dyskusja, jak skutecznie opodatkować takich technologicznych gigantów jak Google, Facebook, Apple czy Amazon, którzy często odprowadzają daniny wyłącznie w tych krajach, w których stawki podatku są minimalne. – Znają państwo pewnie przypadek Irlandii, która jest jednym z krajów, w których usadowiły się centrale wielu międzynarodowych firm i tam płacą znikome podatki, praktycznie zerowe. Czy to jest sprawiedliwe, żeby najbogatsze firmy świata, których wyceny sięgają biliona dolarów, a nawet 2 bln dol., płaciły znikome podatki? – pytał retorycznie na konferencji prasowej szef polskiego rządu.

W lutym obecnego roku Alphabet – po wielu miesiącach negocjacji w sprawie praw autorskich – zobowiązał się do wypłacenia wybranym francuskim wydawcom ok. 63 mln euro. W dużo trudniejszej sytuacji są jednak mniejsi wydawcy, którzy w rozmowach z takimi firmami jak Google czy Facebook mają nieporównywalnie słabszą pozycję negocjacyjną.

Związek Niezależnych Internetowych Wydawców Informacji (Spiil) wyraził żal, że Francuzom nie udało się zbudować wspólnego frontu przeciw Google, przez co pieniądze za publikowane w Internecie treści dostaną tylko wybrane grupy medialne. Pewien niepokój może też budzić to, że wzór obliczeniowy, na podstawie którego amerykański koncern ma wypłacać pieniądze, nie został podany do publicznej wiadomości. „Google wykorzystał nasze podziały" – podkreślili w wydanym oświadczeniu przedstawiciele Związku Niezależnych Internetowych Wydawców Informacji.

Polski rząd – jako główny cel zapowiedzianego podatku od przychodów reklamowych – wskazał właśnie sprawiedliwe opodatkowanie globalnych koncernów z sektora cyfrowego. – To sprawiedliwy krok w kierunku wyrównania szans krajowych graczy w tych różnych branżach w porównaniu z wielkimi graczami zagranicznymi – przekonywał w lutym premier Mateusz Morawiecki.

Facebook, wprowadzając blokadę w Australii, pokazał jednak, że czuje się już potężniejszy od rządów – nie tylko od pojedynczych polityków (takich jak prezydent Donald Trump), lecz także od władz całego kontynentu.

Jeśli światowi przywódcy szybko nie stworzą koalicji i nie pokażą Facebookowi, że jednak jest inaczej, imperium Zuckerberga będzie nadal korzystać z potężnej władzy, którą udało się mu zdobyć. W przypadku starć władz z korzystającymi z faktycznego duopolu gigantami technologicznymi trzeba jednak pamiętać, że tylko jedna ze stron dysponuje demokratycznym mandatem do sprawowania rządów. Nie może być więc tak, że prywatne superimperium będzie grozić poważnymi konsekwencjami dla całego społeczeństwa w razie niespełnienia jego postulatów dotyczących np. wycofania się z pomysłu nałożenia na nie nowych podatków. To, jak postąpiła firma kierowana przez Zuckerberga w Australii, uciekając się nie tylko do szantażu, lecz także wprowadzenia swej groźby w życie, sprawia, że coraz bardziej zacierają się różnice między Facebookiem a wielkimi, wpływowymi mocarstwami.

W „Dzienniku Gazecie Prawnej" Jakub Dymek pytał nawet wprost: „Facebook jako państwo, organizacja międzynarodowa czy terrorystyczna?". I chociaż ostatnie porównanie wydaje się jeszcze na wyrost, to być może nie jest ono zupełnie nietrafione. Niektóre organizacje terrorystyczne w przeszłości też deklarowały przecież, że np. zaprzestaną ataków, jeśli rządy USA czy Hiszpanii zrealizują ich konkretne postulaty (np. wycofają wojska z Iraku czy Afganistanu).

Po tak poważnym sygnale ostrzegawczym już dziś czołowi światowi politycy i szefowie najważniejszych instytucji państwowych powinni zacząć zmniejszać poziom uzależnienia od takich firm jak Facebook, Google czy Twitter i nie tylko zadbać o większą konkurencję oraz przejrzystość na tym wielkim rynku, lecz także w ekspresowym tempie zacząć rozwijać własne kanały komunikacji. Tak, aby nikt nigdy nie mógł grozić konkretnemu politykowi, rządowi czy całemu narodowi wyciągnięciem wtyczki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Już 8 marca w „Do Rzeczy” dodatek

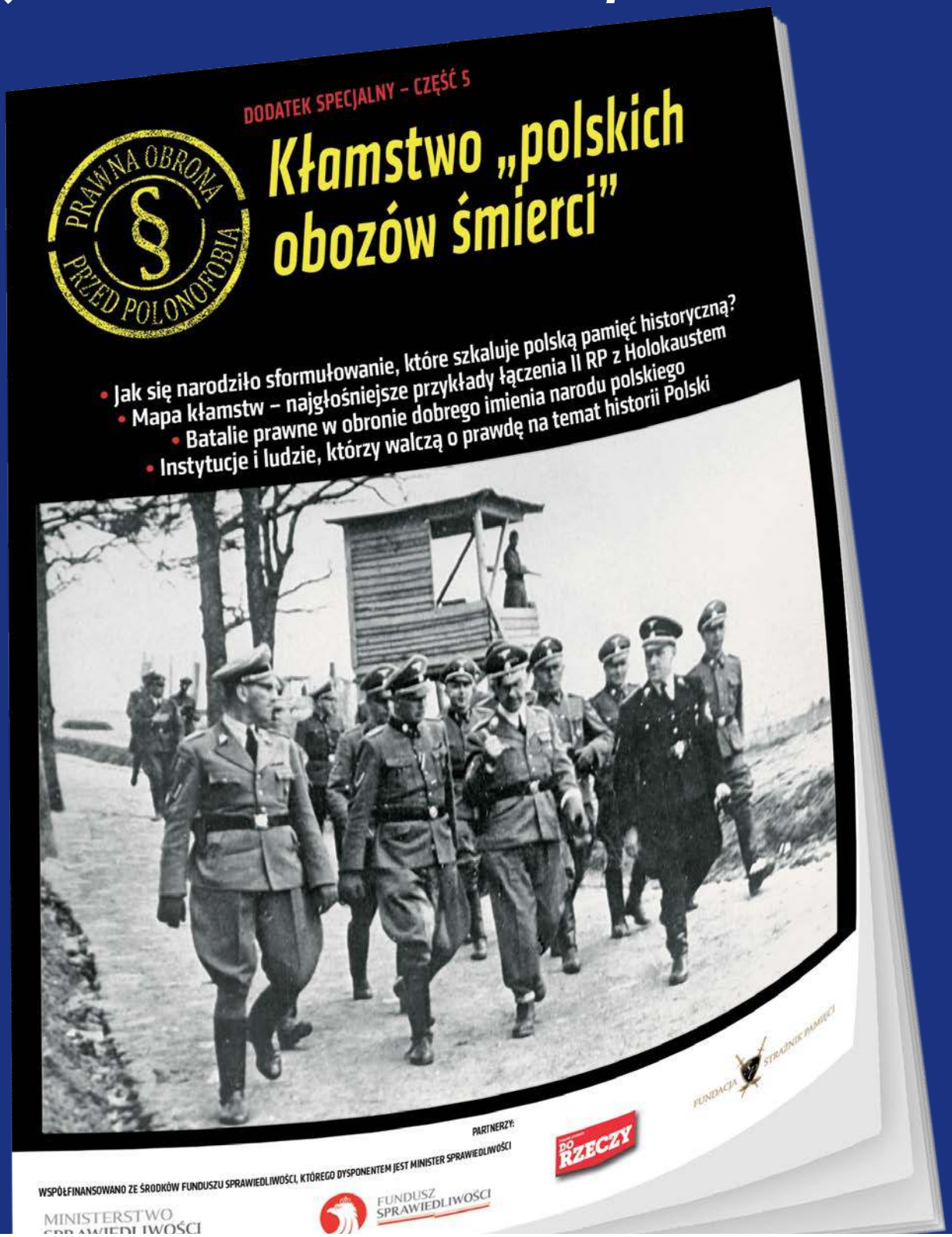

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 2c0af773a0

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wielki sukces emerytalny

Poszukiwacze dziury w całym rzucili się na Polski Fundusz Rozwoju (PFR), zarzucając klęskę programowi emerytalnemu PiS – Pracowniczym Planom Kapitałowym (PKK) – do którego przystąpiło według obliczeń PFR 30,4 proc. uprawnionych, a według obliczeń „Gazety Wyborczej" – jeszcze mniej, bo 22,9 proc. uprawnionych, jeśli wziąć pod uwagę także te firmy, w których do PPK nie przystąpił nikt, a przecież nie ma powodu, by takich firm w rachubach nie uwzględniać.

Co prawda owe niecałe 23 proc. uczestników PPK to rzeczywiście żałośnie mało – zwłaszcza wobec oczekiwanych 70 proc., ale wypada je uznać za i tak wielki sukces PFR. Ba, zastanawiam się, jakim cudem w Polsce znalazło się aż tak wielu ludzi, którzy na przekór faktom, na przekór własnym doświadczeniom postanowili zaufać w sprawie swojej emerytury instytucji reprezentującej władze RP?

Jak to możliwe, że aż 23 proc. uprawnionych przystąpiło do PPK po skoku na ich oszczędności w otwartych funduszach emerytalnych (OFE)? Oszczędności, które odkładali przez 15 lat, po czym połowy z nich zostali bezceremonialnie pozbawieni przez polski rząd, którym wtedy, w 2014 r., kierował premier Tusk? Nawet biorąc pod uwagę solenne zapewnienia, że PPK nie podzielą losu OFE, i obietnicę premiera Morawieckiego, że pozostała część ich oszczędności w OFE zostanie przepisana na ich „już naprawdę i na pewno" własne rachunki IKE (Indywidualne Konto Emerytalne), niestety – po potrąceniu przez rząd podatku w wysokości 15 proc.

Jak to możliwe, że znalazło się aż tylu chętnych do udziału w PPK, czyli ludzi, którzy kosztem własnej bieżącej konsumpcji zamierzają odkładać na swoją wyższą emeryturę, skoro rząd najchętniej podnosi emerytury tym, którzy odbierają najniższe świadczenia? A ponadto, upowszechniając takie dodatki jak 13. i 14. emerytury, buduje w przyszłych emerytach przekonanie, że najzwyczajniej w świecie nie warto samemu troszczyć się o własną starość, bo przecież „rząd zrobi to za nich"?

Wreszcie, jak to możliwe, że dla PPK udało się pozyskać aż tylu chętnych, skoro odkładanie na emeryturę w PPK oznacza nic innego jak inwestowanie – inwestowanie w akcje, obligacje i jeszcze bardziej bezpieczne lokaty? Jak udało się znaleźć tak wielu uczestników PPK, w sytuacji gdy władze Polski swymi przeróżnymi decyzjami najpierw przydusiły polską giełdę, a teraz – dziwną polityką monetarną – uniemożliwiają nie tylko zarabianie, lecz także nawet unikanie strat tym, którzy lokują oszczędności w obligacjach państwowych i lokatach bankowych? Także tym, którzy czynią to za pośrednictwem PPK.

I minusów tych nie był w stanie przeważyć nawet ten oczywisty plus, że do własnych pieniędzy ciułanych w PPK sporo „dorzucają" oszczędzającym pracodawca i państwo (czyli pozostali podatnicy). ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Olśnienie po roku

Na przyłbice to jest miejsce pod Grunwaldem" – oznajmił z właściwą sobie finezją minister Niedzielski. I stosowne regulacje wprowadzono do najnowszego rozporządzenia. Można wyrzucić kominy, bandany i wszystkie inne substytuty masek. Nikt oczywiście nie wyjaśnia, dlaczego komin jest zły, ale maseczka z identycznego materiału w magiczny sposób już powstrzymuje wirusa. (Nawiasem mówiąc, założony na twarz komin zakrywa twarz znacznie szczelniej od przeciętnej maseczki).

Posunęliśmy się o kolejny krok w budowaniu świata fikcji, którego nie powstydziłby się głęboki PRL

Losy zamaskowania Polaków to „strategia" epidemiczna w pigułce. Zacząć trzeba od tego, że nie ma żadnych badań potwierdzających jakikolwiek wpływ zakrywania ust i twarzy na wolnym powietrzu na rozwój epidemii. Potwierdza to również stanowisko Europejskiego Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób z połowy lutego, które mówi, że maseczki mogą mieć sens w zamkniętych przestrzeniach oraz „mogą być rozważane" w większych zgromadzeniach. Ale nie po prostu na ulicy.

Najzabawniejsze jest jednak, że rządzącym zajęło rok przejście od stanowiska ministra Szumowskiego („Nie wiem, po co ludzie noszą maseczki, one nic nie dają") do obecnego („Najlepiej mieć profesjonalną maseczkę i do tego będziemy dążyć"). Czy Adam Niedzielski potrzebował pół roku na czele Ministerstwa Zdrowia, żeby zorientować się, że przyłbice – swego czasu konstruowane metodą manufakturową przez samego pana prezydenta wraz z małżonką – są do niczego? Skoro to zajęło panu ministrowi pół roku, to aż strach pomyśleć, ile czasu zajmie mu połapanie się, że lockdown kosztuje nas gigantyczne pieniądze.

Przede wszystkim jednak posunęliśmy się o kolejny krok w budowaniu świata fikcji, którego nie powstydziłby się głęboki PRL. Policja, która po roku epidemii jest przez wielu dzisiaj bardziej znienawidzona niż za komuny milicja, a która zresztą masowo maskuje się kominami, a nie maseczkami, ma teraz biegać między ludźmi i kontrolować, kto ma maseczkę, a kto coś innego?

Aktualne rządowe nakazy nadają się już tylko do tzw. strollowania: trzeba założyć maseczkę, a na nią komin albo szalik. I czekać, aż zostanie się zatrzymanym przez dzielnych funkcjonariuszy. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Już za tydzień w „Do Rzeczy” dodatek

MECENAS WYDANIA

PZU

eprasa.pl 2c0af773a0

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA G9 POWER

Ogromna bateria, niska cena, duży ekran – to największe zalety jednego z najlepszych budżetowych smartfonów dostępnych obecnie na rynku.

Największym plusem testowanego smartfona jest jego akumulator. Ogniwo o pojemności 6000 mAh sprawia, że można zapomnieć o nerwowym szukaniu ładowarki pod koniec intensywnego dnia pracy. W przypadku większości użytkowników testowany model powinien wytrzymać dwa dni, a niektórzy mogą próbować śrubować ten rekord nawet do pięciu, sześciu dni na jednym ładowaniu.

Zaletą jest też sprawnie działający czytnik linii papilarnych, umieszczony wygodnie z tyłu obudowy.

Jak na niewielką cenę urządzenia miło zaskakuje również design ze stosunkowo małymi ramkami wokół ekranu. Zastosowany plastik robi dobre wrażenie. Trzeba jednak pamiętać, że ze względu na ogromne ogniwo nawet najbardziej zagorzali wyznawcy politycznej poprawności nie nazwaliby G9 Power smukłym smartfonem. Wymiary gadżetu to 7,7 x 17,2 x 9,7 cm.

Atutem testowanego modelu są też: złącze mini-Jack 3,5 mm, moduł NFC, który umożliwia m.in. dokonywanie wygodnych, nie tylko w czasach pandemii, płatności zbliżeniowych. W budżetowej klasie cieszy także aż 128 GB wbudowanej pamięci na dane (pamięć tę można rozszerzyć za pomocą karty microSD o maksymalnej pojemności 512 GB). Do tego Motorola w zestawie dorzuca silikonowy przezroczysty pokrowiec.

Kolejny plus to wielkość ekranu. Motorola uzbroiła G9 Power w wyświetlacz IPS o wielkości aż 6,8 cala. Niestety, jakość wyświetlacza jest mocno przeciętna. Rozdzielczość wynosi 1640 x 720, a liczba pikseli na cal to zaledwie 263. Rozczarowuje również odświeżanie na poziomie tylko 60 Hz.

Szału więc nie ma, choć zastosowana matryca jest dobra, a obraz wystarczająco wyraźny do codziennych zastosowań.

Pozostałe wady? Proces Qualcomm SM6115 Snapdragon 66 i zaledwie 4 GB oznaczają, że G9 Power nie jest najbardziej potężnym smartfonem. Na szczęście system operacyjny to niemal czysty Android 10, dzięki czemu obsługa jest nieco szybsza, niż gdyby system był zamulony dodatkami. Na G9 Power przy średnich ustawieniach da się odpalić nawet mniej wymagające gry. Nie ma jednak co liczyć na dużą wydajność i trzeba uzbroić się w cierpliwość, ponieważ co jakiś czas mogą występować chwilowe przycięcia. Niekiedy, aby dało się normalnie korzystać ze smartfona, trzeba też pozamykać otwarte wcześniej aplikacje.

Kolejny minus: słabe aparaty fotograficzne, których można próbować używać tylko przy naprawdę dobrym oświetleniu, a efekt i tak nie będzie porywający. Główny aparat z matrycą 64 Mpix oraz obiektywem o jasności f/1.8 jest jednak wystarczający, aby robić zdjęcia u cioci na imieninach. G9 Power nie jest też oczywiście wodoodporny. Poza tym trzeba pamiętać, że smartfon waży ponad 220 g i po dłuższej chwili w dłoni tę wagę zaczyna się odczuwać.

Mimo tych wad, jeśli ktoś szuka taniego smartfona bez fajerwerków, za to z ogromną baterią, czystym Androidem i nie za miliony monet, Motorola G9 Power może okazać się strzałem w dziesiątkę. Cena testowanego modelu wynosi 799 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ROBOT ZAMIAST KOTA?

Nicobo. Tak nazywa się mały robot stworzony przez japońską firmę Panasonic. Niewielki sympatyczny pluszak potrafi machać ogonem, ruszać głową i mrugać oczami. Dzięki wbudowanym kamerom umie rozpoznać swojego właściciela, a czujniki pozwalają mu reagować na dotyk. System losowo generuje także sytuacje, w których kot-robot puszcza bąki, co według producenta ma tej postaci dodać autentyczności. Panasonic wypuszcza Nicobo na rynek w partiach po 320 egzemplarzy. Jeden kosztuje równowartość ok. 1,3 tys. zł. Mimo wysokiej ceny pierwsza partia mechanicznego lekarstwa na samotność w czasach COVID-19 rozeszła się jak świeże bułeczki.

KOLCZYKI AUDIO

Nova H1 Audio Earrings to według producenta pierwsze na świecie kolczyki, które dzięki wbudowanemu mikrofonowi oraz miniaturowym głośnikom pozwalają na wielogodzinne słuchanie muzyki oraz prowadzenie rozmów telefonicznych. Technologiczne elementy są ukryte w wyłowionych perłach i umieszczone na posrebrzanym lub pozłacanym klipsie. Zaprojektowany w Niemczech gadżet wydaje się idealny dla agentek służb specjalnych i detektywów w spódnicy. Cena na Kickstarterze wynosi 329 euro, czyli równowartość 1,5 tys. zł. Producent obiecuje wysyłkę w październiku. ©℗

Jacek Przybylski

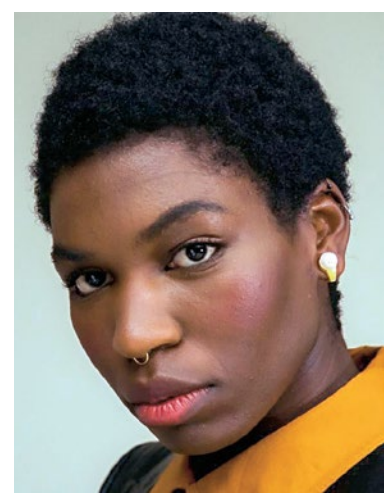

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2c0af773a0

REKLAMA

Wielkopostne PORZĄDKI

Organizator akcji
FUNDACJA MAŁYCH STÓPEK

Zbieramy środki chemii gospodarczej dla Domów Pomocy Społecznej, w tym placówek, które opiekują się osobami z niepełnosprawnością.

Akcję możesz wesprzeć przekazując darowiznę na hurtowy zakup chemii gospodarczej, na nr konta Fundacji Małych Stópek: 13 2030 0045 1110 0000 0231 0120. Tytułem: „Wielkopostne Porządki"

...aby mieszkańcy zdążyli z porządkami jeszcze przed Świętami.

REKLAMA

MISTRZ OPOWIADAŃ ODSŁANIA KOLEJNE TAJEMNICE SWOICH BOHATERÓW.

Jeśli zastanawialiście się kiedyś, kim był Paweł Skórzewski, zanim został doktorem Skórzewskim, teraz się tego dowiecie. Dowiecie się także do czego może się przydać pobyt w szpitalu psychiatrycznym, ile może człowieka kosztować imperatyw moralny (w przeliczeniu na złotówki) oraz co łączy Roberta Storma z Marszałkiem Piłsudskim.

fabryka słów WYDAWNICTWO

Patroni medialni

Jedynka POLSKIE RADIO · FANBOOK · opętani czytaniem · BOOKLIPS.PL

eprasa.pl 2c0af773a0

Emma i inne

Joanna Bojańczyk

Imiona chodzą stadami, i to dużymi. Każde pokolenie chce zaznaczyć swoją odrębność, odcinając się wyborami od poprzedniego. Jednak im bardziej media wkraczają w życie ludzi, tym bardziej imiona z telewizji i kina inspirują rodziców

Gdy w roku 1974 daliśmy naszemu najstarszemu synowi na imię Antoni, znajoma z placu zabaw westchnęła z ubolewaniem: – Krzywdę zrobiliście temu dziecku… Sama była matką chłopca o imieniu Sebastian.

Jednak jakoś bez poczucia krzywdy Antkowi udało się przejść przez szkołę i studia, nie spotkawszy rówieśnika o takim samym imieniu. Ciekawa jestem, czy tamtą panią gnębi teraz poczucie krzywdy - według zasad prawdopodobieństwa mogła zostać babcią Antosia, lidera na dzisiejszym rynku nazewniczym. „W 2020 r. imię to nadano 8368 chłopcom. Jak podaje wydział ds. cyfryzacji KPRM, imię to było również liderem popularności w latach poprzednich: 2019, 2018, 2017 i 2016.

Na drugim miejscu znalazł się Jan – w 2020 r. nazwano tak 7658 chłopców, na trzecim zaś – Aleksander z wynikiem 7165 chłopców, którzy otrzymali to imię".

Wśród imion żeńskich w roku 2020 najpopularniejsze były Zuzanna i Julia. Imiona te zostały nadane w ubiegłym roku po równo 7351 dziewczynkom. Strąciły z piedestału Zofię (7073), rekordzistkę lat poprzednich, wtedy po piętach deptała jej Julia. Dalej znalazła się również Hanna – imię to otrzymało 6658 dziewczynek. W 2019 r. natomiast miejsce Hanny zajmowała Maja.

JAGIENKA I NIEWOLNICA ISAURA

Humor i gust młodych rodziców teoretycznie są trudne do przewidzenia, ale jednak jakoś się tak składa, że imiona zawsze chodzą stadami, i to dużymi. Każde pokolenie chce zaznaczyć swoją odrębność, odcinając się wyborami od poprzedniego. Sama jestem z pokolenia Elżbiet, Krystyn, Grażyn, Bożen, Joann, Barbar i po trochu Agnieszek. Wyłączam ponadczasowe, ponadpokoleniowe Marie i Anny, które owocowały obficie wśród moich starszych i młodszych koleżanek z klasy i ze studiów. Naszymi kolegami byli Maciej, Staś, Jan, Marek. Patrycji i Oliwiera próżno by było szukać w gronie moich rówieśników. Te imiona wydawały się zbyt daleko idącą ekstrawagancją.

Z tamtych imion zanikła Krystyna, szkoda, Grażyna – nie wiedzieć czemu – stała się ośmieszoną partnerką Bogu ducha winnego Janusza (ja na tym miejscu widziałabym raczej Bożenę). Elżbiety, Barbary wracają, o Bożenach nie słyszałam.

Genowefy dzisiaj darmo szukać wśród niemowląt, za to Antoniny obrodziły wyjątkowo. Haliny szukaj ze świecą, Helenek mamy setki. Franciszki męskie latają tłumnie, ale Franciszki żeńskiej jeszcze nie udało mi się zidentyfikować. Podobnie Stanisław – męski tak, kobiecy nie. Skąd szalony sukces Poli, Hanny i Leny? (– Apolonia to imię dla służącej – mówiła moja babcia). Jeszcze parę lat temu Felek czy Bolek były imionami dobrymi najwyżej dla psa – teraz zasługują już na traktowanie ludzkie. Mojemu najmłodszemu wnukowi dano imię Józef – nie wiem, czy to już początek nowej fali czy jeszcze ekstrawagancja. Okazało się, że imię to jest całkiem popularne w kręgach zbliżonych do intelektualistów... Ale czy ktoś dzisiaj odważyłby się nazwać córkę Genowefa, Władysława czy Kazimiera? Dziwne, bo Kaziów, Władziów czy Heniów, imion chętnie nadawanych na przełomie XIX i XX w., znam kilku w wieku od trzech do 20 lat. Wiedzieli to dobrze oszuści działający metodą „na wnuczka", którzy w czasach całkiem niedawnych konsultowali książki

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. ADOBE STOCK

telefoniczne (a w nich, o zgrozo, pełne dane osobowe) i wyszukiwali w nich osoby o tych właśnie imionach, słusznie zakładając, że ich właścicielki mogą należeć do mocno starszego pokolenia. Powodzeniem nie cieszą się imiona słowiańskie, choć tu i ówdzie pojawi się jeszcze jakiś Przemysław, Radosław, Sławomir czy Bogumiła. Rodzice, widać, wolą, by dziecko miało imię samogłoskowe, łatwo wymawialne w kręgu pozasłowiańskim.

Trudno zrozumieć, czym rządzi się ten obyczaj czy też moda. Czy to rodzaj zbiorowego odczuwania rzeczywistości indywidualnie wyrażony? Coś jest na rzeczy, skoro tysiące ludzi w tym samym pokoleniu wybierają to samo. Zanikł obyczaj nadawania dziecku imieniem świętego, w którego dniu przyszło na świat. Rzadko rodzice decydują się na imię po ojcu czy dziadku (jeśli już, to drugie), pozostaje wybór tego, co się podoba, lub tego, co jest aktualnie modne. Jedno zresztą idzie w parze z drugim. I to nie tylko u nas. I to nie od dziś.

Moja mama urodzona w roku 1929 otrzymała imię Iwona – jak głosi przekaz rodzinny, na cześć powieści „Iwonka" Juliusza Germana, romansu nie najwyższych lotów, modnego w owym czasie. Nie wiem, czy Jagienka obrodziła imienniczkami, danych brak. „Potop" na pewno poskutkował sporą dawką Oleniek. Serial „Niewolnica Isaura" zostawił po sobie kilkadziesiąt imienniczek, które – jak podejrzewam – do dziś nie mogą wybaczyć matkom...

ŚWIATOWA LISTA PRZEBOJÓW

Zawsze ciekawiło mnie, czy odczucie imienia jest podobne w różnych kulturach i językach.

W Afryce nie szukam, ale przyjrzałam się francuskim i amerykańskim rejestrom imion. W spisie najczęściej nadawanych imion we Francji w latach 1945–2018 można zaobserwować prawidłowość. Im głębiej w przeszłość, tym imiona są prostsze: Jean, Pierre, Michel, André, Philippe, René, Louis, Alain, Jacques, Bernard. To chłopcy. Dla dziewczyn: Marie, Brigitte, Catherine, Sylvie, Nathalie, Elizabeth. W latach 80. „Rekreacje Mikołajka" (po francusku „Petit Nicolas", aut.: Goscinny, Sempé), wielki przebój dla dorosłych i dzieci, dają tysiącom chłopców imię Nicolas. W latach 90. pojawiają się Lea, Emma, Laura, Sarah, Chloe... Im bardziej media wkraczają w życie ludzi, tym bardziej imiona z telewizji i kina inspirują rodziców. Kevin pojawia się w roku 1991 – jakże przewidywalne, wszak premiera bożonarodzeniowego hitu miała miejsce w roku 1990. Enzo to rok 2004 razem z kreskówką „Reboot", Lea wkracza w roku 2004, Emma rok później, razem z bohaterką „Harry'ego Pottera", Emmą Stone. Do dziś Emma pozostaje na podium francuskich imion.

Na liście amerykańskich przebojów imiennych, którą co rok publikuje rządowa agencja Social Security, w pierwszej dziesiątce są: Liam, Noah, Oliver, William, Elijah, James, Benjamin, Lucas, Mason, Ethan. To chłopcy. A dla dziewczynek: Olivia, Emma, Ava, Sophia, Isabella, Charlotte, Amelia, Mia, Harper, Evelyn. John, Peter i Stanley jakoś się ulotniły...

Okazuje się też, że reguły rządzące rynkiem imion są podobne w różnych krajach. Za przykład globalnej wspólnoty można uznać właśnie imię Emma. Z czym się kojarzy? Bardziej prawdopodobne, że z główną aktorką „Harry'ego Pottera" czy serialu „Przyjaciele" niż z „Panią Bovary"... Bo kto czyta dziś Flauberta, ramotę... W każdym razie Emma jest w Stanach numerem dwa, we Francji numerem jeden, w Polsce na razie pozostaje w kręgach celebryckich, choć wspina się na liście.

Dziennikarka „New York Timesa" Pamela Redmond twierdzi, że amerykańscy millennialsi szukają dla swoich dzieci imion starych, klasycznych, ale też takich, które mogłyby ich wyróżnić. Dziennikarka wymienia imiona: Eloise, Florence, Pearl, Thea, Clyde, Ira, Wallace. „Nie sądzę, żeby moda na te imiona utrzymała się długo" – komentuje autorka. Powodzeniem cieszą się także imiona wzięte z dawnych legend czy mitów. Freya, Calliope, Titan, Achilles, Cain (!)... Powrót imion biblijnych obserwuje się także we Francji: Aron, Jakub, Nathan. Młodzi rodzice, próbując zabłysnąć oryginalnością, nie sięgają raczej do starożytnych ksiąg, wystarczy serial. „Hunger Games", serial „Rzym" czy też inne holistyczne interpretacje świata, oczywiście w ujęciu serialowym.

Za granicą jest jeszcze dziwniej i można przypuszczać, że imię pełni funkcję reklamową

W Wielkiej Brytanii panuje moda na skróty. Evie, Elsie, Alfie, Freddie są w pierwszej dwudziestce. Trudno pominąć królewskiego potomka księcia Archibalda, zwanego, jakżeby inaczej, Archiem…

NAJDZIWNIEJ U CELEBRYTÓW

Celebryci to osobna grupa. Jeśli szukamy osobliwości, to tu je znajdziemy. Dzieci Michała Wiśniewskiego – Xavier, Fabienne, Etiennette, Vivienne. Syn Doroty Gawryluk – Nikon. Dzieci Katarzyny Figury – Koko Claire i Kaszmir Amber. Dorota Czaja ma syna o imieniu Leo. Natalia Siwiec nazwała córeczkę Mia. Córka Katarzyny Skrzyneckiej to Alika Ilia, córki Magdy Modrej to Mia i Lea, a córki Macieja Maleńczuka to Elma i Irma. Imiona córeczek Anny i Roberta Lewandowskich – Klara i Laura – wydają się przy tym tak zwyczajne...

Za granicą jest jeszcze dziwniej i można przypuszczać, że imię pełni funkcję reklamową. Jak inaczej interpretować Saoirse (Ronan), Idris (Elba)? Mariah Carey ma córkę o imieniu Marilyn.

Nie mówiąc o dzieciach pary Kim Kardashian i Kanye West: Saint, North, West...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Czas na zmiany

Katarzyna Pinkosz

Okres COVID-19 jest trudny szczególnie dla osób z chorobami rzadkimi, dlatego tak bardzo czekają na zmiany i dostrzeżenie przez system ochrony zdrowia

FOT. ADOBE STOCK

Trudno uwierzyć, że w Polsce na choroby rzadkie choruje nawet 2–3 mln osób. Dzięki postępowi w diagnostyce medycyna już dziś wyróżnia 6–7 tys. chorób rzadkich, a z pewnością będzie ich jeszcze więcej. Dzisiaj coraz częściej nie mówi się już np. o „białaczce", tylko o „przewlekłej białaczce limfocytowej z delecją chromosomu 17p", którą trzeba leczyć zupełnie inaczej niż inne rodzaje przewlekłych białaczek limfocytowych. Rzadkie choroby są diagnozowane w każdej dziedzinie medycyny, m.in. w onkologii, kardiologii, pulmonologii, alergologii, reumatologii.

KILKA LAT DO DIAGNOZY

Większość genetycznie uwarunkowanych chorób rzadkich ujawnia się już w pierwszym roku życia. Czasem od urodzenia widać, że dziecko nie rozwija się prawidłowo, ale bywa też, że problemy ujawniają się później: nie osiąga ono kolejnych „kamieni milowych" w rozwoju lub traci nowo zdobyte umiejętności. Zanim jednak odkryje się przyczynę problemów, często mija nawet kilka lat, podczas których rodzic odwiedza kolejnych specjalistów, dziecko ma wykonywanych wiele badań, z których często niewiele wynika. Dopiero gdy trafi na wnikliwego lekarza lub takiego, który już zetknął się z podobnym przypadkiem, jest szansa na trafną diagnozę. Trudno się dziwić: objawy wielu chorób są niespecyficzne, a większość lekarzy może nigdy w życiu nie zobaczyć osoby z daną chorobą rzadką. Dlatego tak ważne jest to, żeby powstawały specjalistyczne centra diagnostyki i leczenia chorób rzadkich.

Sytuacja pacjentów z chorobami rzadkimi zawsze była trudna, a stała się jeszcze trudniejsza w okresie epidemii COVID-19, kiedy wiele placówek i szpitali było zamkniętych.

LECZENIE TYLKO DLA NIEKTÓRYCH

Jeszcze 40 lat temu rodzic dziecka, u którego zdiagnozowano hemofilię, mógł usłyszeć, że ma ono przed sobą najwyżej 40 lat życia. Do dziś nie udało się tej choroby wyleczyć (choć w badaniach klinicznych są już terapie genowe), ale dzięki dostępowi do coraz skuteczniejszego leczenia długość życia chorego na hemofilię jest już dziś taka sama jak osoby zdrowej. Dzięki dostępowi do leczenia na (w miarę) normalne życie mają szansę osoby ze zdiagnozowaną i z leczoną chorobą Pompego czy Fabry'ego. Na naszych oczach dokonuje się przełom w leczeniu rdzeniowego zaniku mięśni – jeszcze kilka lat temu dzieci z najcięższym typem tej choroby były skazane na respirator, dziś mają szansę na dobry rozwój.

Wciąż jednak to wyjątki – tylko dla kilku procent genetycznie uwarunkowanych chorób rzadkich są obecnie leki. Nie wszystkie są dostępne dla polskich chorych. Problemem są koszty: lek na cukrzycę codziennie muszą przyjmować miliony osób na świecie, jego cena jest więc znacznie niższa niż terapii w chorobie rzadkiej (zwłaszcza jeśli jest to terapia niemająca konkurencji, z czego doskonale zdaje sobie sprawę producent, dyktujący ceny). W wielu chorobach rzadkich leki są bardzo kosztowne, dlatego od lat toczy się dyskusja, jak je finansować. To poważne dylematy etyczne, bo często koszt rocznej terapii dla jednego chorego jest równy kosztom leczenia dziesiątek tysięcy osób np. z nadciśnieniem.

Nadzieją dla pacjentów jest Fundusz Medyczny, z którego części będą finansowane m.in. innowacyjne leki w chorobach rzadkich. Mają one być w inny sposób oceniane niż stosowane w chorobach często występujących. O takiej zmianie mówiło się od lat, teraz jest szansa na jej wdrożenie. Bardzo liczą na to pacjenci, zwłaszcza ci, którzy wiedzą, że dana terapia jest już refundowana w innych krajach. Drugą nadzieją jest Narodowy Program Leczenia Chorób Rzadkich. – Z dnia na dzień wiele on nie zmieni, natomiast systemowo może zmienić bardzo dużo. Ma na celu zapewnienie bezpieczeństwa pacjentom z chorobami rzadkimi. Zapewnia wysoko specjalistyczną diagnostykę genetyczną, leczenie, powstanie ośrodków eksperckich. Ścieżka dostępu pacjenta do diagnostyki i leczenia ma być jasno określona – mówi Stanisław Maćkowiak, prezes Federacji Pacjentów Polskich, który brał udział w opracowywaniu narodowego programu. Nadzieją dla pacjentów są też powstanie ośrodków leczenia i koordynowana opieka. Bardzo na to czekają.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

Wystarczy jedno podanie

Katarzyna Pinkosz

Korzystajmy z doświadczeń krajów, w których jest dostępna terapia genowa w leczeniu rdzeniowego zaniku mięśni. Taka zmiana to rewolucja – podkreślali uczestnicy międzynarodowych warsztatów eksperckich, zorganizowanych przez tygodnik „Do Rzeczy". W Polsce tego typu innowacyjne terapie dla chorób rzadkich mają szansę być dostępne dzięki Funduszowi Medycznemu

Co roku w Polsce rodzi się ok. 50 dzieci z rdzeniowym zanikiem mięśni (SMA), rzadką chorobą uwarunkowaną genetycznie. W ich organizmie brakuje białka SMN1, co powoduje, że dziecko traci po kolei umiejętności ruchowe.

PRZEŁOMY W LECZENIU SMA

W przypadku najcięższej postaci (SMA1) objawy pojawiają się już w pierwszych tygodniach i miesiącach życia. – Bez leczenia choroba prowadzi do bardzo głębokiej niesprawności, dzieci nie nabywają umiejętności ruchowych, nie siadają, nie raczkują, nie wstają. Tracą siły. Często już pod koniec pierwszego roku życia pojawia się niewydolność oddechowa i konieczność wsparcia oddechowego – mówiła prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierownik Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Przełomem w leczeniu było pojawienie się nusinersenu, pierwszego leku modyfikującego przebieg choroby. W Polsce jest on dostępny dla wszystkich pacjentów z SMA od marca 2019 r. Podaje się go przewlekle, co cztery miesiące, w postaci wlewu do rdzenia kręgowego.

Drugim przełomem jest terapia genowa, zarejestrowana w 2019 r. przez FDA (Amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków), a w maju 2020 r. przez Europejską Agencję Leków. Leczenie wystarczy podać raz w życiu. – Za pomocą wektora wirusowego, czyli specjalnie przygotowanego wirusa, który nie powoduje ryzyka zakażenia, wprowadza się do komórek informację genetyczną: fragment genu SMN1, który pozwala na syntetyzowanie brakującego białka. Powoduje to, że neurony ruchowe pełnią swoje zadania, zapewniając prawidłowe działanie mięśni – podkreślała prof. Anna Kostera-Pruszczyk.

W Polsce w ten sposób było leczonych kilkanaścioro dzieci (głównie dzięki zbiórkom pieniędzy, gdyż terapia nie jest jeszcze refundowana). Na świecie terapię genową podano do tej pory ok. 1 tys. dzieci.

DOŚWIADCZENIA Z IZRAELA I WŁOCH

W Izraelu pierwsze dziecko otrzymało terapię genową SMA w listopadzie 2019 r.,

eprasa.pl 2c0af773a0

prof. Aviva Fattal Valevski, neurolog dziecięcy, kierująca Oddziałem Neurologii Dziecięcej w Sourasky Medical Center (Izrael):

W SMA dochodzi do nieodwracalnej utraty motoneuronów. Po szóstym miesiącu życia u chorych na SMA1 już 90 proc. neuronów motorycznych jest utraconych, dlatego mamy bardzo wąskie „okno" leczenia. W Izraelu jest możliwość zastosowania wszystkich terapii w SMA, również genowej. Najlepsze efekty uzyskuje się, jeśli leczenie zostało rozpoczęte w okresie przedobjawowym: dziecko może wówczas rozwijać się normalnie lub prawie normalnie. Bardzo dobre rokowania mają też pacjenci w wieku poniżej szóstego miesiąca życia (lub starsi, ale ci, którzy rozpoczęli leczenie innym lekiem na SMA przed ukończeniem szóstego miesiąca). Średnie lub umiarkowane prognozy ma pacjent, u którego rozpoczęto leczenie powyżej szóstego miesiąca (a nie jest wentylowany mechanicznie powyżej 16 godzin na dobę). Jeśli jest konieczność stosowania dłużej wentylacji mechanicznej, to mamy małą szansę na znaczną poprawę po leczeniu. Rodzice powinni być świadomi tych prognoz przed podaniem terapii genowej.

dr Liora Sagi, neurolog dziecięcy, kierująca Oddziałem Nerwowo-Mięśniowym w Sourasky Medical Center:

W Izraelu nusinersen jest podawany wszystkim pacjentom z SMA. W 2019 r. FDA zarejestrowała terapię genową w USA, a już w listopadzie otrzymało ją pierwsze dziecko w Izraelu. Jak najwcześniejsze rozpoczęcie leczenia jest kluczowe dla maksymalnych korzyści i poprawy rezultatów leczenia. Dla uzyskania jak najlepszych efektów konieczna jest też fizjoterapia. Postęp następuje krok po kroku; to nie jest tak, że wszystko dzieje się od razu, potrzeba dużo pracy, żeby były widoczne efekty.

prof. Claudio Jommi, dyrektor Studiów z Zarządzania Międzynarodowymi Systemami Ochrony Zdrowia oraz Farmakoekonomiki w Wyższej Szkole Zarządzania w Bocconi:

Staramy się, by produkty lecznicze były jak najbardziej dostępne, pod warunkiem że są skuteczne i ważne dla pacjentów. Terapia genowa w SMA nie ma jak dotąd statusu dofinansowania, cena jest w toku negocjacji, jednak już uzyskała status innowacyjności, dlatego będzie finansowana przez specjalny fundusz przeznaczony do leczenia innowacyjnego. Podstawą jest to, że istnieje niezaspokojona potrzeba medyczna, tylko częściowo zaspokojona przez wcześniejsze leczenie. Wartość terapeutyczna była głównym czynnikiem decydującym o pozytywnej decyzji krajowej agencji leków.

prof. Piotr Czauderna, przewodniczący Rady ds. Ochrony Zdrowia w ramach Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP:

Gdybyśmy chcieli efektywność kosztową leków w chorobach rzadkich oceniać za pomocą takich mechanizmów, jakie są stosowane przy ocenie leków w chorobach często występujących, to leki na choroby rzadkie nie miałyby szans na refundację. Konieczne jest inne podejście do ich oceny. Ważna jest tu kategoria niezaspokojonej potrzeby medycznej. Fundusz Medyczny jest szczególnie przeznaczony dla pacjentów ze schorzeniami czy podtypami schorzeń, dla których w ostatnim czasie pojawiły się innowacyjne terapie, zostały zarejestrowane w Europie, a w Polsce nie są jeszcze refundowane. Podobne mechanizmy są już stosowane w wielu krajach, np. w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Holandii.

prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierownik Kliniki Neurologii WUM:

Terapia genowa nie jest dziś refundowana w Polsce, możliwą ścieżką, która może pomóc w uzyskaniu leczenia, jest Fundusz Medyczny, stworzony w celu ułatwienia dostępu do innowacyjnych i przełomowych technologii medycznych. Kluczem do skuteczności terapii w SMA jest bardzo wczesne jej rozpoczęcie, ponieważ żaden ze znanych leków nie jest w stanie odwrócić wszystkiego, co zabrała choroba; cofnąć wszystkich objawów, które się pojawiły.

niedługo po jej zarejestrowaniu przez FDA. Do tej pory otrzymało ją 21 dzieci, w tym 10 w Sourasky Medical Center. W Izraelu eksperci opracowali specjalny algorytm, służący do kwalifikacji pacjentów do terapii genowej. – Terapia genowa to rewolucja, jednak najlepsze efekty z jej zastosowania osiąga się, gdy leczenie zostało rozpoczęte w okresie przedobjawowym oraz u dzieci, które nie skończyły sześciu miesięcy lub rozpoczęły leczenie innymi terapiami przed ukończeniem szóstego miesiąca życia – mówiła prof. Aviva Fattal Valevski, neurolog dziecięcy, kierująca Oddziałem Neurologii Dziecięcej w Sourasky Medical Center.

Doktor Liora Sagi, neurolog dziecięcy z Sourasky Medical Center, dzieliła się doświadczeniami z wprowadzania terapii. – Najmłodszy chłopiec, który był w ten sposób leczony, miał 11 dni i był pacjentem przedobjawowym. Najstarszy miał 24 miesiące. Czworo pacjentów wcześniej otrzymywało inne terapie na SMA. U wszystkich widać poprawę – mówiła dr Liora Sagi.

Innowacyjne terapie w chorobach rzadkich są dużo bardziej kosztowne niż w schorzeniach często występujących, dlatego wszystkie systemy ochrony zdrowia mają problem, jakie mechanizmy finansowania zastosować, by udostępniać przełomowe terapie pacjentom. Profesor Claudio Jommi, dyrektor Studiów z Zarządzania Międzynarodowymi Systemami Ochrony Zdrowia oraz Farmakoekonomiki w Wyższej Szkole Zarządzania w Bocconi, relacjonował, jak radzi sobie włoski system ochrony zdro-

eprasa.pl 2c0af773a0

Stanisław Maćkowiak, prezes Federacji Pacjentów Polskich:

Terapia genowa to wysoce innowacyjna, przełomowa terapia, która pozwala w niektórych przypadkach na wyleczenie z choroby, co wcześniej nie było możliwe. Oczywiście niezbędna jest odpowiednia kwalifikacja do niej. Włoski system finansowania może być dla nas pewnym wzorem do wykorzystania. Finansowanie takiego leczenia musi następować ze środków publicznych; nadzieją jest tu Fundusz Medyczny. Finansowanie ze środków publicznych tego typu terapii to forma wyrównania szans chorych na choroby rzadkie.

prof. Marcin Czech, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego, były wiceminister zdrowia:

W Polityce Lekowej Państwa znalazły się pewne rozwiązania, jak finansować leki w chorobach rzadkich. Z punktu widzenia HTA bardzo atrakcyjnie wygląda terapia, która naprawia genom, daje długotrwały efekt. Ma to wpływ nie tylko na pacjenta, lecz także na jego rodzinę, minimalizuje koszty pośrednie choroby. Nowych terapii będzie coraz więcej, musimy przyjąć rozwiązania najkorzystniejsze dla pacjentów, które pozwolą sfinansować najbardziej wartościowe terapie.

wia. – Zwykle przy tego typu terapiach stosuje się umowy o zastosowaniu różnego rodzaju mechanizmów dzielenia ryzyka między płatnikiem a firmą. We Włoszech toczą się jeszcze negocjacje cenowe z producentem terapii genowej w SMA, jednak już zyskała ona wysoki status innowacyjności, dzięki czemu jest finansowana w ramach specjalnego funduszu publicznego – podkreślał prof. Jommi. Atutem terapii genowej w SMA jest to, że podaje się ją jednokrotnie.

SZANSE W POLSCE

W Polsce jest ogromny problem z udostępnianiem innowacyjnych terapii w chorobach rzadkich, gdyż mechanizmy używane przy refundacji leków stosowanych w chorobach występujących często „nie sprawdzają się" w przypadku rzadkich schorzeń. Lekarze, eksperci i pacjenci mają nadzieję, że zmieni się to dzięki Funduszowi Medycznemu, z którego mają szansę być finansowane innowacyjne, przełomowe terapie w chorobach onkologicznych oraz rzadkich.

Największe korzyści z leczenia SMA są widoczne u dzieci, u których wcześnie rozpoczęto leczenie, najlepiej jeszcze w okresie przedobjawowym, gdy nie doszło do osłabienia mięśni. Dlatego eksperci cieszą się z decyzji Ministerstwa Zdrowia o rozpoczęciu już w tym roku pilotażowego programu badań przesiewowych w kierunku SMA u noworodków. Od 2022 r. badaniami przesiewowymi w całej Polsce zostaną objęte wszystkie dzieci: dzięki temu 50 dzieci z SMA rocznie będzie mogło rozpocząć leczenie wtedy, kiedy działa ono najskuteczniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Magdalena Władysiuk, CEESTAHC Polska, HTA Consulting:

Włoski system finansowania leków w chorobach rzadkich jest bardzo nowoczesny i przejrzysty. W Polsce pierwszy raz toczy się dyskusja w tak otwarty sposób między różnymi interesariuszami. Wprowadzenie pierwszego leku zabezpieczyło najpilniejsze, palące potrzeby pacjentów. Teraz musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nadal jest niezaspokojona potrzeba medyczna w leczeniu. Patrząc na doświadczenia innych krajów, widać, że tak.

Marzanna Bieńkowska, Biuro Rzecznika Praw Pacjenta:

Do Rzecznika Praw Pacjenta wpływa wiele próśb od rodziców o pomoc w sfinansowaniu terapii genowej. Muszą zmienić się kryteria kwalifikacji leków na listy refundacyjne, bo inaczej trudno jest dostać się na nie lekom stosowanym w chorobach rzadkich.

Katarzyna Skrętowska-Szyszko, Biuro Rzecznika Praw Dziecka:

Informujemy rodziców o obecnym programie lekowym SMA, o tym, co być może przyniesie Fundusz Medyczny w zakresie dostępu do innowacyjnych terapii. Nowoczesne leczenie farmakologiczne jest bardzo ważne w przypadku chorób neurodegeneracyjnych, dostrzegamy też konieczność wprowadzenia dostępu do kompleksowej opieki zintegrowanej.

Kacper Ruciński, członek Rady Strategicznej Fundacji SMA:

Na wprowadzenie terapii genowej w SMA czeka w Polsce środowisko pacjentów. Obecnie na świecie otrzymało ją już ponad tysiąc dzieci; widzimy, jak szybki sposób działania ma ten lek, u zdecydowanej większości przynosi on znakomite efekty.

prof. Katarzyna Kotulska-Jóźwiak, przewodnicząca Zespołu Koordynacyjnego ds. Leczenia Chorych na SMA:

Ośrodki w Polsce prowadzą leczenie SMA, są też gotowe, by wprowadzać terapię genową. Zawsze, gdy pojawia się nowy lek, chcemy, by można go było wprowadzić do terapii. Osobną kwestią jest kwalifikacja do leczenia, dlatego ważne byłoby uporządkowanie tych spraw w ramach programu lekowego.

eprasa.pl 2c0af773a0

FOT. ADOBE STOCK

Gen niekontrolowanego wzrostu

Radosław Wojtas

Komórki tuczne są nam niezbędne do życia. Gdy organizm produkuje ich zbyt dużo, oznacza to problemy, które mogą prowadzić do uszkodzenia narządów wewnętrznych i przedwczesnego zgonu. Mastocytoza to grupa chorób, które bywają bardzo trudne do zdiagnozowania. A jak jest z leczeniem?

Gdyby chcieć spróbować naszkicować typową ścieżkę, jaką przechodzi chory na mastocytozę od pojawienia się pierwszych objawów aż do postawienia diagnozy i podjęcia właściwego leczenia, trzeba by chyba nakreślić raczej labirynt dróg i korytarzy. Mastocytoza ma różne postaci, daje różne objawy, przybiera różne, odmiennie wpływające na organizm formy i wymaga indywidualnego podejścia do leczenia. Ale są na tych ścieżkach skrzyżowania i elementy wspólne. Jednym z nich jest konieczność zaangażowania w proces diagnostyczny wielu specjalistów.

Jak dotąd nie przeprowadzono badań epidemiologicznych, które pozwoliłyby precyzyjnie określić częstość występowania mastocytozy w populacji światowej, ale przyjmuje się, że choroba ta występuje średnio u 10 na 100 tys. osób. Chorują i dzieci, u których pojawia się ona najczęściej w dwóch pierwszych latach życia, i dorośli (większość diagnozowana jest między 20. a 50. rokiem życia).

WINNY KIT

Większość odmian mastocytozy jest wywoływana przez mutację w genie o nazwie KIT, którego zadaniem jest informowanie organizmu, w jaki sposób ma wytwarzać enzym o nazwie receptorowa kinaza tyrozynowa. Gdy gen KIT działa nieprawidłowo, wysyła niewłaściwe instrukcje do komórek w organizmie. W przypadku zaawansowanej mastocytozy układowej komórki tuczne otrzymują sygnały do ciągłego niekontrolowanego wzrostu, co doprowadza do znacznego zwiększenia ich liczby i gromadzenia w różnych częściach organizmu. – Mastocytoza to choroba nowotworowa, która wywodzi się z pluripotencjalnej komórki macierzystej, która nabywa pewnych cech nieśmiertelności. Dzieje się to poprzez nabyty defekt, który skutkuje niekontrolowanym rozrostem wywodzących się z tej komórki macierzystej komórek tucznych, czyli mastocytów. Mastocyty z krwi wędrują do tkanek i narządów, tam się zasiedlają i powodują w konsekwencji uszkodzenie tych tkanek i narządów – wyjaśnia prof. dr hab. n. med. Marek Hus, kierownik Katedry i Kliniki Hematoonkologii i Transplantacji Szpiku Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Mastocyty to rodzaj białych krwinek, które są elementem układu odpornościowego. Odgrywają ważną rolę w reakcjach uczuleniowych, uwalniając histaminę – substancję chemiczną pomagającą chronić organizm przed szkodliwymi skutkami reakcji alergicznej. Działanie mastocytów pomaga chronić organizm w przypadku zakażenia pasożytami, bakteriami i innymi drobnoustrojami. Występują w całym organizmie – w każdym z narządów wewnętrznych, ale największe ich nagromadzenie obserwujemy w skórze, szpiku kostnym, wątrobie, śledzionie i węzłach chłonnych.

CHOROBA SPRYTNIE UKRYTA

Ponieważ mastocyty występują w całym organizmie, ich nadmiar może się u chorych gromadzić w różnych tkankach i organach, a co za tym idzie – dawać różne symptomy, gdy ich nagromadzenie osiągnie poziom krytyczny. Kiedy komórki tuczne gromadzą się w obrębie skóry, mamy do czynienia z mastocytozą skórną. Gdy odkładają się w innych narządach, mówimy o groźniejszej odmianie choroby – mastocytozie układowej, która występuje u ok. 5–10 osób na 1 mln. Dotyczy głównie dorosłych, bardzo rzadko dzieci. Dzielimy ją na mastocytozę układową niezaawansowaną oraz zaawansowaną – rzadką i ciężką postać stwierdzaną w przypadku ok. 30 proc. osób chorujących na mastocytozę układową.

eprasa.pl 2c0af773a0

Droga do diagnozy zaczyna się najczęściej w gabinecie lekarza rodzinnego, rzadziej w poradni dermatologicznej lub alergologicznej. Pacjent zgłasza się ze zmianami skórnymi: wysypką, świądem, pokrzywką, obrzękiem, rumieniem czy brązowymi lub czerwonymi plamami. Często towarzyszą temu objawy ogólne: zmęczenie, utrata masy ciała i gorączka, a także bóle głowy, brzucha, szybkie bicie serca, obniżone ciśnienie tętnicze, ból w klatce piersiowej. – Pacjent trafia do nas, kiedy dermatolog, reumatolog, gastrolog, ortopeda lub alergolog nie mogą znaleźć odpowiedzi o przyczynę i proszą o rozszerzenie diagnostyki. Pacjent zwykle leczony jest najpierw przez lekarza pierwszego kontaktu, później przez specjalistów i w takiej ścieżce od specjalisty do specjalisty trafia na diagnostykę hematologiczną, gdzie jest wykrywany naciek z komórek mastocytarnych w obrębie szpiku albo innego narządu. Układa się to w pewną całość, przeprowadza się badania genetyczne, weryfikuje status molekularny mutacji – wyjaśnia prof. dr hab. n. med. Marek Hus.

Mastocytoza, trudna do diagnozy i wymagająca współpracy lekarzy kilku specjalizacji, bywa jeszcze większym wyzwaniem diagnostycznym, gdy współistnieje z innymi chorobami i potrafi się za nimi „ukryć". Tak było w przypadku młodej kobiety, która na początku ubiegłego roku trafiła pod opiekę prof. Husa. U mieszkającej już w Polsce, ale pochodzącej ze Lwowa pacjentki, jeszcze na Ukrainie zdiagnozowano szpiczaka plazmocytowego, który objawił się ogromną destrukcją kości. Badania przeprowadzone w klinice w Lublinie wykazały niepokojąco wysoki poziom tryptazy. – Zaczęliśmy szukać przyczyny takiej aktywności mastocytów. Okazało się, że w obrazie szpiku kostnego, w wycinkach kostnych, które pobieraliśmy specjalną techniką, istnieje naciek komórek mastocytarnych obok komórek plazmocytarnych, które były leczone już w pewien sposób protokołem zastosowanym przez specjalistów w ośrodku, w którym wykryto szpiczaka – mówi prof. Hus.

U 31-latki zdiagnozowano agresywną postać mastocytozy układowej z przedziału, który towarzyszy nowotworom hematologicznym. – W takich przypadkach mastocytoza jest ukryta pod maską pewnych zmian we krwi i w szpiku kostnym, które towarzyszą dobrze znanym nam chorobom, m.in. zespołom mielodysplastycznym, przewlekłej białaczce mielomonocytowej, czy – tak jak w tym przypadku – szpiczakowi plazmocytowemu. Taka forma mastocytozy stanowi duże wyzwanie dla hematologa – dodaje prof. Hus.

Lekarzom udało się włączyć młodą kobietę do światowego systemu ułatwionego dostępu do terapii midostauryną. – Zastosowaliśmy leczenie pomostowe, a w międzyczasie sprawdzaliśmy dostępność dawcy rodzinnego. Okazało się, że jej brat jest bardzo podobny immunologicznie, występuje zgodność tkankowa typu 2 – mówi prof. dr hab. n. med. Marek Hus. Aby jednak można było dokonać przeszczepu, musiałby się znaleźć w Polsce, co wiosną ubiegłego roku, w czasie zamkniętych granic, wydawało się rzeczą niemożliwą. – Potrzeba było zaangażowania wielu osób i służb, które zrozumiały kontekst i powagę sytuacji w warunkach pandemii, która w Polsce była w początkowej fazie i wszyscy uczyliśmy się poruszać w środowisku pełnym utrudnień, lockdownów i zamkniętych granic. Przy pomocy ze strony m.in. Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, policji, konsulatu Ukrainy oraz wielu innych dobrych ludzi udało się tego mężczyznę, zaopatrzonego w odpowiednie dokumenty, ściągnąć do Polski. Po przejściu kwarantanny pobraliśmy od niego komórki krwiotwórcze i poddaliśmy chorą transplantacji allogenicznej szpiku – opowiada prof. Hus.

Od przeszczepu minął już prawie rok. Stan pacjentki znacznie się poprawił. Jest w remisji hematologicznej, bez cech nawrotu zarówno szpiczaka, jak i mastocytozy.

DOCZEKAĆ PRZESZCZEPU

Ścieżka leczenia, którą przeszła pacjentka, jest w tej chwili najskuteczniejszą ścieżką, jeśli chodzi o zaawansowaną mastocytozę układową. Szansę na całkowite wyleczenie agresywnej postaci tej choroby daje tylko chemioterapia z allogeniczną transplantacją szpiku. Wspomniana midostauryna pozwala na pewien czas wyhamować chorobę, by dać pacjentowi szansę na przeszczep, może być też stosowana u tych chorych, którzy z różnych względów do przeszczepu się nie kwalifikują. – Midostauryna jest fantastycznym lekiem, który sprawia, że możemy wydłużyć czas wolny od progresji, zatrzymać rozwój choroby, zatrzymać niekorzystne zmiany w obrębie wielu różnych narządów, odwrócić te niekorzystne tendencje, które nie są związane z samą chorobą, ale terapia tą cząsteczką nie pozwala na uzyskanie trwałego efektu w postaci wyleczenia. Jest to pomost do tego, żeby dać pacjentowi szansę na kolejne miesiące życia, 16–18 miesięcy czasu wolnego od progresji do momentu, kiedy u młodych ludzi czy biologicznie mocnych nie wykonamy przeszczepienia szpiku – mówi prof. Hus. – Czekamy na możliwość szerszego skorzystania z tej terapii, jeśli nasz płatnik da nam taką możliwość w ramach programu lekowego – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wyzwania w leczeniu mastocytozy w Polsce

prof. dr hab. n. med. Grzegorz Helbig,
Oddział Hematologii i Transplantacji Szpiku Szpitala im. A. Mielęckiego w Katowicach

Wyzwań związanych z rozpoznaniem i leczeniem mastocytozy jest kilka. Pierwszy problem dotyczy właściwej wstępnej diagnostyki. Mastocytoza jest chorobą rzadką, pacjenci zgłaszają się zwykle najpierw do lekarzy pierwszego kontaktu, dermatologów, reumatologów, alergologów, którzy powinni wykonać podstawowe badania i skierować ich do hematologa, jeśli istnieje uzasadnione podejrzenie mastocytozy układowej.

Kolejny problem jest związany z pogłębioną diagnostyką hematologiczną, a mianowicie z dostępem do odpowiednich badań. Aby postawić właściwe rozpoznanie, musimy wykonać wiele specjalistycznych badań, m.in. pobrać materiał ze szpiku lub innego zajętego narządu, który musi zostać zbadany w ośrodku referencyjnym przez właściwą osobę, mającą doświadczenie w diagnostyce mastocytozy. Problemem jest także ograniczony dostęp do badań biologii molekularnej.

Wyzwaniem jest także samo leczenie mastocytozy. W naszym kraju nie mamy dostępu do midostauryny, nowoczesnego leku, który jest zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych i Unii Europejskiej, w Polsce lek nie jest refundowany. W związku z tym w przypadku rozpoznania mastocytozy układowej wymagającej leczenia (nie każdy pacjent wymaga leczenia) stosujemy inne leki, które mają więcej działań niepożądanych i których skuteczność jest mniejsza.

eprasa.pl 2c0af773a0

Dorota Bardzińska

Choroba, która weszła w krew

Jeszcze do niedawna hemofilia oznaczała dla chorych stałe zagrożenie, bolesne wylewy i niepełnosprawność. Nowe leki pozwalają jednak pacjentom normalnie żyć

FOT. ADOBE STOCK

Kiedyś nazywano ją królewską chorobą, bo dotykała mężczyzn z rodzin panujących w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Niemczech i Rosji. Wszystko za sprawą nieprawidłowego genu pochodzącego od brytyjskiej królowej Wiktorii. Hemofilia najczęściej jest chorobą dziedziczną, chorują na nią głównie mężczyźni, a kobiety przeważnie są „bezobjawowymi" nosicielkami nieprawidłowego genu (znajduje się on na chromosomie X, kobiety mają dwa takie chromosomy). Są jednak również inne rodzaje hemofilii: ta nabyta to choroba autoimmunologiczna, która się rozwija, gdy u osoby bez zaburzeń krzepnięcia pojawia się inhibitor (związek spowalniający lub zatrzymujący) czynnika krzepnięcia. W 30 proc. przypadków hemofilia pojawia się bez historii rodzinnej: mutacja genowa powstaje samoistnie i to prawdopodobnie zdarzyło się w przypadku brytyjskiej królowej.

Z hemofilią rodzi się jedno na 10 tys. dzieci. Diagnoza towarzyszy im do końca życia, bo choroby na razie nie da się wyleczyć. Bywa, że niebezpieczny staje się nawet zwykły zabieg stomatologiczny. Dlaczego? Ponieważ krew tych osób nie krzepnie prawidłowo.

DLACZEGO LEJE SIĘ KREW

Kiedy u człowieka bez zaburzeń krzepnięcia następuje przerwanie ściany naczyń krwionośnych i rozpoczyna się krwawienie, płytki krwi niejako zasklepiają uszkodzenie, wstępnie hamując krwawienie. Potem swoistą siatką uszczelnia uszkodzone miejsce fibryna. Powstaje ona ze znajdującego się w osoczu fibrynogenu dzięki krążącym we krwi i aktywującym się wzajemnie kilkunastu czynnikom krzepnięcia.

Niedobór lub brak czynnika krzepnięcia powodują, że u osób z hemofilią tak się nie dzieje – krew nie krzepnie prawidłowo. Powstały skrzep może też być nietrwały, dlatego u chorych na hemofilię krwawienie może się pojawić nawet kilka–kilkanaście godzin po urazie lub zabiegu.

ZNISZCZONE STAWY

Wbrew obiegowym opiniom najbardziej charakterystycznym objawem ciężkiej postaci hemofilii nie są trudne do zatamowania krwotoki, ale powta-

eprasa.pl 2c0af773a0

rzające się nawet kilkadziesiąt razy w roku krwawienia do mięśni i przede wszystkim stawów: kolanowych, łokciowych czy skokowych. Wylewy są bolesne i – co gorsza – z czasem prowadzą do zmian zwyrodnieniowych stawów, co jest nazywane artropatią hemofilową.

Jakub Kania, 29-letni inżynier z Warszawy, cierpi na ciężką postać tej choroby. Oznacza to – mówiąc w uproszczeniu – że w jego krwi czynnik krzepnięcia (VIII) jest poniżej 1 proc. normy. – Choroby po mnie nie widać. Jak na hemofilika jestem w stosunkowo dobrej formie. Mam jedynie problemy ze zniszczonymi stawami skokowymi. Dlatego jeśli chcę pochodzić dłużej, to muszę zabierać ze sobą laskę – mówi.

Jakub Kania nie jest wyjątkiem. Dorośli chorzy na hemofilię często dziś mają trudności z chodzeniem; chodzą o kulach lub poruszają się na wózku. Potrzebują rehabilitacji.

W lżejszych postaciach hemofilii krwawienia do stawów są rzadsze lub niemal ich nie ma, ale dla takich chorych groźne mogą być zabiegi stomatologiczne, takie jak ekstrakcja, czy operacyjne. Łagodne postaci tej choroby najczęściej na co dzień nie powodują większych dolegliwości.

ZAPOBIEC KRWAWIENIOM

Chorzy na hemofilię jeszcze 200–300 lat temu mieli szansę przeciętnie na 11 lat życia. Z czasem zaczęto przetaczać im krew (jej grupy odkryto dopiero na początku poprzedniego stulecia), a potem osocze. Wiele się zmieniło, gdy z krwi udało się wyizolować czynniki krzepnięcia – podawanie brakującego czynnika krzepnięcia jest dziś podstawą leczenia.

W terapii chorych na hemofilię nową jakość wniosły koncentraty czynników krzepnięcia: osoczopochodne lub tzw. rekombinowane, czyli nieprodukowane z krwi, ale powstające dzięki metodom inżynierii genetycznej.

– Dzięki koncentratom czynników krzepnięcia pacjenci mogą się leczyć w domu – mówi dr n. med. Joanna Zdziarska z Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Stosuje się je jako leczenie substytucyjne, profilaktyczne, którego celem jest utrzymywanie we krwi takiego poziomu czynnika krzepnięcia, który by chronił przed krwawieniami, m.in. do stawów.

– Jeżeli profilaktyka jest stosowana od dzieciństwa, to nie dochodzi do zwyrodnienia stawów. Program profilaktyki u dzieci jest u nas stosowany od końca 2008 r., co oznacza, że w tej chwili 12-latki mogą się pochwalić, że hemofilii po nich nie widać – mówi dr Zdziarska. – Wszyscy starsi pacjenci mają zmiany w stawach, bo wcześniej nie otrzymywali leczenia profilaktycznego, tylko tzw. leczenie na żądanie, polegające na wstrzyknięciach czynnika VIII dopiero wtedy, gdy już doszło do krwawienia – dodaje.

Chorzy najczęściej sami wstrzykują sobie dożylnie czynniki krzepnięcia. Te stosowane w profilaktyce hemofilii A (to niedobór czynnika VIII; stanowi prawie 90 proc. ogółu zachorowań) – zwykle trzy razy w tygodniu, hemofilii B (to niedobór czynnika IX – ok. 8 proc. zachorowań) – zwykle dwa razy w tygodniu, a w przypadku wylewu nawet częściej.

Tyle że – jak opowiadają pacjenci – leczenie czynnikami krzepnięcia bywa wyjątkowo uciążliwe.

– Jak się człowiek kłuje non stop, to potem nie ma się gdzie wkłuć, bo żył już nie ma – mówi Jakub Kania. – Ja, przy mojej masie ciała, a do małych nie należę, musiałem sobie podawać pięć–sześć 10-mililitrowych strzykawek naraz trzy razy w tygodniu. W kluczowych momentach okazywało się, że nie miałem już gdzie się wkłuć, a przecież musiałem to robić, nie miałem wyjścia.

Dziś Jakub Kania już nie narzeka na żyły. Kłuje się nadal – tyle że podskórnie, w brzuch. – To ogromna różnica – podkreśla. Jest jednym z kilkudziesięciu polskich pacjentów leczonych emicizumabem.

To jedyna obecnie terapia niesubstytucyjna hemofilii. – To przeciwciało monoklonalne, które naśladuje działanie czynnika VIII w układzie hemostazy, czyli wiąże się i współdziała z czynnikami IX i X. Jest to lek zarejestrowany, dostępny w Polsce, ale ze względu na wysoką cenę wyłącznie dla grup pacjentów wyselekcjonowanych, najcięższych, jeśli chodzi o przebieg choroby – mówi dr Joanna Zdziarska.

To chorzy z inhibitorem czynnika krzepnięcia, którzy wcześniej wymagali profilaktyki.

– W Polsce w tej chwili w ramach Narodowego Programu Leczenia Hemofilii tę terapię otrzymują 32 osoby i na razie ze względu na koszt nie ma nadziei, żeby można było objąć nią chorych bez inhibitora, czyli większość populacji chorych na hemofilię – dodaje dr Zdziarska. Dodatkowo niektórzy pacjenci, również z hemofilią bez inhibitora, korzystają z tej terapii w ramach toczących się wciąż jeszcze badań klinicznych, czyli na koszt producenta.

Jakub Kania przyjmuje lek od 2018 r. i w tym czasie nie miał żadnego wylewu do stawów czy mięśni. – Przyjmuję go we wtorek i do następnego wtorku jestem zabezpieczony w 100 proc. Kiedy przyjmowałem czynniki krzepnięcia, często miałem poważne wylewy do stawów – opowiada.

Dlaczego tak się działo? – Ma on długi czas półtrwania, co oznacza dla pacjentów stabilne zabezpieczenie. Pacjent, czy to dziecko, czy dorosły, jest cały czas zabezpieczony, może się bawić, uczyć, pracować, jakby praktycznie nie miał hemofilii – mówi dr Zdziarska.

Potwierdza to Jakub Kania: – Teraz w zasadzie żyję jak zdrowy człowiek.

– To bardzo skuteczna i bardzo wygodna terapia, kolejny przełom w leczeniu hemofilii – dodaje dr Zdziarska.

PACJENT NIECHCIANY

„Dostęp do koncentratów czynników krzepnięcia […] jest nieprzerwany. Wyzwaniem natomiast pozostaje organizacja, w tym dostęp do wyspecjalizowanych ośrodków, który poza funkcjonującymi od wielu lat dwoma ośrodkami w Warszawie jest bardzo ograniczony” – taką diagnozę sytuacji chorych na hemofilię można przeczytać w Narodowym Programie Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne na lata 2019–2023 (aktualizacja z 30 grudnia 2020 r.). Jak piszą autorzy programu, chorzy na hemofilię często trafiają więc do placówek, które zaspokajają jedynie ich podstawowe potrzeby i nie mają doświadczenia w leczeniu tej choroby i pokrewnych; tacy pacjenci mają ograniczony dostęp do świadczeń specjalistycznych i spotykają się z odmową przeprowadzenia nawet drobnych zabiegów.

Remedium na te bolączki mogłaby się stać sieć wyspecjalizowanych ośrodków medycznych dla chorych na hemofilię. Takie sieci udało się stworzyć w Wielkiej Brytanii, we Włoszech, w Czechach, Irlandii czy Niemczech.

Polscy pacjenci nadal czekają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c0af773a0

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Smoleńsk, klucz do Litwy

Gdyby chcieć opisać geopolitykę Polski i Litwy w XVII w. słowami staropolskimi, a nie anglojęzycznym slangiem, w pierwszym rzędzie wymienić należy na jej granicach „klucze" do Korony i Wielkiego Księstwa. Czyli potężne twierdze – punkty zagradzające drogę do wnętrza kraju.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W różnych okresach istnienia Rzeczpospolita traciła je i odzyskiwała. Klucze te oznaczały zwykle potężne miasta twierdze, których siłę wzmacniało ukształtowanie terenu. Patrząc od północnego zachodu, były to: Gdańsk, Kamieniec Podolski, Ryga i wreszcie Smoleńsk – klucz do Bramy Smoleńskiej – przesmyku między Dźwiną a górnym Dnieprem, przez który i dziś prowadzi najkrótsza droga z Warszawy do Moskwy. Przez całe wieki stanowił przedmiot sporu między Wielkim Księstwem Litewskim a Rusią, potem zaś – między państwem carów a Rzecząpospolitą. Utrata tej ogromnej twierdzy dawała naszemu wschodniemu sąsiadowi strategiczną pozycję umożliwiającą szybki atak na tereny litewskie. Bez przesady można stwierdzić, że ten, kto go kontrolował, miał zawsze przewagę nad drugim sąsiadem i dominującą pozycję w Europie Wschodniej.

Smoleńsk włączył do Litwy książę Witold w 1404 r. 31 lipca 1514 r. został oblężony przez ogromną armię cara Wasyla III. Dowodzący obroną wojewoda Jerzy Sołłohub skapitulował wobec przeważających sił i choć wycofał się cało na Litwę, to został ścięty. Miasto odzyskano dopiero w 1611 r., po prawie dwuletnim oblężeniu przez armię Rzeczypospolitej dowodzoną przez króla Zygmunta III. Przy Litwie pozostawało przez następne 43 lata. W 1654 r. Smoleńsk został zdobyty w trakcie kolejnej wojny, wywołanej przez poddanie się Chmielnickiego Moskwie. Car zaatakował wówczas Wielkie Księstwo Litewskie, dążąc do zdobycia pogranicznych twierdz i zamków. 26 września wojewoda smoleński Filip Kazimierz Obuchowicz poddał miasto po trwającej niespełna trzy miesiące obronie. Nigdy już nie wróciło do Rzeczypospolitej. Dopiero 17 sierpnia 1812 r., w czasie wyprawy Wielkiej Armii Napoleona na Moskwę, po bitwie pod miastem wkroczyły tutaj oddziały francuskie i polskie.

Smoleńsk był potężną twierdzą już w XVI w., gdyż zbudowano go na wysokich wzgórzach nad Dnieprem, między dwiema rzekami płynącymi w dodatku w głębokich i krętych jarach. Fortyfikacje miasta były na początku drewniano-ziemne, jednak w latach 1596–1602 zostały przebudowane na kamienno-ceglane przez carskiego architekta Fiodora Konia. Wzniósł on gigantyczne mury o wysokości od 10 do 15 metrów. Ich fundamenty do wysokości 2 metrów wymurowano z kamienia, powyżej zaś – z czerwonej, palonej cegły. Obwód murów wynosił aż 6,5 km! Fundamenty głębokie były na 4, grube zaś na 6,5 metra. Ciekawe, że w chwili budowy fortyfikacje te były już przeżytkiem, gdyż na przełomie wieków XVI i XVII nie wznoszono w Europie twierdz otoczonych murami, ale stosowano systemy umocnień bastionowych, z usypanych z ziemi wałów wzmocnionych murem. Jednak niezwykła grubość tych ze Smoleńska, liczących ok. 6 metrów, sprawiała, że były one trudne do zniszczenia nawet dla ówczesnej artylerii oblężniczej. W murach znajdowało się 26 baszt o wysokości do 21 metrów. Do miasta, jak podaje Andrzej Haratyn, prowadziło dziewięć bram, w tym najważniejsze: Królewska i Małachowska. Na uwagę zasługuje to, że kiedy w czasie oblężenia w latach 1609–1611 polskie i litewskie działa zburzyły południowo-zachodni odcinek murów, nie nadbudowano go z cegły i kamienia, ale usypano tam zachowany do dziś pięcioboczny fort zaopatrzony w bastiony i zwany Fortalicją Zygmuntowską. Pracami kierował w latach 1626–1631, na polecenie królewicza Władysława, gubernatora Smoleńska, inż. Johann Pleitner z Nadrenii.

Do dziś pozostałe mury Smoleńska wzbudzają respekt; tak wielkich i potężnych fortyfikacji, a zwłaszcza baszt nie zachowało się w Europie Wschodniej zbyt wiele. Niestety Smoleńsk spalony został przez wycofujących się Moskali w 1812 r., a w 1941 r. zniszczony przez Niemców. Ocalał właściwie tylko częściowy obwód murów, wewnątrz którego znajduje się dziś znaczna część miasta. Niestety sporą przestrzeń między umocnieniami zajmują nieużytki, chaszcze i – jak to w Rosji bywa – nędzne chałupiny oraz obejścia przywodzące na myśl zabudowę podupadłego kołchozu. Tymczasem dawne ryciny Smoleńska pokazują, że był on w XVII w. ciasno zabudowany wewnątrz murów porządnymi domami. Cóż, dzisiejszy stan to efekt wojen i zniszczeń, komunistycznej gospodarki szpecącej przestrzeń publiczną, a także tego, że dawna drewniana zabudowa miasta nie przetrwała próby czasu. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

ALICJA SĘKOWSKA
ZAPOMINA O KALORIACH

Uwielbiam wszelkie ciasta i desery, postanowiłam więc podzielić się przepisem, który dostałam kiedyś od przyjaciółki. Żeby zjeść przepyszny crème brûlée, wcale nie musimy jechać do Francji czy Hiszpanii, gdzie cieszy się on największą popularnością. Ten pyszny waniliowy deser z chrupiącą skorupką możemy z łatwością zrobić sami we własnej kuchni. Zapominamy o kaloriach i do dzieła!

Składniki (na 5 foremek):

- 0,5 l śmietanki (30-procentowej)
- 6 żółtek jaj
- 100 g cukru pudru
- 1 laska wanilii
- pół szklanki cukru trzcinowego

Przygotowanie:

W rondelku podgrzewamy śmietanę. Przecedzamy przez sitko, żeby pozbyć się ewentualnego kożucha, i odstawiamy. Roztrzepujemy sześć żółtek jaj i dodajemy 100 g cukru pudru. Łączymy w jednolitą masę. Do masy dodajemy ziarna z jednej laski wanilii.

Wszystko miksujemy i dodajemy wcześniej przygotowaną śmietanę kremówkę. Ponownie miksujemy ok. 2 minut.

Do foremek żaroodpornych przekładamy masę i wkładamy na godzinę do piekarnika rozgrzanego do temperatury 120 st. C.

Po wyjęciu z piekarnika i ostudzeniu wkładamy foremki do lodówki, pozostawiając je na pięć godzin.

Przed podaniem wyjmujemy z lodówki i posypujemy po wierzchu cukrem trzcinowym, a następnie opalamy palnikiem gazowym tak, by cukier się skarmelizował i powstała skorupka.

Smacznego! ©℗

oprac. raw

Alicja Sękowska jest piosenkarką i prezenterką telewizyjną.

FOT. ARCHIWUM ALICJI SĘKOWSKIEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niepotrzebne futro

FOT. ADOBE STOCK

Od razu wyznam sekret głęboko ukrywany w czeluściach świadomości i szafy: mam futro. Są to norki sprzed 25 lat, niezbyt zniszczone, bo mało noszone, gdyż w czasie, gdy je odziedziczyłam po mamie, protesty przeciw futrom zaczynały wchodzić w początkową fazę. Miałam je na sobie razy kilka, a od kilkunastu lat zajmują już tylko miejsce w szafie. Co z nimi zrobić? Zniszczyć nie wypada, bo zostanie ślad węglowy. Może zrobić dywanik pod nogi czy narzutę na fotel? Albo, zabezpieczając się przed gniewem radykałów, na plecach przyszyć kartkę z napisem: „Futro vintage"?

Futra stały się częścią cancel culture. Nie wolno nawet wymawiać tego słowa, a co dopiero odważyć się włożyć okrycie na grzbiet. Kto 50 lat temu zgadłby, że najstarsze okrycie ludzkości spotka takie potępienie? Taki wstyd? Moja mama, pokolenie mocno przedwojenne, miała, podobnie jak wszystkie jej przyjaciółki, eleganckie norki oraz (aż wstydzę się wymówić to słowo, żeby nie napadli na mnie działacze PET-y) brajtszwance. Młodszym wyjaśniam: futro pozyskane z płodów owiec wyjmowanych z brzuchów matek. Pożądane ze względu na swoją niezwykłą delikatność. Okrucieństwo nie do przyjęcia, a jednak całe pokolenia się tym nie przejmowały, w ogóle wypychając ze świadomości sposób, w jaki pozyskiwano skóry na futra.

W 1991 r. gubernator stanu Kalifornia wydał prawo zabraniające sprzedaży nowych futer. Chodzi nie tylko o okrycia, lecz także dodatki: czapki, torby, breloczki, buty. Zakazem objęto „skóry lub ich części z sierścią, puchem lub włosem" zwierząt takich jak norki, szynszyle, sobole, kojoty, oposy itp. Kara dla łamiących zakaz wynosi 500 dol. lub 1 tys. w razie wielokrotnego łamania. Skóry owcze, krowie, jelenie i kozie są dozwolone. Czyli kożuch jest w porządku, podobnie futro dla celów religijnych. Futrzany kapelusz ortodoksyjnych Żydów może nadal być w sprzedaży. Także to, co już znajduje się na rynku, może na nim pozostać. Ale zakładając, że wyszłabym w moim futrze na ulicę (czego nie odważę się zrobić), skąd byłoby wiadomo, że to stary łach?

Siedem tysięcy lat temu, w paleolicie, żeby przeżyć, człowiek zabijał zwierza, obdzierał go ze skóry, a mięso zjadał. Dzisiaj dzikich zwierząt jest coraz mniej, za to mamy samochody z ogrzewanymi siedzeniami, kurtki puchowe oraz zimy bez mrozu. Po co nam prawdziwe futro, skoro sztuczne wygląda tak samo i grzeje tak samo? Kiedyś potrzebowało się go dla luksusu, potrzeby ludzkości równie starej jak pierwsze włochate palto. Dzisiaj zobaczyć damę w futrze to tak, jak ujrzeć rycerza w zbroi. Niepotrzebna i idiotyczna rekonstrukcja przeszłości. ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Homo żartowniś

Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach wypada o tym myśleć, ale ostatnio nurtuje mnie pewna kwestia. Otóż dlaczego mężczyźni dominują w dziedzinie humoru? Satyryków, autorów komediowych oraz zwykłych wesołków jest więcej płci męskiej niż żeńskiej.

Temat ten został poruszony w jednym z odcinków „South Park", ale znacznie bardziej bezpardonowo. Tam Eric Cartman (obleśny ksenofobiczny szowinista) stwierdził, że kobiety po prostu nie mają poczucia humoru, i dobitnie orzekł, że słynna amerykańska satyryczka Amy Schumer kompletnie nie jest zabawna.

Ja daleki jestem od generalizacji, acz w kwestii Schumer zdecydowanie zgadzam się z Cartmanem. Oczywiście, są kobiety obdarzone fantastycznym poczuciem humoru oraz czymś, co zwie się vis comica. Jako przykład weźmy choćby moją żonę czy Irenę Kwiatkowską. Natomiast statystycznie rzecz ujmując, liczba zabawnych facetów zdecydowanie przewyższa liczbę zabawnych babek. Tak jakby humor był takim samym atrybutem mężczyzny jak jądra czy grdyka.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to efekt supremacji białych mężczyzn, którzy orzekli kiedyś, co jest zabawne, a potem narzucili to reszcie. I w pewnym sensie tak było, acz to „kiedyś" jest znacznie starsze, niż mogłoby się wydawać. Otóż dla ewolucjonistów kwestia, która mnie nurtowała, jest dość oczywista. Język od momentu, kiedy powstał, stał się narzędziem uwodzenia. Samice *homo sapiens*, wybierając partnera, zwracały uwagę na jego posturę, łowieckie umiejętności, ale także na to, jak i co mówi. Poczucie humoru stało się dla ludzkiego samca mniej więcej tym, czym jest grzywa dla lwa czy imponujący ogon dla pawia – czymś, co nie ma żadnego znaczenia praktycznego, ale co podoba się potencjalnej partnerce.

Innymi słowy, przewaga zabawnych facetów nad zabawnymi kobietami jest efektem ewolucji. Przez setki tysięcy lat ludzkie samce próbowały uwieść samice żartami, a te jedynie oceniały ich wysiłki. Czyli same mówiły niewiele, głównie słuchały. Innym efektem tego długotrwałego zjawiska są faceci zanudzający kobiety opowieściami o sobie. No bo umówmy się, koledzy – statystyka statystyką, a ewolucja ewolucją, ale nie wszyscy jesteśmy Johnami Cleese'ami. Za to uwielbimy gadać o sobie. A kobiety słuchają.

Powyższą teorię zaprezentowałem podczas nielegalnego spotkania towarzyskiego, na którym było kilka młodych kobiet, a nawet – nie bójmy się tego słowa – dziewczyn. Skończyłem wywód i jak na dobrze wyewoluowanego samca przystało, spodziewałem się zachwytów nad moją erudycją i swadą. Zamiast tego zapanowało niezręczne milczenie i jedna dziewczyna powiedziała: „Czy ja wiem? Moim zdaniem bardzo zabawne są…" – i tu wymieniła z tuzin polskich stand-uperek, o których w życiu nie słyszałem.

No tak. Dziaders. Ograniczony i zacofany. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Symetryści, czyli forpoczta lewicy

Małgośka – mówią mi – ty się kiedyś doigrasz!

Owszem, pisały już do mnie z „życzeniami" trolle: ruskie, feministyczne i nawet te tęczowe. Szkoda, że nie piszą na Berdyczów, tylko na mój Messenger, ale widocznie w ludziach siedzi potrzeba kontaktu, zwłaszcza że nie trzeba płacić za znaczek, tylko można splunąć jadem od razu w telefon i popchnąć kciukiem w kierunku adresatki. Powiedzmy, że to są małe frajdy, których nie zaznają symetryści, choć lubią puszyć się, że „dostają z obu stron", ale chyba raczej propozycje współpracy.

Gdy myślę o symetrystach, przypomina mi się tragiczna sytuacja z maleńkiej, schowanej w górach plaży w Hiszpanii. Byłam wtedy świadkiem ataku serca u mężczyzny i nieudanych prób reanimacji. W końcu dramat się wypełnił. Córka wybuchła przeraźliwym płaczem, spotęgowanym przez amfiteatr przyrody tak, że większość głów pochyliła się do modlitwy lub płaczu. Z niewiadomych przyczyn karetka nie przyjeżdżała, za to na plażę zaczęli schodzić się pensjonariusze luksusowego hotelu, którzy mieli w grafiku zumbę fitness, i widać było, że są na tyle zmotywowani, iż nawet ciepły trup nie przeszkodzi im w rozciąganiu bioder. Przybiegł trener, popatrzył na zwłoki, potem na klientów żądnych fitnessów i zarządził kompromis: wszyscy tyłem do denata, a muzyka dwa tony ciszej. Idealny symetrysta – rzec można – wyważył racje żywych i potrzeby umarłych.

Podobnie dziś na arenę zdarzeń radośnie wbiegają symetryści i też chcą wszystkich zadowolić, a zwłaszcza sponsora, więc to drapowanie się w szaty arbitrów cokolwiek śmieszy. O cenzurze Big Tech wypowiadają się półgębkiem, dwa tony niżej. Ustawieni tyłem do małych „trupków" powtarzają refreny, że głos powinny mieć przede wszystkim kobiety i ich prawa. Ulubionym zajęciem symetrysty jest jednak pomoc w tropieniu faszysty, bo to jest zajęcie najwyżej punktowane. Gdy się jednak zadumać nad tym, czy przypadkiem miss Lempart nie należy do „faszyzujących", urządzając marsze na instytucje (czerwone piorunki zamiast czarnych koszul), podważając werdykt demokratycznych wyborów, dehumanizując wroga i polując na niego, a w dodatku wykazując autorytarne ciągoty – wtedy symetrysta nagle się zawiesza. Aktualizuje dane czy coś takiego. W końcu pada dobrze znane: „Ale to Kaczyński pierwszy zaczął!". No, gdybym ja synów nie miała, dla których fraza: „On pierwszy zaczął" jest mottem życiowym, tobym w powagę tych arbitrów uwierzyła. „Strzeżcie się symetrystów!" – powtarzają mi Hiszpanie. „To pierwsi, którzy torują triumfalny pochód lewicy". ©℗

eprasa.pl 2c0af773a0

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Przedostatnie stadium rewolucji

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Mieliśmy już w historii co niemiara rewolucji. Najczęściej polegały one na tym, że w imię sprawiedliwości lub wolności uciskanych ktoś wymowny przejmował za nich władzę. Kiedy się już ludziom polepszyło, mieliśmy rewolucję seksualną, w której chodziło o to, żeby każdy mógł z każdym… Obecne stadium rewolucji trudno zdefiniować, bo wolność i dostatek rzuciły się najwyraźniej ludziom na głowę.

„Nie jestem kobietą, ale mam macicę i będę jej bronić" – krzyczy ktoś publicznie i nie wiadomo, kto i jak grozi jego (jej?) macicy oraz czy rzeczywiście ją ma. Dodać by można: „Mam macicę i nie zawaham się jej użyć". Pytanie: Do czego? Ktoś inny, tym razem chyba kobieta, tak usilnie walczy z mową nienawiści, że określa przeciwniczkę mianem „szmaty", a inny wojownik z mową nienawiści określa głosujących wbrew swej woli jako „biomasę".

Program polityczny dużej części ugrupowań partyjnych sprowadza się do hasła „..... ...". Dlaczego ukrywają to hasło tak wstydliwie? Marketing polityczny wymaga jawności. Czy istnieje jednak poważny związek między tym hasłem wykrzykiwanym dosłownie na wiecach a merytorycznym jego rozwinięciem w zaciszu gabinetów? Zastanówmy się, jaki to może być związek.

Za określenie rodziny jako związku mężczyzny i kobiety można dziś wylecieć z uczelni, choć tak stanowi obowiązująca w Polsce konstytucja, której bronią władze tej uczelni przed „faszyzmem" i „ksenofobią", dyktującymi owe „wykluczające" określenie rodziny. Któż odważy się o to zapytać? Logika w służbie „faszyzmu"?

Powiedzmy więcej: w mediach społecznościowych nie ma miejsca na tego rodzaju faszystowskie i homofobiczne rozważania. Muszą one być demokratycznie eliminowane w imię wolności słowa. Ludziska niech się lepiej zajmą dumnym stwierdzeniem pewnej celebrytki, że stała się „twarzą rajstop ekologicznych".

Jak zrozumieć panią, która ogłosiła swoją apostazję, a następnie jęczy, że Kościół nie pozwala jej zostać matką chrzestną dziecka znajomych? Co myśli ta pani i co myślą owi znajomi? Czy w ogóle myślą?

Kto chce głosować na byłego ministra obrony, który alarmuje, że pewien typ karabinka, wprowadzany do naszego wojska, zagraża życiu i zdrowiu żołnierzy, podczas gdy sam lansował ten karabinek jako minister pięć lat wcześniej? Któżby to pamiętał?! Pewnie winny jest obecny minister.

A cóż myśli 20 proc. potencjalnych wyborców średniego kraju europejskiego, popierając polityka, który za bohaterem serialu „Ranczo" mówi, że „wie, jak to zrobić", choć nie mówi, co i jak chce zrobić?

Czy można się dziwić pewnej szczęśliwej dotychczas Amerykance, żonie i matce sześciorga dzieci, że jest przerażona perspektywą przebierania się w szatni damskiej w towarzystwie mężczyzn uważających się za kobiety? Czy przypadkiem nie jest to dyskryminacja kobiet, z którą walczy cały postępowy świat?

Czy sędzia może potraktować zaburzenia seksualne w postaci twierdzenia mężczyzny, że jest kobietą, jako okoliczność usprawiedliwiającą chuligaństwo i niszczenie mienia? Jak to jest: mężczyzna będzie za te czyny odpowiadał, kobieta także, a ktoś „pomiędzy" nie będzie? Każdy by tak chciał.

Oczywiście, można powiedzieć, że to wszystko spisek i prowokacja wrogów demokracji, że wszystko zostało ukartowane przez złowrogich geniuszy manipulacji na zgubę ludzkości, ale ten ksiądz chyba naprawdę przytulił do serca faceta, który darł z wściekłością Biblię, krzycząc: „Jedzcie to g….!". I co – przeszło jednemu lub drugiemu?

A jaki jest związek młodej damy, która czołga się po scenie, wrzeszcząc wniebogłosy i udając wymioty, z muzyką i dlaczego właśnie w tej kategorii jest nagradzana?

Wszystko to są przejawy przedostatniego stadium rewolucji. Zapytać ktoś może, jakie będzie jej ostatnie stadium. Wariaci do szpitala psychiatrycznego? To byłaby kontrrewolucja, to byłoby zwycięstwo zdrowego rozsądku. Jakie zatem będzie ostatnie stadium? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 2c0af773a0

ŚRODKOWY PALEC NARODU

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Knajpa w Teksasie – na drzwiach „ZAKAZ WSTĘPU W MASKACH". Pod spodem wyjaśnienie: „Jeśli ktoś uważa, że potrzebuje maski, to naszym zdaniem powinien zostać w domu – do czasu, gdy sytuacja zrobi się bezpieczna. Wszyscy inni mile widziani".

Wśród klientów starszy pan z grupy najwyższego ryzyka, który wyjaśnia swoją obecność tak:

„Moje ryzyko, moje życie i moja śmierć w razie cuś. Mam raka czwartego stopnia i nie mam zamiaru zdychać zamknięty w domu. Gdyby w moim wieku brali do wojska, tobym się od razu zaciągnął i poszedł walczyć na pierwszej linii. Byłby ze mnie jakiś pożytek. Ryzykuje się całe życie w różnych sprawach, a teraz, z powodu chińskiej zarazy, zabraniają ryzykować? Mam to gdzieś! Spotykam się normalnie z dziećmi i wnukami, chcę dożyć śmierci w ich towarzystwie. Nawet gdyby moje życie było przez to krótsze. I chcę się z kumplami spotykać jak zawsze – obejrzeć mecz w knajpie, zagrać w bilard. Życie ma się składać z normalnego życia, a nie z czekania na śmierć lub unikania śmierci za wszelką cenę w izolacji od bliskich".

To samo – innymi słowami – powiedział na początku pandemii gubernator Teksasu (też w grupie najwyższego ryzyka). Zrobił to w telewizji, poszło na całą Amerykę. Zachęcał ludzi, by decyzje o swoim ryzyku podejmowali indywidualnie. „Rząd ma dostarczać danych, a potem obywatel decyduje, co z tą wiedzą zrobić. Nie wtrącajcie się ludziom do ich życia. Są dorośli".

***

Knajpa w Arizonie – na drzwiach napis: „OSOBY UZBROJONE WCHODZĄ BEZ MASEK".

To przepis z czasów Dzikiego Zachodu, gdy wszyscy chodzili pod bronią, a maski na twarz zakładało się do napadu. Dlatego pojawił się przepis, że gdy masz broń, musisz mieć twarz nieosłoniętą. I z tego przepisu korzysta właściciel – wystarczy na drinka przyjść z „klamką" i nie musisz mieć maski; a nawet nie wolno.

Open carry, czyli prawo do publicznego noszenia broni, obowiązuje wciąż w 15 stanach. Broni możesz nie nosić, ale wtedy musisz włożyć maskę. Wolny wybór. Siedzimy więc wszyscy uzbrojeni po zęby, szczerzymy się w uśmiechach i popijamy drinki. Jak ja to lubię!

Granica niedaleko i gdyby tu wpadli przedstawiciele meksykańskiego kartelu (których Trump przegonił, ale Biden ponownie zaprosił), to mocno by się zdziwili. Jesteśmy na lekkim rauszu, czyli buńczuczni, jest nas prawie sto osób i mamy siłę rażenia kompanii wojska. Jest bezpiecznie, jak dawno nie było. Przynajmniej we wnętrzu tej knajpy. W zasadzie za to należy Chińczykom podziękować – dzięki tej ich pandemii nasza knajpa wygląda jak w czasach Dzikiego Zachodu. Kaliforniaki, gdy tu czasem zjadą, myślą, że to jakiś skansen albo inscenizacja, albo plan filmowy. A to normalne życie na prerii w czasach zarazy.

***

Lewacy oburzają się, gdy ktoś mówi „chińska zaraza" lub „chiński wirus", bo to (zdaniem lewaków) określenia ksenofobiczne. Jednocześnie lewe media mówią „wirus angielski", „wirus z RPA". To co? „Chiński" to określenie nieuprzejme wobec Chin, które nas zaraziły, ale wobec Anglików i Murzynów można swobodnie stosować normalną nomenklaturę naukową tak jak w przypadku grypy hiszpanki?

***

A teraz knajpa w Krakowie. Klient napisał tak: „Dożyłem czasów, gdy wyjście na pizzę jest równoznaczne ze wstąpieniem do ruchu oporu". Ma rację, a opór władzy należy stawiać jak najbardziej, bo władza jest zagubiona i nie wie, co robić. Wykonują ruchy paniczne i nie uzasadniają kolejnych rozkazów. Kopiują absurdalne rozwiązania zagraniczne. Jakiś spanikowany głupek w innym kraju zarządził lockdown, więc w Polsce robimy to samo? Przecież gołym okiem widać, że nie działa ani tam, ani tu.

Najpierw był przymus masek i przyłbic. Potem stwierdzili, że jedna maska nic nie daje i będzie nakaz noszenia dwóch. Następnie wyskoczyli z informacją, że maski i przyłbice to szajs, który nie działa, i będzie wprowadzony nakaz noszenia masek chirurgicznych, a przyłbice i te szmatki na pysk, które po nocach szyła moja ciotka (zakonnica lat 100), wszystkie były po nic.

Gdyby mi taki numer wykręcił pracownik, do którego mam dostęp, tobym go wywalił z roboty. Z hukiem, na pysk i w nerwach (uzasadnionych). Z rządem jest trudniej, bo my nawet nie wybieramy sobie rządu – premier jest mianowany przez partyjnych kumpli, a wyborców nikt nie pyta. Wywalić rząd trudno, ale opór głupocie należy stawić, bo to, co z nami robili przez ostatni rok, sami teraz kwestionują. Naród ma prawo być wkurzony na takie traktowanie. Skoro nie wiedzą, co robić, to lepiej, żeby nie robili nic. Mogliby zachować się jak gubernatorzy Teksasu, Florydy i Dakoty – rząd zbiera i ogłasza dane, a potem każdy samodzielnie ocenia osobiste ryzyko i wybiera stosowną metodę zabezpieczenia siebie i rodziny. Jesteśmy dorośli i nikt nie chce się pakować do trumny. A premier wcale nie jest mądrzejszy od mojej Mamy w sprawie tego, jak Mama ma się zabezpieczać. Więc WARA.

***

Jak uwierzyć rządowi, że te nowe maski załatwią sprawę, skoro wcześniej ci sami ludzie z przekonaniem importowali i nakazywali nosić maski kompletnie nieskuteczne? Były kary za brak szmaty na pysku, a teraz władza zawiadamia, że te szmaty były do niczego, ale mandatów wcześniej wlepionych nie zwraca. A forsa, którą wydali na import nieskutecznych masek z Chin? W dodatku stale zmieniają punkt dojścia i cel. Na początku mieliśmy wrócić do normalności, a teraz gadają o „nowej normalności". To tak, jakby w trakcie wyścigu sędziowie stale przesuwali metę coraz dalej i dalej.

Moim zdaniem władza nie ma celu, a te, które stawia, są wszystkie nieosiągalne, więc trzeba skończyć ten bieg donikąd. Władza powinna podawać dane, a obywatel decydować indywidualnie, czy chce się zamknąć w domu i unikać śmierci, czy żyć normalnie, ryzykując, że trafi trumnę trochę szybciej. Likwidacja życia ze strachu przed śmiercią to nie jest życie. Dlatego zabieram „klamkę" i chodzę do knajpy bez maski. CHCĘ ŻYĆ NORMALNIE niezależnie od tego, ile to potrwa.

PS 23 lutego w Dakocie Płn. uchwalono zakaz zmuszania do noszenia masek. ©℗

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

eprasa.pl 2c0af773a0

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

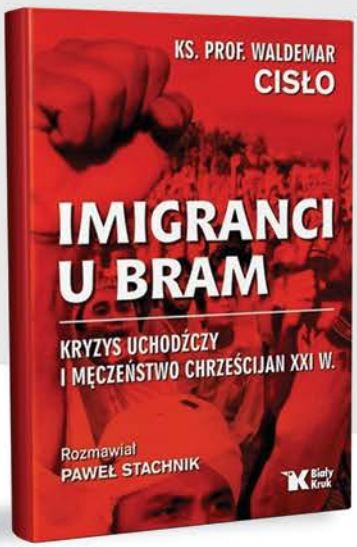

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

KS. PROF. WALDEMAR CISŁO
„IMIGRANCI U BRAM. KRYZYS UCHODŹCZY I MĘCZEŃSTWO CHRZEŚCIJAN XXI W."

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~709 ZŁ~~

271,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 438 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2c0af773a0

Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.
PrzeSKOCZ na zimowe paliwo
Dynamic
LOTOS
Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa